FATALNE SKUTKI ATAKÓW NA PAMIĘĆ O POWSTANIU

LICZBY I DANE, KTÓRE PSUJĄ HUMOR KLIMATYSTOM

ROKITA OCENIA PREZYDENTURĘ ANDRZEJA DUDY

IMPREZA OWSIAKA JUŻ NIE PRZYCIĄGA MŁODYCH. „OSTATNI BAL PRZED EMERYTURĄ"

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

33 (663) 2025
11–17 sierpnia 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CZY TUSK JEST POWAŻNIE CHORY?

WARSZAWA HUCZY OD PLOTEK. KANCELARIA PREMIERA ODMAWIA ODPOWIEDZI. JAKA JEST PRAWDA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 18 VIII 2025 r.

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43

eprasa.pl 40dc1e51fc

Podnieśliśmy głowy

Jacek Karnowski

Obserwując ceremonię zaprzysiężenia nowego prezydenta Karola Nawrockiego, wróciłem myślami do 18 kwietnia 2010 r., gdy podczas pogrzebu śp. pary prezydenckiej ówczesny przewodniczący Solidarności Janusz Śniadek wypowiedział pamiętne słowa: „Wyśmiewani za niemodny patriotyzm, wierni Bogu i ojczyźnie podnieśliśmy głowy". Tak było wówczas, po straszliwej tragedii smoleńskiej, i coś podobnego dzieje się w Polsce obecnie. W obliczu śmiertelnego zagrożenia dla polskiej państwowości, w obliczu gardłowych zagrożeń cywilizacyjnych, Polacy zostali zmuszeni do uświadomienia sobie, że rozstrzyga się coś więcej niż zwykły demokratyczny wybór polityczny. Rozstrzygały się sprawy absolutnie podstawowe, tak jak w czasie średniowiecznych bitew, gdy w wyniku jednej klęski znikały z mapy i państwa, i całe narody. I jeszcze dziś, co podkreślił ostatnio Jarosław Kaczyński, wciąż nie zdajemy sobie sprawy z wagi zwycięstwa odniesionego 1 czerwca 2025 r. Wciąż nie dociera do nas, jak wiele leżało na szali. Mamy nowego prezydenta, który zbudował siebie, który przeszedł drogę z robotniczej dzielnicy Gdańska do pałacu prezydenckiego, bazując na miłości do polskiej historii. To jest źródło jego siły, jego determinacji. To człowiek, którego patriotyzm jest bezwarunkowy i stanowi centralny punkt myślenia. Polskość, u wielu popękana, skalana zwątpieniem i kompleksami, jakże często traktowana jako etap pośredni do emigracji duchowej bądź fizycznej (do której wychowuje swoje dzieci duża część polskiej klasy średniej), u nowego prezydenta występuje w formie możliwie najczystszej, bezdyskusyjnej. Jest jego najważniejszą tożsamością. Właśnie tego potrzebuje dziś Polska. To coś miał także prezydent Lech Kaczyński. Do dziś czerpiemy z tego źródła, bo to tamta prezydentura dała patriotycznej Polsce siłę do podjęcia tej długiej walki o trwanie naszej ojczyzny, o jej wyniesienie do europejskiej pierwszej ligi.

Rozpoczynająca się prezydentura też da Polsce nowy, mocny impuls. Wszyscy poczuliśmy to 6 sierpnia: to, co obecnie dzieje się w Polsce, to znacznie więcej niż celebracja politycznego zwycięstwa. Z całą pokorą wobec wielkiego zrywu Solidarności i dziś czuć podobne „promieniowanie". Chcemy być wspólnotą, chcemy być lepszą wspólnotą. Władza za wszelką cenę będzie chciała zniszczyć ten wiatr, ale sądzę, że już się jej nie uda.

W osobie prezydenta Karola Nawrockiego pojawił się na scenie polityk niezwykle mocny, w którym nie widać ani krztyny strachu. Pojawił się polityk nieprawdopodobnie zdolny. W ciągu kilku miesięcy doszedł do perfekcji. W ciągu paru godzin wygłosił z głowy cztery piękne, różne wystąpienia, okraszone licznymi cytatami, i nie popełnił nawet najmniejszego błędu. Ani razu nie stracił wątku, ani razu nie stracił płynności, choćby na sekundę. Zapowiedział obronę interesów państwa, obronę konstytucji, ładu prawnego, wypunktował nędzę i mizerię ekipy Donalda Tuska, która choć bardzo się starała, nie była w stanie przykryć wiarygodną maską poczucia, że zostało jej niewiele czasu i nie ma już ratunku. Sam premier zdobył się jedynie na „miniorędzie", w którym przemówił nie jak ktoś kierujący rządem całej Rzeczypospolitej, ale jak lider politycznej sekty, już nieukrywający, że jego cele są nieprzyzwoicie partykularne. W tle jest rozpacz, że dawne zaklęcia po prostu nie działają, nawet jeśli założy się starą białą koszulę z pustym sercem na piersi. Na naszych oczach umiera najbardziej nikczemna operacja polityczna nowożytnej Polski, porównywalna może tylko z wprowadzeniem stanu wojennego. Umiera diabelski pomysł, którego sednem było wywołanie wojny domowej w celu zdobycia i utrzymania władzy. Donald Tusk wprowadził ten pomysł w życie w 2005 r. i trzymał się tego kursu bez żadnych odstępstw przez następne dwie dekady. Sporo wygrał, sporo wygrali nasi wrogowie, wszyscy kosztem Polski.

Mamy nowego prezydenta – Karola Nawrockiego. Ale nie byłoby go, nie byłoby tej pięknej wiktorii, gdyby nie decyzja Jarosława Kaczyńskiego o wskazaniu nieznanego kandydata. Jak opowiadał mi ważny polityk PiS, decyzja została podjęta wbrew ogromnej większości liderów partii. Decyzja osobista, związana z ogromnym ryzykiem. Dziś wiemy, że była ona więcej niż słuszna. To ta decyzja uratowała Polskę przed powtórką z II połowy XVIII w.

Panu Premierowi

Mateuszowi Morawieckiemu

wyrazy najgłębszego współczucia

z powodu odejścia

MAMY

ŚP. PANI

JADWIGI MORAWIECKIEJ

składa

Jarosław Kaczyński

Autopromocja

01/0825/F

eprasa.pl 40dc1e51fc

SIECI spis treści

24 Wielka konfrontacja
Stanisław Janecki

43 Niemcy mocarstwem jądrowym?
Marek Budzisz

56 Sprawa Jolanty Lange vel Gontarczyk. Komu jeszcze należy odebrać medale?
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 **STRACH, POGARDA I NIENAWIŚĆ**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ASTROMAŁPA**
Krzysztof Feusette

9 **IMPONUJĄCA INAUGURACJA!**
Jan Pietrzak

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ATOMOWY KONSERWATYSTA KONTRA KLIMATYCZNA KOMEDIA**
Daniel Obajtek

13 **NIELEGALNĄ IMIGRACJĘ DA SIĘ ZATRZYMAĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ŁUKASZA GAWROŃSKIEGO**
Michał Korsun

18 **NAWROCKI KONTRA DEKRET TUSKA**
Samuel Pereira

18 **PREZYDENCI JEDNEJ WIZJI**
Arkadiusz Mularczyk

19 **FAŁSZERZE Z TYTUŁAMI**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **DLACZEGO STRACIŁ KONTAKT?**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

24 **WIELKA KONFRONTACJA**
Stanisław Janecki

27 **SEN O WIELKIEJ POLSCE**
Z Miłoszem Lodowskim rozmawia Dorota Łosiewicz

30 **ZNÓW ATAKI NA PAMIĘĆ O POWSTANIU**
Piotr Gursztyn

33 **OSTATNI BAL PRZED EMERYTURĄ**
Konrad Kołodziejski

36 **CZY KARD. RYŚ CHCE BYĆ LIDEREM „KOŚCIOŁA OTWARTEGO"?**
Goran Andrijanić

38 **POLITYKĘ HISTORYCZNĄ NALEŻY BUDOWAĆ NA PRAWDZIE**
Z ks. kanonikiem dr. Grzegorzem Świstem rozmawia Artur Ceyrowski

40 **DOBRA PREZYDENTURA Z KIEPSKĄ KOŃCÓWKĄ**
Jan Rokita

ŚWIAT

43 **NIEMCY MOCARSTWEM JĄDROWYM?**
Marek Budzisz

46 **LICZĄ SIĘ TYLKO ZŁE WIADOMOŚCI**
Aleksandra Rybińska

48 **CZEMPION AFER I KORUPCJI**
Dariusz Matuszak

OPINIE

50 **W MATNI TEORII SPISKU**
Maciej Walaszczyk

53 **Z BOGUSŁAWEM SAMOLEM**
rozmawia Andrzej Potocki

HISTORIA

56 **SPRAWA JOLANTY LANGE VEL GONTARCZYK. KOMU JESZCZE NALEŻY ODEBRAĆ MEDALE?**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **KLASYKA I LUZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

61 **LUDZKI SOKRATES**
Maciej Walaszczyk

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

64 **CZŁOWIEK RYTUAŁU**
Robert Tekieli

GOSPODARKA

66 **POLSKA ZASŁUGUJE NA BIOMETAN**
Z Arturem Zawiszą rozmawia Bartosz Życiński

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: MORGANE POLANSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **ULGA, SATYSFAKCJA, DUMA**
Wojciech Reszczyński

72 **GOTOWANIE ŻABY**
Aleksander Nalaskowski

73 **POLSKIE WIOSŁA**
Ryszard Czarnecki

74 **NIE ZNIKNIE**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 40dc1e51fc

BRONISŁAW WILDSTEIN

Strach, pogarda i nienawiść

„Nie będę budował na strachu, pogardzie i nienawiści" – powtarzał na wiecu w Pabianicach Donald Tusk. „Nie jestem dobry w tej grze" – tłumaczył. Naprawdę, premier jest zdecydowanie zbyt skromny.

Na spotkaniu tym wyłożył istotę swojej polityki i wyzwania, przed którym stanęła. Zagrożeniem, które płynie ze środka koalicji, jest, zdaniem Tuska, oczekiwanie zakończenia konfliktu politycznego w Polsce i wygaszenia radykalnej polaryzacji społecznej, która z niego wynika. Próba łagodzenia tego napięcia to według premiera kapitulacja, słowo, którego, jak oświadczył, nie zna.

Premier głosił, że jeśli koalicjanci zaczną traktować konkurentów politycznych jako normalne ugrupowania, z którymi rozmawia się, negocjuje, a nawet zawiera znajomości, to muszą ponieść klęskę. Zwycięstwo w wyborach 2023 r. możliwe było tylko dzięki traktowaniu rywali jako wcielenia zła, przeciw któremu trzeba się zjednoczyć.

To podstawowa lekcja parteitagu w Pabianicach. Demokratyczne normy i obyczaje to dla Tuska katastrofa. Nie musiał tego zebranym tłumaczyć. Lata jego wysiłków przyniosły owoce. W Pabianicach największy aplauz wywoływały wezwania do rozprawienia się z przeciwnikami. A największym zastrzeżeniem jest to, że nie przebiegają one wystarczająco radykalnie.

Tuska bawią zarzuty krytyków wytykających mu, że jego program jest wyłącznie negatywny. Przeciwnik to zło, które trzeba zniszczyć, a przedsięwzięcie takie integruje jak nic innego. Dlatego walka nie kończy się w momencie zdobycia władzy, ona trwała i trwać będzie. „Bo oni nadal tu są" – podkreślał przywódca.

Wymienia nazwiska: Kaczyński, Braun, Mentzen, Czarnek. Zdaniem Tuska niczym się oni nie różnią. To twarze tłumnego wroga, którego należy się obawiać, gardzić nim i go nienawidzić. Stworzyli w Polsce „rzeczywistość wypaczoną i zdegenerowaną". Realizują politykę Putina, a Tusk nie wie, czy robią to z głupoty, czy za pieniądze. Ich motywem są frustracja i lęk. Nawet w koalicji rozpętali „wyścig zdrajców i głupców". Ich sukcesy były możliwe z powodu poparcia Kościoła, co Tusk jako katolik z bólem odnotowuje.

Jedyne konkrety, do których odwoływał się führer PO, to kłamstwa wielokrotnie zdementowane już nawet przez jego służby: bzdury o tym, że wizy polskie za czasów PiS kupować można było w Afryce na bazarach oraz skrajnie absurdalne deklaracje, że dopiero jego rząd zabezpieczył wschodnie i zachodnie granice Polski.

Tusk wie, że wyznawcy kupią każdy głoszony przez niego nonsens i dlatego może przechwalać się udziałem w budowie „samodzielności obronnej Unii". Realnie oznacza ona, że finansowali będziemy przemysły militarne Niemiec i Francji, które może, w bliżej nieokreślonej przyszłości, zaczną produkować potrzebną nam broń.

Przekaz „premiera wszech czasów" kontynuowali i wzmacniali zebrani. Pani przedstawiająca się jako socjolog przypomniała, że ludzie kierują się emocjami, a wprawdzie KO z Tuskiem, „który deklasuje wszystkich", umiejętnie je rozbudziła, ale nie zaspokoiła wywołanych nimi oczekiwań. Pozytywnym wyjątkiem był Bartłomiej Sienkiewicz.

Reakcje zebranych demonstrowały, że są niezwykle rozczarowani tym, że bojówki „ich" władzy tak jak do TVP nie wdarły się do Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, NBP czy niezależnych redakcji. Uczestnik spotkania, który wyraźnie nadawałby się do takiej roli, deklarował, że chciał coś zrobić Giertychowi za to, że „był w PiS", ale od kiedy ten rozesłał wzory protestów wyborczych, gotów jest za nim „pójść w dym".

Tak jak za Ewą Braun. Chodziło o Ewę Wrzosek, ale pomylenie jej w kontekście Giertycha z partnerką Hitlera daje do myślenia. Wiele jest Ew w historii ludzkości. Wyznawcy Tuska przyszła do głowy Braun.

Jedyny sprzeciw zebranych wywołało oświadczenie premiera, że zgodził się – jakby miał coś w tej sprawie do gadania – na zaprzysiężenie Karola Nawrockiego. Protesty były gwałtowne i zdecydowane. Przywódca PO obudził oczekiwania, które przerosły jego wyobrażenia.

W Pabianicach – nie tylko tam zresztą – Tusk potwierdził, że najbardziej obawia się wygaśnięcia złych emocji i odradzania się demokratycznej normalności. Nie jest w tym odosobniony. Propaganda zachodniego establishmentu budowana jest wyłącznie na lęku przed populizmem, jak nazywane jest demokratyczne przebudzenie narodów, które przez rządzące elity przedstawiane jest jako faszyzm. Jego widmo usprawiedliwiać ma coraz bardziej arbitralne i sprzeczne z interesami społeczeństwa rządy liberalno-lewicowej oligarchii.

Jej propaganda głosi, że jedynie populiści mącą perfekcyjny obraz rzeczywistości Zachodu. Funkcjonuje wprawdzie na jego granicy Putin, ale gdyby nie populiści, nie byłby on problemem. Europejski establishment przemilcza, że Rosja wzrosła w siłę jedynie z powodu jego ślepoty i zachłanności. W polityce, która do tego doprowadziła, Tusk uczestniczył gorliwie.

W grze strachu, pogardy i nienawiści jest prawdziwym mistrzem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 40dc1e51fc

Sygnalista nadaje

No i stało się. Hołownia całkowicie zdradził i ten ***Nawrocki z Gdańska*** został zaprzysiężony na lokatora pałacu prezydenckiego. Ale nic to! Przeczekaliśmy przecież tego Dudę z Krakowa, przeczekamy i tego Nawrockiego. Ani się obejrzycie i znów szybko minie 10 lat. Jak w piosence „Tomorrow Belongs to Me" (pamiętacie, Donald kiedyś ją wspominał). Nadejdzie 2035 r. i Kaczyński nie będzie miał kogo wystawić w wyborach prezydenckich. A strona demokratyczna? Tam będzie zatrzęsienie świeżych i energicznych kandydatów: Bronisław Komorowski – lat 83, Małgosia Kidawa-Błońska – 78 lat, Rafał Trzaskowski – 63 lata (trochę jeszcze za młody), no i junior partner premiera – Radosław Sikorski (tylko 72 lata). Znów prawybory i będzie z kogo wybierać!

Ten Nawrocki z Gdańska przemawiał w Sejmie. Mówił różne niemiłe rzeczy pod adresem ***premiera Tuska*** i całego rządu. Ze szczególnym uwzględnieniem ministra ds. zwalniania sędziów pana Żurka. „To smutny dzień" – napisał Tomek Lis, autorytet moralny strony demokratycznej. Ale już rodzą się mściciele. „Chce mieć konfrontację polityczną, to będzie miał konfrontację polityczną" – odpowiedział neoprezydentowi ***poseł Trela***. Albo poseł Zembaczyński. Trudno ich odróżnić, ale wiadomo, że obaj są czempionami walki o praworządność. Są najlepszym, co ma strona demokratyczna! Ich sile nikt się nie oprze. Nawet neoprezydent Nawrocki. Zwłaszcza że nie jest prezydentem, co ogłosił legendarny przywódca Lech Bolesław Wałęsa. Nie jest, bo nie przeliczono głosów. Czekamy zatem, aż mecenas Giertych dokończy liczyć głosy.

Znowu oszalałe ataki na premiera Donalda Franciszka Tuska. Tym razem za to, że 1 sierpnia, w piątek (to ważna okoliczność), nie uczestniczył w jakimś zgromadzeniu w Warszawie. Chodzi o jakąś rocznicę czy inne obchody. Zabobon o cechach nacjonalistycznych, antyunijnych i militarystycznych, w sam raz dla jakiegoś Bąkiewicza, a nie premiera europejskiego państwa. Dlatego wszelkie pretensje do szefa rządu o nieobecność należy uznać za absolutnie bezzasadne. Zwłaszcza, że to piątek, a każdy wie, że premier Tusk w czwartki opuszcza Warszawę. Bo są rzeczy ważne i ważniejsze.

Hejterzy mają pretensje, że premier nic nie napisał o rocznicy 1 sierpnia nawet na swoim koncie na platformie X. No i co z tego? Kanclerz Merz też nic nie napisał. A krótko potem premier Tusk zamieścił przecież ładne wpisy o sukcesach sportowych oraz o tym, że nie lubi premiera Netanjahu. Czekamy na nowe zdjęcia z wnuczkami.

Zamykając sprawę zabobonów nacjonalistyczno-antyunijnych – pora na zmianę hymnu. Ten obecny jest już za stary. I przeterminowany. Ma ponad 200 lat, no i melodia jest niedzisiejsza. Patrząc na sukcesy obecnego rządu, z którym każdy się liczy w Europie, trzeba czegoś innego. Hymnu o bardziej aktualnej treści i nowoczesnej melodii. Z przesłaniem, które wszyscy zrozumieją. Np. to: „To już jest koniec, możemy iść, jesteśmy wolni, bo nie ma już nic".

Po okresie nienawistnego milczenia ***Jarosław Kaczyński*** nienawistnie zaatakował. Celem stała się pani

eprasa.pl 40dc1e51fc

Anne Radkowa Applebaumówna-Sikorska, którą Kaczyński obraził, nazywając „matką Polką". To określenie skrajnie problematyczne z perspektywy feministycznej, ponieważ wpisuje Ankę Applebaumównę w patriarchalne stereotypy i ogranicza tożsamość kobiety do roli macierzyńskiej oraz narodowej. Termin „matka Polka" niesie obciążenie historyczne, promując wizję kobiety jako poświęcającej się dla rodziny i ojczyzny, co umniejsza jej indywidualność, osiągnięcia intelektualne i atrakcyjność seksualną. Protestujemy przeciw retoryce wzmacniającej tradycyjne role płciowe i marginalizujące kobiety w wąskim, narodowo-katolickim archetypie.

Poza tym Kaczyński, redukując Anne Applebaumównę do stereotypowej, patriarchalnej roli, nie uszanował jej indywidualnej tożsamości płciowej. Powinien najpierw zapytać o preferowane przez nią zaimki. A przecież każda osoba szanująca inkluzywność tak by zrobiła i zapytała, czy ona jest „she/her", czy „he/him", a może jeszcze inaczej. Ale nie on! Narzucając seksistowski stereotyp, wybrał przemoc. A dokładniej – przemoc symboliczną. I rzecz najważniejsza: matka jest tylko jedna. To Muti. Angela Merkel.

À propos wyższości inkluzywnego feministycznego kobiecego świata nad szowinistycznym i faszystowskim patriarchatem. Piękne świadectwo kobiecej solidarności dała Aleksandra Leo, ministra kultury *in spe*. A dokładniej opisała to, dlaczego nie została tą ministrą kultury: „Spotkałam się z takimi zachowaniami, z którymi w polityce, we własnej partii, wolałabym się nie spotykać. Tyle się mówi w polityce, że jest nas mało, kobiet, i że ciągle musimy walczyć z mężczyznami, żeby w tej polityce się znaleźć, a tymczasem okazuje się, że bardzo często tym przeciwnikiem czy wrogiem jest nie mężczyzna, z którym trzeba walczyć o to miejsce, a jednak kobieta". I wiecie, co jest najgorsze w tej historii? To, że Olę Leo – osobę, która kiedyś pracowała w „Dzień dobry TVN" i w biurze Anny Komorowskiej – wygryzła jakaś Marta Cienkowska, która niespodziewanie wskoczyła w fotel ministry kultury. Córka fryzjerki z Ciechanowa. Na dodatek o sześć lat młodsza. Życie to piekło.

Czas na przenikliwe analizy. Autor – Boguś von und zu Chrabota, arystokrata z Nowej Huty, kiedyś naczelny „Rzepy", ale potem wygryziony z posady przez własnego lokaja. Temat: podsumowanie prezydentury niejakiego Andrzeja Dudy. Zdaniem Bogusia cały ten okres to zmarnowana dla Ten Kraju dekada: „Andrzej Duda nigdy nie stał po stronie elit. On strony elit w ogóle nie

brał pod uwagę. ***Andrzej Duda*** był prezydentem jarmarków, kółek różańcowych, klubów gospodyń wiejskich" – stwierdził Boguś von und zu Chrabota. Duda był także – dodajmy, aby go bardziej pogrążyć – prezydentem tych, co brali 500+, a potem robili kupy na wydmach. Bardziej inkluzywnie nie da się już tego powiedzieć!

Jeśli chodzi o tego Dudę, Andrzeja, to wiadomo, co chce zrobić, po tym jak skończyła mu się fucha głowy państwa. Planuje założyć własny think-tank. To takie miejsce, gdzie jedni rozmyślają, a inni tankują. Wybór jest prosty. Wiadomo, o co aplikować.

„Gazeta Wyborcza" ujawniła straszną rzecz. To, dlaczego Rafał Trzaskowski – prezydent naszych serc – był prawdziwym prezydentem tylko przez dwie godziny. Jego szanse zostały zaprzepaszczone przez ludzi bez wyobraźni i odwagi. „GW" pisała o tym, że politycy Koalicji Obywatelskiej wydzwaniali do neo-TVP, aby ta zrobiła wywiad z prawdziwym autorytetem moralnym, idolem młodzieży i intelektualistą Jaculą Murańskim. Wywiad miał być o tym Nawrockim z Gdańska, co teraz jest już neoprezydentem. Ale neo-TVP odmówiła, że niby nie będzie ulegała naciskom polityków. Ale jakie naciski? Przecież to były życzliwe i bezinteresowne rady zwykłych widzów.

Neo-TVP jest dobra, a neosędziowie źli. Chyba że wydają praworządne wyroki. Takie np. jak w sprawie frankowej, którą wygrał sędzia minister Waldek Żurek. I wtedy neosędziowie są dobrzy. A teraz ta sama sprawa toczy się w drugiej instancji. I tak się złożyło, że znów osądzi ją kolejna osoba neosędziowska. Ciekawe, czy stanie na wysokości zadania i wyda praworządny wyrok. Tak, jak my rozumiemy praworządność.

Last, but not least. Wspaniała inicjatywa prof. Christopha Ruchniewicza z Instytutu Staufenberga (dawniej Instytut Pileckiego). Profesor wzywa Polskę, aby ta zwróciła prawowitym właścicielom dobra kultury zrabowane przez Polaków w Niemczech. Czas zadośćuczynić polską winę za agresję na Rzeszę w 1939 r. i wszystkie krzywdy, które wyrządziliśmy umęczonemu narodowi niemieckiemu. Ta szlachetna inicjatywa spotkała się z falą nienawistnych ataków ze strony prawicy, która domaga się tego, aby to Niemcy oddali nam dzieła sztuki. Rzekomo przez nich zrabowane, co nie jest prawdą, bo przecież wiadomo, że to Polska napadła na Niemcy i sama sobie zburzyła Warszawę w 1944 r. A poza tym w Polsce przed jej przystąpieniem do Unii Europejskiej nie było żadnych dzieł sztuki.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3, Ludmyła Skwarczyńska

eprasa.pl 40dc1e51fc

Astromałpa

Krzysztof Feusette

Kierwiński: Panie premierze, jest bardzo, bardzo źle!
Tusk: To znaczy?
Kierwiński: To znaczy, że otrzymałem komunikat!
Tusk: Od kogo?
Kierwiński: Nie wiem od kogo, ale chodzi o to...
Tusk: Wróć, jak będziesz wiedział.
Kierwiński: To jest pilne!
Tusk: Pilne to są telefony z Berlina. Weź mnie, kierwa, nie strasz. Meldować!
Kierwiński: Chodzi o to, że... oni lecą...
Tusk: W sondażach?
Kierwiński: Chrzanić sondaże! Lecą naprawdę!
Tusk: Pisiory?
Kierwiński: Gorzej!
Tusk: Nie ma gorzej.
Kierwiński: Obcy!
Tusk: Migranci?
Kierwiński: Migranci też, ale oni wjeżdżają. A ci lecą!
Tusk: Kto, kierwa, Amerykanie?! Powiesz, że mnie nie ma. Pilna wizyta stomatologiczna.
Kierwiński: Chyba gastrologiczna? Będzie bardziej wiarygodnie. Ale to nie oni. Ja mam na myśli niezdęty... niezwindykowany obiekt latający. UFO.
Tusk: Co wziąłeś? A nie, zapomniałem, że ty jesteś z antynarkotykowej. Co piłeś?
Kierwiński: No, kierwa, nic! To Polsat News podał!
Tusk: Nienawidzę. Od czasu tej małpy, mówię oczywiście o Rymanowskim.
Kierwiński: To co powiedzieć o Murańskim?
Tusk: O kim?
Kierwiński: Zapomniałem, że premier nie ma pamięci do takich twarzy. To co robimy?
Tusk: Z twarzami?
Kierwiński: Z tym, że lecą! Moim zdaniem trzeba zorganizować powitanie.
Tusk: Sławosz już wie?
Kierwiński: Pies trącał Sławosza. Trzeba wydzwonić jego żonę!
Tusk: To ta, co ją przywiózł?
Kierwiński: Z kosmosu?!
Tusk: Z Niemiec, kierwa. To, że dziwnie mówi, nie znaczy, że obca. NASA już by tu była.
Kierwiński: Ale ona jest nasa, to znaczy nasza. A co, jeśli on nie chciał wysiadać po powrocie, bo się zorientował, że ona jest obca? Widział pan premier „Obcego 4"?! To się wyłania...
Tusk: Uspokój się, jesteś szefem MSW. My nie jesteśmy od tego, żeby wchodzić z butami w intymne życie astronauty. Siłą wyciągali go z kapsuły, widocznie miał facet powody. Nigdy nie wracałeś z wakacji? Ja to musiałem kupować sanki, bo groziła, że wszystko opisze w książce. „A, to pisz sobie". Nie wiedziałem, co mówię...
Kierwiński: Może niech ta Uznańska-Wiśniewska im zaśpiewa? O, to by było dobre: „Rozpędzeni prosto w stronę słońca... Słońca Peru, które nie ma końca...".
Tusk: A co oni mogą wiedzieć o Peru?
Kierwiński: No jak to, Ameryka Południowa, oni tam już byli. Ten pisał, no...
Tusk: Tokarczuk.
Kierwiński: Nie, Dan Wrzosek, to znaczy Braun. Nie! Dan Iken!
Tusk: Sam widzisz, że to się zapomina. A skąd w ogóle wiadomo, że lecą akurat do nas?
Kierwiński: No nie wiem, ale nie widzi premier, jak ona się zachowuje? Opowiada, że widziała Ziemię i że Droga Mleczna, i że każda komórka Sławosza kochała, jak wysiadała z samolotu... Czy to jest normalne?
Tusk: Może ma parcie?
Kierwiński: Parcie to ja mam, ale jakby mi żona poleciała w kosmos, to na pewno nie wysiądę pierwszy z samolotu. Skąd ona się w ogóle u nas wzięła?
Tusk: Obciec, to znaczy ojciec, ma pieniądze.
Kierwiński: Aha. A czy nie można dać jej czegoś po rekonstrukcji, żeby się wyciszyła? Bo ona ich przywołuje!
Tusk: Chcesz ją w MSW?
Kierwiński: Nigdy w życiu. To może być zaraźliwe, za miesiąc cała policja będzie tak bełkotać. Ale że on na bombie poleciał?
Tusk: Jak na bombie?
Kierwiński: No tak mówiła, że „na bombie", potem błysk, ogień i każda komórka, że on tam, a ja tu, to znaczy ona. Potem, cytuję, „ten człon odleciał".
Tusk: Nie rozumiem?
Kierwiński: Ja też nie. Ale może między nimi nie jest najlepiej? Bo w sumie wraca chłop do domu z roboty, a tam – nie ma atmosfery. He, he... Dobre, co?
Tusk: Ona ci się podoba?
Kierwiński: Mnie się podoba wszystko to, co się podoba premierowi. Nadmienię jednak, że w prawyborach to Sikorski jej wkręcał śrubę w koło.
Tusk: Widzisz, jaka przewidująca?
Kierwiński: Czyli to jednak nie są plotki?
Tusk: Że co?
Kierwiński: No, że premier ten teges, siup za Odrę? Albo i dalej? A Radek na....
Tusk: Czy ty się czasem zastanawiasz, co mówisz?! To się musi skończyć. Będziesz dmuchał na każdym posiedzeniu!
Kierwiński: Ale za co?
Tusk: Za to, że ulegasz taniej, populistycznej propagandzie, iż premier jest wypalony!
Kierwiński: A kiedy ja tak powiedziałem?
Tusk: Ja to powiedziałem. Więc informuję ciebie oraz tobie podobnych, że pogłoski o mojej śmierci...
Kierwiński: Jezus, Maria...
Tusk: Nie przerywaj. No więc te pogłoski są mocno przesadzone. A jak Radek myśli, że wjedzie na koniu, to chyba nie zna siły Człowieka Zupy albo Bobasa Pogłosa!
Kierwiński: A kto to jest?
Tusk: Ten, co przemawiał na Dniu Strażaka...
Kierwiński: Wiało, jak cholera.
Tusk: Tylko tobie.
Kierwiński: Uwarunkowania auto... amfo...sferyszne.
Tusk: Odstaw to wreszcie! Jak ty chcesz potem ścigać pijanych kierowców?
Kierwiński: Oni lecą, nie jadą. Niech premier zadzwoni do tej Sławoszowej, ona się z nimi dogada! I najlepiej niech ją zabiorą.
Tusk: Nic nie rozumiesz. Następny lecę ja. Robimy tak: jeśli wylądują, dasz im obiad, najlepiej ruskie, bo ruskie już tam były, potem pędzisz do Kosiniaka-Kamysza, że premier chciał pożyczyć ewakuacyjny plecak. Tylko mu powiedz, że zaraz oddasz. Przynosisz plecak i czekamy, aż będą mieli powrotny. A na stacji kosmicznej to już mnie wszyscy mogą w d... pocałować.
Kierwiński: A jak polecą gdzie indziej?
Tusk: Ważne, żeby nie było ekstradycji. Leć już, bo muszę poszukać skafandra.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Imponująca inauguracja!

Jan Pietrzak

Zaprzysiężenie Karola Nawrockiego zrobiło wrażenie na zgromadzonych tłumach. Wrogowie Polski zgrzytają zębami, ale stało się! Trawestując Asnyka: „Już nie cofniecie życia fal, nic skargi nie pomogą, daremne żale, próżny trud, Polska pójdzie swoją drogą!". Choćby się premier skichał w rajtuzy, nie cofnie tego. To postać złożona, niejednoznaczna. Jeszcze tydzień temu mówiłem, że nie popieram połajanek, jakimi obrzucono Tuska z powodu absencji podczas rocznicy powstania warszawskiego. Akurat wtedy zachował się jak należy. To nie jego historia, nie jego prawda, nie jego krewni w mogiłach. Nie musi udawać, że powstanie go obchodzi. Ten kawaler wielu niemieckich orderów i nagród jest dyskretny w okazywaniu szacunku mieszkańcom kraju, w którym wykonuje misję premiera. Znany idol Tom Cruise zakończył swoją serię „Mission: Impossible", Don Tusk kontynuuje swoją mission possible na polecenie przełożonych. Jest zmotywowany, zajadły, nieustępliwy... Co zaliczy wpadkę, znika na kilka dni, by wypracować dalsze postępowanie ze sztabem operacji. Twardy zawodnik z mocnym zapleczem za Odrą.

Z tego powodu rozpoczynająca się właśnie w tych dniach kohabitacja z nowym prezydentem Karolem Nawrockim zapowiada się bardzo interesująco. Nie będziemy się nudzić. Choć kończyli ten sam wydział, różni ich wszystko – stosunek do Polski, ideologia, praktyka i wiek. Dla mnie to pozytywny szok, że mamy prezydenta urodzonego w 1983 r. Ja już wtedy byłem stary!

Podczas karnawału Solidarności (1980–1981) patrzyłem ze wzruszeniem, ale trochę z pozycji wujka, jak młodzież w halach fabrycznych, na mitingach śpiewała ze mną „Żeby Polska była Polską". Prezydent Duda, też w gruncie rzeczy z mojej perspektywy młodzieniec, jednak trochę się otarł o klimaty PRL, tamtą mentalność, złogi i nałogi. Wiedział, dlaczego mamy dość PRL. Jestem przekonany, że z racji głębokiej wiedzy historycznej prezydent Nawrocki rozumie wszystko, co tu przeżywały starsze roczniki, ale emocje dawnych pokoleń trudno opisać.

Nie do akceptacji jest wasalna pozycja Polski w relacjach z Niemcami. Jest to efekt poprzednich kadencji lewicowo-liberalnych rządów, zafiksowanych na poddaństwie przynoszącym prywatne korzyści kilku liderom za cenę degradacji całego kraju. 20 lat temu, wstępując do UE, wierzyliśmy w partnerskie relacje z Niemcami i ogólnie biorąc – fair play. To się nie powiodło. Oni chcą decydować o naszych sprawach w każdej dziedzinie – o kopalniach, rolnictwie, imigrantach, edukacji itd. Niemcy, opamiętajcie się! Na początek zabierzcie stąd swojego pracownika, to może kiedyś się dogadamy... Ale to dygresja.

Przede wszystkim gratuluję szanownemu elektoratowi trafnego wyboru! Niech żyje Polska!

Panu Premierowi

Mateuszowi Morawieckiemu

wyrazy współczucia

z powodu śmierci

ŚP.

MAMY

JADWIGI MORAWIECKIEJ

składają

Prezes oraz Wiceprezes
Trybunału Konstytucyjnego

02/0825/F

Z ogromnym żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o odejściu

ŚP.

JADWIGI MORAWIECKIEJ

Mamy Pana Premiera

Mateusza Morawieckiego,

Wdowy po twórcy „Solidarności Walczącej"
Śp. Kornelu Morawieckim,
wielkiej Patriotki, bez reszty oddanej sprawie
wolności i niepodległości naszej Ojczyzny.

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
SYNOWI MATEUSZOWI ORAZ CAŁEJ RODZINIE
W IMIENIU POSŁÓW I PRACOWNIKÓW
GRUPY EUROPEJSKICH KONSERWATYSTÓW
I REFORMATORÓW

składa

Adam Bielan
Przewodniczący Delegacji Polskiej EKR

05/0825/F

eprasa.pl 40dc1e51fc

Bojkot wykastrowanego Kocura

Wielka Brytania

Spółka Jaguar Land Rover (JLR) pozbyła się swojego szefa. Adrian Mardell, który kierował firmą przez trzy lata, doprowadził do katastrofalnego spadku sprzedaży luksusowych aut. A wszystko z powodu równie katastrofalnego rebrandingu kultowej marki należącej dziś do indyjskiego koncernu Tata Motors.

JLR od kilku lat zmaga się z niekończącymi się zmianami zarządu i kłopotami wizerunkowymi. Mardell objął funkcję tymczasowego szefa pod koniec 2022 r. po tym, jak jego poprzednik Thierry Bolloré ustąpił po serii spektakularnych porażek finansowych. Zostały one wywołane m.in. pomysłem pełnej elektryfikacji aut Jaguar do 2025 r. Wyśmienite samochody kojarzące się z komfortem, solidnym wykonaniem i osiągami nie są już produkowane w wersji spalinowej, co negatywnie odbiło się na ich sprzedaży.

Jednak Mardell postanowił gasić pożar, dolewając oliwy do ognia. Wpadł bowiem na pomysł przebudowy dotychczasowej tożsamości i charakteru jaguara. W listopadzie 2024 r. w mediach pojawiła się 30-sekundowa reklama z nowym logo firmy, w której zamiast samochodu pokazano androgenicznych modeli przebranych za kobiety. Potem okazało się, że cała kampania reklamowa polegała wyłącznie epatowaniu ideologią woke i transgender syconą różowymi barwami przypominającymi reklamy lalek Barbie. Ten przekaz został z miejsca odrzucony i wyśmiany przez klientów firmy, a oni sami wydali na nią rynkowy wyrok w postaci bojkotu nowych aut.

Według danych Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów (AECA) w kwietniu tego roku firma sprzedała tylko 49 nowych pojazdów w porównaniu z 1961 egzemplarzami sprzedanymi w tym samym miesiącu ub.r., co oznaczało spadek – wraz ze sprzedażą samych silników – aż o 75,1 proc. Z kolei w całym roku finansowym 2024/2025 Jaguar sprzedał na całym świecie zaledwie 26 862 samochody, notując aż 85-proc. spadek w porównaniu z 2018 r.

Oceniono, że ta zapaść była spowodowana porzuceniem przez markę swoich korzeni. Popularny na całym świecie rasowy kocur został wykastrowany, spiłowano mu pazury oraz kły, a teraz dodatkowo przebrano za niewydarzoną kotkę. Na szczęście nikt nie dał się na to nabrać i miejmy nadzieję, że jako symbol europejskiej motoryzacji wróci silniejszy, piękniejszy i jeszcze bardziej drapieżny.

Maciej Walaszczyk

Mjanma

Cyfrowe obozy koncentracyjne

Niedawno grupa reporterów śledczych z Nikkei Asia opublikowała wyniki dziennikarskiego dochodzenia dotyczącego jednej z najbardziej przerażających sieci przestępczych na świecie, która operuje na terenie Mjanmy (dawnej Birmy).

Autorom raportu udało się zidentyfikować przy granicy z Tajlandią co najmniej 16 ośrodków globalnych oszustw internetowych. To ufortyfikowane kompleksy przypominające miasta, z własnymi biurami, sklepami czy szpitalami. Są one otoczone wysokimi murami, drutami kolczastymi i wieżyczkami strażniczymi. Zamieszkuje je społeczność niemająca prawa wychodzenia na zewnątrz i zmuszana do niewolniczej pracy. Oblicza się, że jest tam przetrzymywanych ok. 120 tys. osób.

Ich zajęcie polega na dokonywaniu rozmaitych przestępstw internetowych przez oszukiwanie ludzi, kierowanie ich na fałszywe platformy transakcyjne i wyłudzanie pieniędzy. Wykorzystują przy tym zaawansowane technologie, np. systemy sztucznej inteligencji, które pozwalają klonować cudze głosy po zaledwie 3 sekundach nagrania, czy też cyfrowo przetworzone filmy metodą deepfake, które łudząco symulują rzeczywistość.

Jest to niezwykle intratny biznes. Wspomniane centra w Mjanmie od 2020 r. zdołały ukraść od naiwnych internautów na całym świecie ponad 75 mld dol. Według szacunków ONZ cały przemysł oszustw cyfrowych w Azji Południowo-Wschodniej przynosi ich organizatorom ok. 64 mld dol. rocznie. Departament SkarbuUSA poinformował, że tylko obywatele Stanów Zjednoczonych w 2023 r. stracili w ten sposób ponad 3,5 mld dol. W wielu przypadkach były to oszczędności całego życia.

Ludzie, którzy generują te zyski, pracują jak niewolnicy. Mieszkają w 8-osobowych pokojach, pracują po 16 godzin na dobę, a za brak należytych wyników są torturowani. Niektórzy z nich nie wytrzymują maltretowania i umierają. Co ciekawe, z raportu Nikkei Asia wynika, że nadzorcy niewolników są w zdecydowanej większości Chińczykami. Na razie cywilizowany świat pozostaje bezsilny wobec tych oszustw.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x2, YouTube, Wikipedia

eprasa.pl 40dc1e51fc

Ku „demokratycznej dyktaturze”

44-letni prezydent Salwadoru Nayib Bukele (na zdj.) uzyskał możliwość sprawowania funkcji przez kolejne lata. Parlament zdominowany przez jego formację Nowe Idee zniósł właśnie limit liczby kadencji prezydenckich.

Za zmianami w konstytucji opowiedziało się 57 deputowanych zasiadających w liczącym 60 miejsc parlamencie, a cała operacja zajęła posłom godzinę, przed ostatecznym głosowaniem nie przeprowadzono bowiem nawet debaty w komisjach. Deputowani zdecydowali też o wydłużeniu kadencji do sześciu lat (zamiast obecnych pięciu) i przeprowadzeniu kolejnych wyborów prezydenckich w 2027 r. zamiast, jak planowano, w 2029. Ana Figueroa, jedna z deputowanych głosujących za zmianami w konstytucji, powiedziała, że dzięki podjętej decyzji „kraj zaoszczędzi miliony dolarów” wydawanych na organizowanie wyborów. Jej słowa są uznawane przez opozycję za zapowiedź „śmierci demokracji” w Salwadorze, która przybierze formę plebiscytarną i będzie się sprowadzała do zatwierdzania Bukele na kolejne kadencje.

Salwador

Obecny prezydent, który wygrał wybory, zdobywając 83 proc. głosów, utrzymuje popularność przede wszystkim dzięki temu, że udało mu się zniszczyć potęgę kryminalnych syndykatów terroryzujących sześciomilionowe społeczeństwo Salwadoru. Wskaźnik morderstw spadł z 52 na 100 tys. mieszkańców w 2018 r. do mniej niż 2.

Bukele, którego uważa się za jednego z głównych zwolenników Trumpa w Ameryce Łacińskiej, nie kryje dążenia do zaprowadzenia rządów silnej ręki w połączeniu z liberalizmem w kwestiach ekonomicznych. Dał się poznać nie tylko jako twórca największego na świecie więzienia, w którym oprócz przestępców osadzono m.in. Wenezuelczyków wydalonych ze Stanów Zjednoczonych, lecz także zwolennik otwarcia salwadorskiej gospodarki na nowe rozwiązania. Takim jest m.in. jego decyzja o uznaniu bitcoina za obowiązujący środek płatniczy.

Formalnie w Salwadorze nadal obowiązuje wprowadzony w 2022 r. stan wyjątkowy, który jest regularnie przedłużany. Umożliwiło to aresztowanie 85 tys. osób podejrzanych o przynależność do grup przestępczych. Obrońcy praw człowieka alarmują, że są to ludzie więzieni bez procesu i nawet bez możliwości kontaktu z adwokatem, a ostatnie działania uznają za zapowiedź wprowadzenia dyktatury. Nie zmienia to jednak faktu, że Nayib Bukele jest dzisiaj najpopularniejszym prezydentem w Ameryce Łacińskiej, a inne kraje, takie jak Ekwador, zaczynają kopiować jego rozwiązania.

Marek Budzisz

Iran

Susza pożera kraj

Gigantyczne upały, podczas których temperatura przekraczała 50 st. Celsjusza, wywołały na początku sierpnia poważny kryzys wodny w Iranie. W wielu regionach doszło do długotrwałych przerw w dostawach wody, a władze chcą się ratować jej importem z sąsiednich krajów.

Według służb meteorologicznych pod koniec lipca Iran przeżył najgorętszy tydzień w roku. Kraj ten – oprócz ekstremalnych temperatur – od kilku lat zmaga się z groźną suszą. Obniżone lustro wody w rzekach zaburzyło pracę większości elektrowni wodnych, co doprowadziło do zakłóceń w produkcji energii elektrycznej. Klęska żywiołowa nie oszczędziła nawet stołecznego Teheranu, gdzie ogłoszono dodatkowy dzień wolny, aby zmniejszyć w ten sposób zużycie prądu i wody.

Większość zasobów irańskich miast, w tym stolicy, pochodzi z wód gruntowych, których poziom jest w tym roku rekordowo niski. Przyczynę stanowi nie tylko susza, lecz także wieloletnia rabunkowa eksploatacja wody. Ok. 90 proc. zasobów pochłania rolnictwo, jednak system kanałów irygacyjnych jest bardzo nieefektywny. Dodatkowo sieć zapór, która miała napędzać irańską energetykę, spowodowała pustynnienie wielu obszarów. Sygnałem ostrzegawczym było wyschnięcie w 2023 r. jeziora Urmia, największego zbiornika wodnego w północno-zachodniej części Iranu, ale ponieważ jezioro było zasolone, nikt nie ogłaszał ogólnokrajowego alarmu.

Dziś sytuacja zaczyna się zmieniać pod tym względem. Zdaniem niektórych specjalistów jeżeli nie spadnie deszcz, zasoby wody w Teheranie mogą wyczerpać się w ciągu kilku tygodni. „Kryzys wodny jest poważniejszy, niż myśleliśmy i jeśli nie podejmiemy teraz pilnych działań, to w przyszłości będziemy musieli stawić czoło sytuacji, na którą już nie będzie lekarstwa” – ostrzegł prezydent Iranu Masud Pezeszkian.

W wielu miejscach przerwy w dostawach wody trwają po 12 godzin i dłużej. Władze prowadzą rozmowy na temat importu wody z Turkmenistanem, Afganistanem, Tadżykistanem i Uzbekistanem. Równie dramatyczna sytuacja panuje w sąsiednim Iraku, gdzie zasoby spadły do zaledwie 8 proc. Wszyscy w regionie oskarżają się wzajemnie o budowanie zapór, które blokują swobodny przepływ wody i odbierają do niej dostęp sąsiadom. Na razie nikt nie toczy wojen z tego powodu, ale przedłużająca się susza może w przyszłości wszystko zmienić.

Konrad Kołodziejski

Atomowy konserwatysta kontra klimatyczna komedia

Karol Nawrocki został prezydentem i – o zgrozo! – nie przybył do pałacu z broszurą „Fit for 55", tylko z egzemplarzem konstytucji i kilkoma ostrymi pytaniami do Brukseli. Są one bolesne: kto pozwolił eurokratom z Rue de la Loi decydować, czym mamy grzać zimą? Dlaczego emisja CO_2 z niemieckiej turbiny gazowej ma zapach rozwoju, a z polskiego komina – zapach nacjonalizmu? I czy naprawdę „zielona transformacja" musi wyglądać jak plan Moskwy, tylko z logiem UE i bez cyrylicy?

Nawrocki mówi: dość hipokryzji. Nie po to przez dekady wychodziliśmy z cienia imperium zła, by dziś klękać przed energetycznym dogmatyzmem z Berlina i Brukseli. I choć ministerialne salony w Warszawie wciąż nieśmiało dyskutują, co wolno, a czego nie wolno mówić o ETS, Nawrocki już w kampanii wyjął zielone papiery i zapalił nimi ognisko wolności. A potem dorzucił do niego unijną mapę „sprawiedliwej transformacji" – tej samej, która zlikwidowała polskie kopalnie, ale zostawiła niemieckie.

Bo prezydent Nawrocki to nie urzędnik ds. podpisywania wszystkiego, co się ładnie nazywa „pakietem europejskim", ale człowiek, który rozumie, że energetyka to nie broszura, tylko broń. A Polska ma ją trzymać w ręku, a nie oddawać do przechowania w Brukseli. On nie pyta, „czy wypada", tylko mówi: „Zrobimy to po naszemu". Czyli: atom – tak, ale z USA. Węgiel – nasz, nie z Kolumbii. Gaz – most do niezależności, a nie lina do zawiązania wokół szyi.

Ktoś powie: ale przecież rząd też nie lubi Zielonego Ładu! Owszem, nie lubi – ale tak jak szef w korporacji nie lubi konferencji: narzeka, ale przychodzi. Nawrocki nie przychodzi. On zamierza rozwalić klimatyczny stolik, przy którym Polska zawsze siedzi najbliżej wyjścia awaryjnego i płaci rachunek za wszystkich.

I nie chodzi tu o „izolację od Europy". Przeciwnie – chodzi o nową Europę. Prezydent Nawrocki nie mówi o „Europie" w wersji wyprodukowanej w Berlinie. Mówi o Europie Środkowo-Wschodniej – realnej, trzeźwej, zmęczonej protekcjonalizmem Zachodu, znającej cenę gazu, wojny i poddaństwa. Format Trójmorza, który dla niektórych polityków jest ładną nazwą folderu z grantami, dla Nawrockiego jest polem bitwy o geopolityczną podmiotowość regionu. Tu nie chodzi o zdjęcia z prezydentem Rumunii – tu chodzi o rurociągi, porty, elektrownie atomowe, wspólne weto wobec idiotyzmów zza Odry i zachodnich iluzji o „europejskiej solidarności", która działa tylko wtedy, gdy płacą inni.

Oto różnica. Rząd w Warszawie wciąż bawi się w domykanie „europejskich kompromisów", które polegają na tym, że Polska płaci, ale może się uśmiechnąć. Prezydent Nawrocki nie zamierza się uśmiechać. On przypomina: Polska to państwo, a nie land, nie zależna firma, nie klient klimatycznego banku kar i nagród. A jeśli ktoś się z tym źle czuje, to może czas na urlop – najlepiej bez klimatyzacji.

Sojusze? Jasne, ale realne. Z kimś, kto ma technologię i nie moralizuje przy każdym uścisku dłoni. Z USA, które proponują współpracę w atomie, inwestycje infrastrukturalne i partnerstwo bez kolonialnej protekcji. To nie przypadek, że Nawrocki patrzy na Biały Dom, a nie na domki w Strasburgu. Tam są decyzje – nie dokumenty.

Zadania przed nim są jasne: zatrzymać dyktat klimatycznego kolektywizmu, uruchomić realne partnerstwa w regionie, przywrócić energetyce pragmatyczną twarz i – co najtrudniejsze – pokazać, że można być prezydentem, który nie pyta o zgodę, tylko ją buduje – wokół polskiego interesu.

Nawrocki nie przyszedł, by gładko współpracować z rządem. Przyszedł, by im przypomnieć, że pałac prezydencki to nie korespondencyjne biuro Rady Ministrów, tylko instytucja, która ma prawo powiedzieć: „Nie tędy droga, panowie". Polska nie potrzebuje dziś więcej „europejskich kompromisów", ale światła. I prezydent właśnie przełącza zasilanie – z Berlina na Trójmorze.

Daniel Obajtek

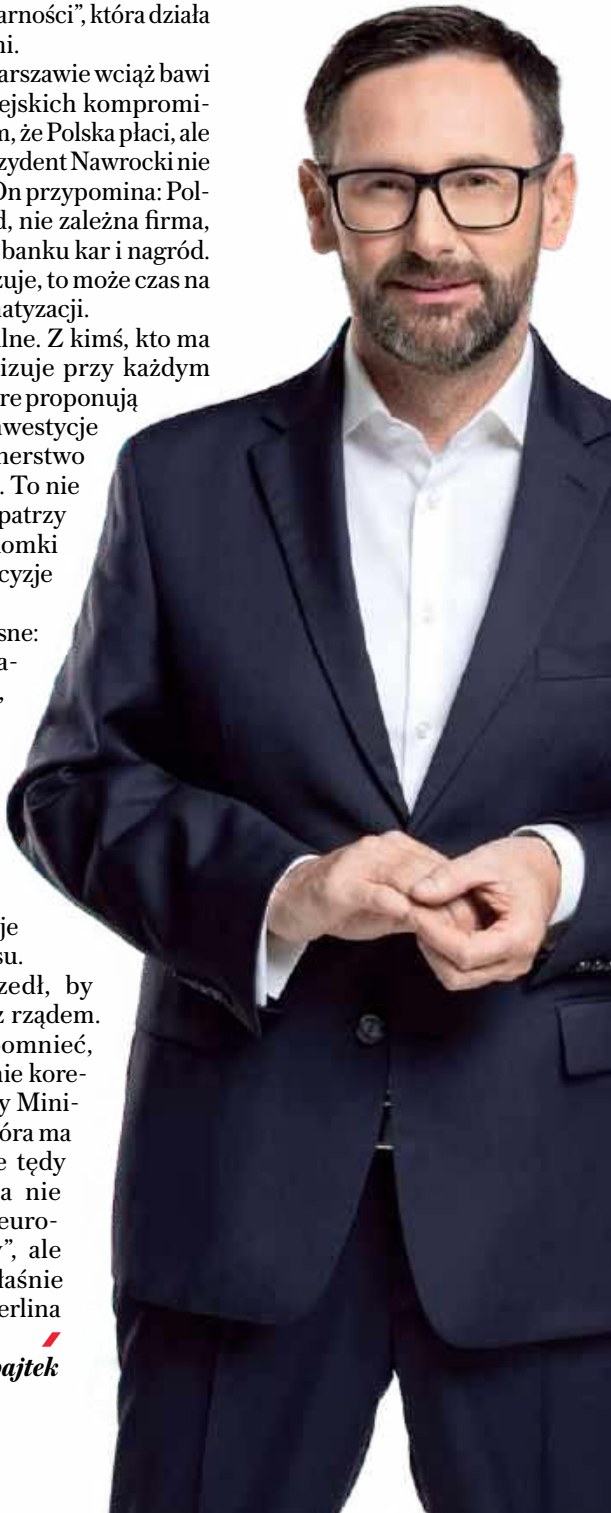

eprasa.pl 40dc1e51fc

Nielegalną imigrację da się zatrzymać

Marta Kaczyńska-Zielińska

Od lat wszelkie działania podejmowane przez Unię Europejską zdają się wyrażać przeświadczenie, że nielegalnej imigracji nie da się powstrzymać. Według Komisji Europejskiej remedium na falę stale napływających nachodźców ma być ich przymusowe rozlokowywanie w poszczególnych państwach europejskich i legalizacja ich pobytu.

W Stanach Zjednoczonych skala nielegalnej imigracji za rządów prezydenta Joe Bidena była bezprecedensowa, ale zaledwie kilka miesięcy po objęciu urzędu przez Donalda Trumpa liczba osób przekraczających granicę spadła o 93 proc. Okazuje się, że nielegalną imigrację można znacznie ograniczyć, jeśli rząd wykazuje się w tym zakresie realną determinacją i odpowiednimi kompetencjami. Podstawą polityki imigracyjnej Trumpa jest usuwanie nielegalnych imigrantów ze Stanów Zjednoczonych i obietnica „masowych deportacji". Wzmocniono granicę USA–Meksyk. W rozporządzeniu wykonawczym Trump zawiesił wjazd wszystkich nieudokumentowanych migrantów do USA, a funkcjonariusze straży granicznej otrzymali polecenie, aby odsyłać osoby bez weryfikacji przesłanek uzyskania prawa azylu. Przed wydaniem rozporządzenia migranci mogli dotrzeć na granicę USA i mieli prawo ubiegać się o azyl.

Dużą zmianą, odczuwalną niemal natychmiast po objęciu urzędu przez Trumpa, było wycofanie aplikacji CBP One na smartfony, która została uruchomiona przez administrację Bidena w celu zorganizowania i usprawnienia wjazdu migrantów, za pomocą której mogli oni umawiać się na spotkania z funkcjonariuszami amerykańskiej straży granicznej. Niektóre z dekretów Trumpa zostały podpisane w celu rozszerzenia uprawnień Służby Imigracyjnej i Celnej (ICE) do aresztowania i zatrzymywania nielegalnych imigrantów na terytorium USA. Jedno z nich uchyla obowiązujący od dawna zakaz nalotów imigracyjnych na obszary uznane za „wrażliwe", takie jak szkoły, szpitale i kościoły. „Wielka, piękna ustawa" podpisana przez Trumpa w lipcu br. pozwoli prezydentowi znacząco rozszerzyć działania mające na celu zwalczanie imigracji, zapewniając ICE bezprecedensowe fundusze na wzmocnienie działań mających na celu aresztowanie i deportację imigrantów przebywających w USA nielegalnie. Kwota przyznana na mocy ustawy stanowi największy zastrzyk finansowy, jaki Kongres przekazał rządowi federalnemu na egzekwowanie przepisów imigracyjnych.

Australia ustanowiła politykę, która okazała się niezwykle skuteczna w odstraszaniu nielegalnych imigrantów. Stało się to po tym, jak w 2013 r. władze australijskie zgłosiły przybycie 300 łodzi z ok. 20 tys. osób na pokładzie, w 2014 r. liczba ta spadła do jednej jednostki. Operacja prowadzona przez wojsko polegała na zmuszaniu lub holowaniu łodzi z powrotem na wody międzynarodowe. Od 2013 r. Australia przechwytuje każdą łódź próbującą nielegalnie wpłynąć na jej terytorium. Każda osoba, która podejmie próbę nielegalnego wpłynięcia łodzią do Australii, zostanie zawrócona do miejsca wypłynięcia, odesłana do kraju ojczystego lub przekazana do państwa trzeciego.

Od czasu wprowadzenia opisanych zasad utonięcia na morzu już się nie zdarzają, a nielegalna migracja łodziami do jego brzegów całkowicie ustała, co znajduje potwierdzenie m.in. w raportach opracowanych na potrzeby Parlamentu Europejskiego. W 2024 r. rząd Australii uchwalił nowe przepisy, które rozszerzają system detencji poza granicami kraju i pozwalają władzom ubiegać się o karę więzienia dla osób stawiających opór podczas deportacji, w tym osób ubiegających się o azyl. Ustawa rozszerza również uprawnienia australijskiego ministra imigracji do cofania decyzji imigracyjnych i pozbawiania osób uznanego statusu uchodźcy. Przepisy upoważniają również rząd do zakazu wydawania wiz krajom, które nie akceptują przymusowych deportacji.

Pomimo surowej polityki odstraszania osób o nieuregulowanym statusie Australia pozostaje krajem bardzo otwartym dla uchodźców, którzy korzystają z formalnych kanałów wjazdu. Nielegalną migrację trzeba powstrzymać, legalną – kontrolować.

Fot. Archiwum autora

REKLAMA

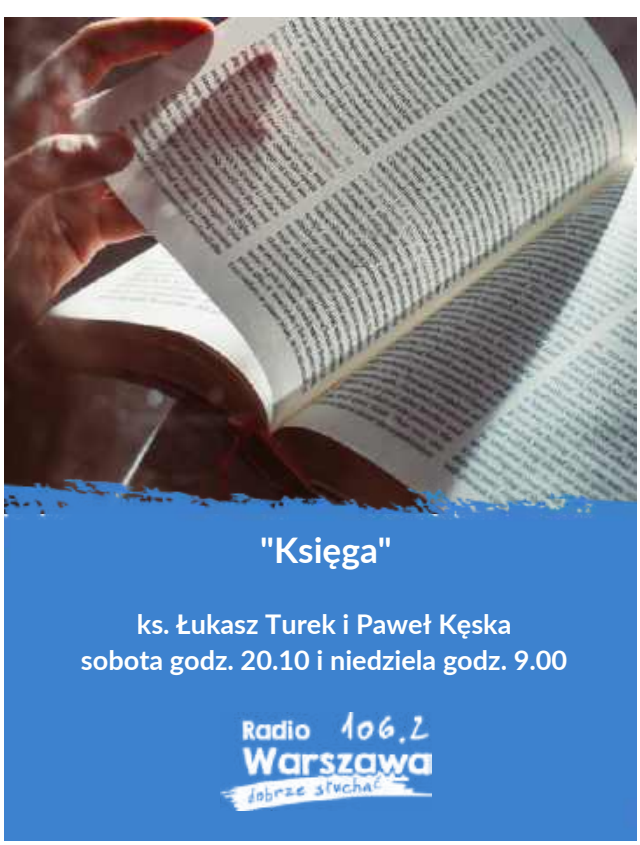

14/0725/F

eprasa.pl 40dc1e51fc

Walizka Łukasza Gawrońskiego

malarza artysty „Lukamonteny”

Moja artystyczna podróż zaczęła się w dzieciństwie od kopiowania prac Stasysa oraz Grzegorza Rosińskiego. Mimo tej pasji po ukończeniu liceum stwierdziłem, że muszę wybrać taki kierunek studiów i zawód, który da mi pewny chleb. Dlatego poszedłem na studia administracji samorządowej na wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.

Wprawdzie praca urzędnika była stabilna, ale nie dawała mi satysfakcji, za to cały czas chodziło za mną malarstwo. Musiałem podjąć męską decyzję i ponownie zacząłem studiować – tym razem na łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych. Poznałem tam wspaniałych ludzi, którzy dziś są malarzami, projektantami i do tej pory mam z nimi kontakt. Od kilkunastu lat pracuję w zawodzie projektanta grafika, ale realizuję się też malarsko. Tworzę obrazy w technice reliefu techniką autorską, dzięki czemu moje prace są zauważalne na rynku sztuki i z roku na rok zyskują coraz więcej fanów oraz wiernych kolekcjonerów, także za granicą. Udział w wielu zbiorowych i indywidualnych wystawach utwierdza mnie w przekonaniu, że podążam właściwą drogą, a to, że moich malarskich płaskorzeźb nie da się wydrukować, czyni je unikatowymi w świecie drukarek i sztucznej inteligencji.

MOST

Podobał mi się dynamizm perspektywy, który podbiłem silnymi barwami fioletu i błękitu. Lubię malować architekturę, ponieważ pozwala mi ona wydobyć trójwymiarowość reliefu, który pokrywam farbami akrylowymi, tłustymi pastelami oraz markerami. Obraz zmienia się wraz ze zmianą pory dnia i oświetlenia.

TARG

Do tego obrazu zużyłem dużo tektury falistej i papieru pakowego. Odpowiednio uformowana i pokryta żywymi kolorami oddaje zgiełk targowiska, zapachy orientalnych przypraw, wibrujący tłum handlujących i kupujących.

eprasa.pl 40dc1e51fc

THORGAL

Mam wszystkie odcinki komiksowych przygód tego dzielnego wikinga. Od pierwszych, ścieranych wydań po te najnowsze, wydane na kredowym papierze w twardej oprawie. Grzegorz Rosiński, ojciec Thorgala, był dla mnie nieoficjalnym nauczycielem rysunku, ponieważ nie tylko zaczytywałem się w przygodach jego bohatera, lecz także kopiowałem tuszem wiele jego rysunków.

FARBY

Zawsze akrylowe najlepszej jakości – Maimeri Brera, Liquitex i Sennelier. Jako podkładu używam płótna lub kartonu. Na koniec pokryte kilkoma warstwami werniksu dobrze zabezpieczają przed promieniami UV i wszelkimi substancjami chemicznymi.

BIBLIOTEKA KRASIŃSKICH

Praca ukazująca tytułową bibliotekę jest tutaj w stanie permanentnego rozkładu. Tym, co mnie fascynuje, jest faktura oddająca łuszczącą się farbę, intensywne kolory ścian, krzeseł i barwnych ludzi na tle architektonicznego rozgardiaszu.

ZOSIA

Choć ma dziewięć lat, wszystko wskazuje na to, że pójdzie moimi śladami, ponieważ dużo rysuje i maluje, najczęściej zwierzęta. Czasami tworzy na zadany temat albo wspólnie coś kreujemy. Mimo młodego wieku potrafi być surowym krytykiem mojej twórczości z trzeźwym spojrzeniem.

PODWÓRZE NA SCHROEGERA

Przedstawia kamienicę zniszczoną przez czas. Żeby podkreślić przemijanie, uzyskałem strukturę tynku, używając dużej ilości grafitu i węgla. Skonfrontowałem to z pięknym błękitem nieba, tworząc estetyczny mezalians. Kompozycja budynków podbita doklejonymi elementami wychodzi z obrazu do widza.

KUROŃ

Zajmuję się też wolontariatem. Pracowałem w domu dziecka jako animator, czasami projektuję plakaty dla instytucji samorządowych zajmujących się pomocą dla dzieci. Mój ostatnio wykonany projekt to portret Kuronia z napisem: „Ja też miałem ADHD" dla Fundacji NeuroTęcza, gdzie pracuje się z uczniami neuroatypowymi.

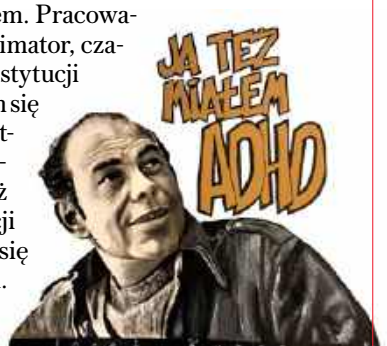

PORTRET CÓRKI Z KRYZĄ

Namalowany, gdy Zosia miała trzy lata. Obraz stylizowany na okres baroku dzięki doklejonej kryzie wykonanej z tektury falistej i kilku rodzajów gnieciionego papieru. Kryza wychodzi z ram, tworząc dynamiczne ujęcie kontrastujące z klasycznym portretem i złotym tłem.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl 40dc1e51fc

Czwórka wybitnych

Polacy po raz drugi w historii triumfowali w siatkarskiej Lidze Narodów (licząc jej poprzedniczkę, Ligę Światową, było to trzecie zwycięstwo). Dodając do tego triumf na igrzyskach olimpijskich, trzy mistrzostwa świata i dwa mistrzostwa Europy otrzymujemy jedną z najbardziej utytułowanych reprezentacji w historii światowej siatkówki. Triumf w Lidze Narodów to potwierdzenie trwającej od około dekady dominacji Polski w światowej siatkówce.

Sukces zainspirował nas do zabawy w wybór czterech najważniejszych siatkarzy w polskiej historii – zadanie tyleż interesujące, co wyjątkowo trudne. Oczywiście ranking to zestawienie w pełni subiektywne, bo nieśmiertelność w pamięci polskich kibiców zapewniło

Tomasz Wójtowicz

Myślisz o złotej erze polskiej siatkówki w latach 70. – widzisz długie włosy i sympatyczny uśmiech rozświetlający twarz tego potężnego dwumetrowca.

Pierwszym medalem Polaków był brąz zdobyty podczas mistrzostw Europy 1967 r. za kadencji trenera Tadeusza Szlagora, który wyprowadził niezbyt popularną w Polsce siatkówkę na właściwe tory. Ale dopiero przejęcie sterów kadry przez Huberta Wagnera, który u Szlagora nosił kapitańską opaskę, rozpoczyna pierwszą złotą erę. Jedną z inauguracyjnych decyzji popularnego „Kata" było powołanie do składu niespełna 20-letniego środkowego Avii Świdnik Tomasza Wójtowicza. Już wkrótce to właśnie wokół niego Wagner zbudował zespół, a Wójtowicz wyrósł na wielką światową gwiazdę. W 1974 r. reprezentacja zdobyła mistrzostwo świata, pokonując w finale Japończyków. Wtedy najważniejszym zawodnikiem zespołu był jeszcze Stanisław Gościniak, MVP turnieju w Meksyku. Dwa lata później Wójtowicz i koledzy stanęli na najwyższym stopniu podium podczas igrzysk olimpijskich w Montrealu. W finale reprezentanci ZSRR byli pewni swego, a w czwartym secie mieli dwie piłki meczowe. Polacy je wybronili i w pamiętnym piątym secie starli rywali w proch. To jeden z najbardziej pamiętnych momentów w historii polskiego sportu. Z kolei na mistrzostwach Europy reprezentacja sięgała po srebro przez pięć edycji z rzędu. Wójtowicz grał w kadrze przez dekadę, to on jako pierwszy na świecie atakował z tyłu i tym samym zrewolucjonizował siatkówkę. Jako zawodnik włoskiej Parmy w 1985 r. sięgnął po Puchar Europy. Nie bez powodu FIVB zaliczyła Wójtowicza do grona ośmiu najlepszych siatkarzy XX w., zresztą pozostaje on jedynym Polakiem w Siatkarskiej Galerii Sław. Oczywiście byli też Wiesław Gawłowski czy Ryszard Bosek, ale to Wójtowicz jest największym spośród Złotej Drużyny Wagnera.

Chorował na nowotwór. Odszedł w 2022 r. w wieku 69 lat.

Fot. Marek Jabłonski/East News

Piotr Gruszka

Rekordzista pod względem występów w reprezentacji – jego licznik zatrzymał się na niebotycznej liczbie 450 spotkań.

Po erze Gościniaka, Wójtowicza, Gawłowskiego i Boska przyszedł okres, kiedy naszym siatkarzom się nie wiodło. Lata 80. i 90. były czasem medalowej posuchy, a często całkowitej absencji na wielkich turniejach. „Grucha" debiutował w kadrze w 1995 r. jako 18-latek, a jego premierowy mecz od ostatniego medalu na dużej imprezie dzieliła ponad dekada. Mimo że wyniki były mizerne, na przełomie wieków Polacy znów zakochiwali się w siatkówce. Katowicki Spodek nie miał sobie równych pod względem fanatycznego dopingu kibiców, dlatego misja popularyzowania siatkówki przez FIVB pozwoliła naszej reprezentacji występować w prestiżowej Lidze Światowej z dziką kartą. Na Mistrzostwach Europy w 2003 r. Polacy zajęli co prawda dopiero piąte miejsce, ale Gruszka został uznany najlepszym atakującym całego turnieju. W składzie nie brakowało świetnych siatkarzy (Piotr Gruszka, Sebastian Świderski, Paweł Zagumny, Krzysztof Ignaczak), ale na prawdziwe przełamanie trzeba było czekać aż do 2006 r. Pod wodzą pierwszego zagranicznego selekcjonera Raula Lozano Polacy jak burza szli przez Mistrzostwa Świata w Japonii. Najbardziej pamiętnym spotkaniem było starcie z Rosją, której Biało-Czerwonym nie udało się pokonać w naprawdę ważnym spotkaniu od olimpijskiego finału w 1976 r. Sborna wygrała dwa sety, ale wtedy do akcji wkroczył m.in. „Grucha" i Polacy posłali wielkich rywali na deski. W finale Brazylia była nie do ruszenia, ale srebro z Tokio jest niezwykle istotne. Gruszka, Zagumny (najlepszy rozgrywający turnieju) i cała ich generacja wreszcie uwierzyła w siebie. To otworzyło im drogę do wielkich rzeczy.

W 2009 r. „Grucha" został wybrany najlepszym zawodnikiem mistrzostw Europy. Polska pod wodzą Daniela Castellaniego triumfowała. Było to pierwsze złoto na wielkiej imprezie od 33 lat.

Fot. Dziurek/Shutterstock.com

eprasa.pl 40dc1e51fc

sobie znacznie więcej zawodników. Wybrana czwórka to symbole narodowych sukcesów. Każdy wielki triumf Polski miał właśnie ich twarz. To siatkarze, którzy stali się nie tylko ikonami przełomowych turniejów, lecz także ucieleśnieniem generacji, do której należeli.

Przekazanie generacyjnej pałeczki w polskiej kadrze od lat odbywa się bez większych zawirowań. Mogło się wydawać, że bez Zagumnego, Gruszki, Świderskiego, Wlazłego, Winiarskiego, Kłosa, Kubiaka, Nowakowskiego czy Ignaczaka będzie trudno utrzymać najwyższy poziom, ale przecież w kolejce stali już ich następcy. Podobnie będzie, gdy buty na kołku zawiesi Kurek, a ta chwila nieuchronnie się zbliża.

Kto dzisiaj decyduje o sile polskiej kadry? Wilfredo Leon, Jakub Kochanowski, Paweł Zatorski, Łukasz Kaczmarek, Kamil Semeniuk, Aleksander Śliwka, Tomasz Fornal, Kewin Sasak, Bartosz Bednorz, Marcin Komenda – wymieniać można dłużej. PlusLiga jest jedną z najlepszych w Europie, a nasze kluby potrafią wygrywać Ligę Mistrzów. Nie bójmy się pewności siebie, wszak Polacy są na szczycie i nie zanosi się na to, żeby szybko mieli go opuścić.

Mariusz Wlazły

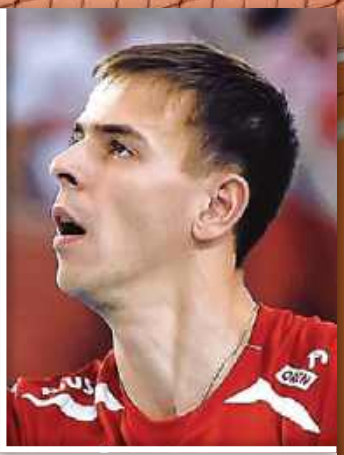

Wymiana pokoleniowa w polskiej reprezentacji poszła bezboleśnie m.in. dzięki Mariuszowi Wlazłemu, legendzie polskiej PlusLigi.

Genialny atakujący jest symbolem potęgi nie tylko polskiej reprezentacji, lecz także twarzą skoku jakościowego, jaki zaliczyła Polska Liga Siatkówki. W latach 2003–2020 r. „Szampon" reprezentował barwy PGE Skry Bełchatów, a przez ponad dekadę był jej kapitanem. Ze Skrą zdobył dziewięć tytułów mistrza Polski (w tym siedem z rzędu) – więcej mają tylko legendy seryjnie wygrywającego w latach 50. i 60. AZS AWF Warszawa. Był blisko triumfu w Lidze Mistrzów, został MVP turnieju finałowego w sezonie 2012/2013. Nic dziwnego, że uznano go najlepszym siatkarzem 20-lecia PlusLigi, w której rozegrał niemal 500 spotkań. Z reprezentacją cieszył się ze srebra MŚ w 2006 r., gdzie trafił do najlepszej trójki turnieju, ale złoto w ME w 2009 r. ominęło go z powodu kontuzji. Wlazły nie grał w kadrze Andrei Anastasiego, bo zrezygnował z występów w reprezentacji z powodu konfliktu z Polskim Związkiem Piłki Siatkowej i problemów zdrowotnych. Wrócił, gdy kadrę objął Stéphane Antiga – obaj wspólnie poprowadzili Biało-Czerwonych do historycznego tytułu mistrza świata w 2014 r. „Szampon" został uznany za najbardziej wartościowego zawodnika i najlepszego atakującego turnieju. Tym samym stał się symbolem wielkiego odrodzenia polskiej siatkówki. Po zwycięskim finale z Brazylią, rozgrywanym w katowickim Spodku, zapanowało istne szaleństwo, a na mecze siatkarskiej ligi zaczęło przychodzić po 10 tys. kibiców – rzecz wcześniej nie do pomyślenia. Wielka w tym zasługa właśnie „Szampona".

Po triumfie w MŚ w 2014 r. Wlazły ogłosił zakończenie reprezentacyjnej kariery. Prawdopodobnie pozostaje najbardziej widowiskowym polskim siatkarzem w historii.

Fot. FIVB

Bartosz Kurek

Jedyny siatkarz, który wygrał plebiscyt „Przeglądu Sportowego". Kurek uczestniczył we wszystkich wielkich sukcesach reprezentacji w ciągu ostatnich 15 lat. Wyjątkiem pozostają MŚ w 2014 r., na które Antiga nie powołał wielkiej gwiazdy z powodów czysto sportowych – w lepszej formie byli wtedy Michał Kubiak czy Michał Winiarski, inne twarze najnowszej polskiej złotej ery. Kurek wcześniej zdobywał złoto ME w 2009 r., sięgał po brąz w ME w 2011 r. (najlepszy zagrywający turnieju), cieszył się z pierwszego triumfu w Lidze Światowej w 2012 r. (najlepszy zawodnik turnieju finałowego). Rok wcześniej Polacy sięgnęli po brąz LŚ, a Kurek był najlepszym punktującym. Nieobecność na polskich MŚ w 2014 r. zmotywowała naszego przyjmującego, który wrócił do kadry jeszcze silniejszy. W 2018 r. zespół prowadzony przez Vitala Heynena doszedł do finału Mistrzostw Świata i w Turynie pewnie pokonał wielką Brazylię. Kurek był najlepszym zawodnikiem turnieju i wyrównał osiągnięcie Winiarskiego. W 2019 r. do polskiej reprezentacji dołączył Wilfredo Leon, gwiazda światowego formatu reprezentująca wcześniej Kubę, który z miejsca stał się liderem kadry. Ale to wcale nie zachwiało pozycją Kurka, który wydatnie pomógł Polsce w zdobyciu medali mistrzostw Europy: dwóch brązowych (2019, 2021) i złotego (2023), a także srebra na mistrzostwach świata w 2022 r. (Kurek był najlepszym atakującym). Reprezentacja stanęła na drugim stopniu podium na igrzyskach olimpijskich w 2024 r. w Paryżu, ulegając w finale Francuzom. Od 2019 r. co roku Polska zajmuje miejsce na podium Ligi Narodów – Kurek był MVP edycji z 2021 r. Klubowo „Łysy" nie ograniczył się do Polski. Z powodzeniem grał w ligach włoskiej czy japońskiej. Niestety, z powodu kontuzji zabrakło go przy tegorocznym triumfie w Lidze Narodów.

Prowadzona od 2022 r. przez Nikolę Grbicia kadra nie osłabła nawet bez swojego kapitana.

Fot. CEV

Opracował Michał Muzyczuk

eprasa.pl 40dc1e51fc

Nawrocki kontra dekret Tuska

Samuel Pereira

Niełatwo być dziś rzecznikiem czegokolwiek, zwłaszcza gdy rzeczywistość – jak mawiał klasyk – skrzeczy. Ale skoro francuskie porte-parole znaczy „ten, który niesie słowo", to warto zapytać: jakie słowa niesie obecna władza i ci, którzy ochoczo mówią jej głosem?

Zacznijmy od końca, czyli od „praworządności" w wykonaniu duetu Żurek–Kierwiński. Ich miny podczas przemówienia prezydenta Nawrockiego były wręcz symboliczne: ironia zmieszana z lekceważeniem. Trudno się dziwić, skoro dziś wystarczy polityczny „dekret" Donalda Tuska, by zdemontować konstytucyjne organy i zastąpić je lojalnymi wykonawcami. A że to bezprawne? Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny już to potwierdziły w sprawie Dariusza Barskiego, legalnie powołanego prokuratora krajowego. Tylko co z tego, skoro władza ma swoje fakty i swoje porządki?

À propos faktów – pamiętacie 100 konkretów na 100 dni? Mieli odpodatkować najbiedniejszych. Minęło 604 dni i... cisza. Kinga Gajewska, twarz tej kampanii, teraz głosi nowe wizje – z powagą godną kabaretu – i komentuje plany prezydenta, który wciąż wierzy, że można coś naprawić. Szkoda tylko, że tak mało z tych „konkretów" dotrwało do rzeczywistości.

Tymczasem redaktorzy Onetu od Węglarczyka po Dziubkę raz słyszą słowa, które nie padły, raz oskarżają prezydenta o „prywatyzację konta", po czym znów się okazuje, że to fejk. Może lepiej odpuścić detektywistyczne zapędy i wrócić do faktów, a nie faktów zastępczych?

W tle tego wszystkiego krąży echo słów Donalda Tuska o „niewrogiej kohabitacji" z Lechem Kaczyńskim. Słucham i nie wierzę. Bo jeśli wysyłanie Palikota do medialnych ataków, odbieranie samolotu i deprecjonowanie wizyt zagranicznych prezydenta to przejaw zgody, co byłoby wrogością?

Dziś to już nie kohabitacja – to przejęcie. Za pomocą dekretów, memów i „port-paroli", którzy z uśmiechem sprzedają Polakom opowieści alternatywne. Czasem śmieszne, częściej niebezpieczne. Ale jak to się mówi po francusku: „le ridicule ne tue pas". Śmieszność nie zabija. Chyba że demokrację.

Prezydenci jednej wizji

W pałacu prezydenckim, symbolicznym miejscu i powadze chwili, usiedli obok siebie Andrzej Duda i Karol Nawrocki. Na ścianie za nimi – obraz śp. Prof. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. To nie przypadek. To nie tylko gest. To wyraz ciągłości wizji państwa – Polski silnej, niepodległej, sprawiedliwej. Państwa, które nie klęka przed Berlinem, Brukselą czy Moskwą.

Andrzej Duda kończy swoją prezydenturę. Wytrwał mimo dekady brutalnego ataku medialnego, ośmieszania, a nawet pogardy. Przemysł pogardy, tak dobrze znany z czasów Lecha Kaczyńskiego, znów się rozkręcił. Wciąż z tych samych redakcji, z tych samych ust, z tej samej pseudoelity III RP, której twarzą nieprzerwanie jest Donald Tusk. A jednak mimo tego wszystkiego prezydent Duda wytrwał.

Dziś pałeczkę przejął Karol Nawrocki – historyk, patriota, człowiek z kręgosłupem i zasadami. Odważny. Człowiek, który rozumie, że prezydentura to nie funkcja reprezentacyjna – jak chciałby tego Tusk – ale zobowiązanie wobec milionów Polaków, którzy chcą kraju dumnego, a nie uległego.

Obraz Lecha Kaczyńskiego przypomina, że polityka może, musi być służbą. Że można mieć wizję i odwagę – jak wtedy w Tbilisi w 2008 r. Ta odwaga kosztowała życie naszego prezydenta. Karol Nawrocki podobnie jak Andrzej Duda wcześniej widzi w śp. prezydencie wzorzec niezłomności. Ich kadencje są możliwe także dlatego, że ktoś inny kiedyś uwierzył, że Polska zasługuje na więcej. Tym kimś był Jarosław Kaczyński – architekt myśli niepodległościowej współczesnej Polski. Tej, która po 1989 r. ma odwagę draństwo nazywać złem, a pragnienie wolnej Polski – patriotyzmem.

Po dwóch latach rządów Tuska wróciły stare upiory – likwidacja inwestycji, uległość wobec niemieckich mocodawców, obniżenie ambicji narodowych. „Elity" znów chcą Polski zależnej, słabej, wypłukanej z wartości.

Ale dziś zaczyna się nowy czas. Karol Nawrocki nie wszedł do pałacu, by się podobać. To zresztą było słychać w pierwszym, tak wyrazistym orędziu nowego prezydenta. Idzie, by służyć. By kontynuować i rozwijać dzieło prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl 40dc1e51fc

TRENDY I OWĘDY

Fałszerze z tytułami

Ryszard Makowski

Prof. Piotr Gliński wezwał do odwołania dyrektora Instytutu Pileckiego. Od 2019 r. w Berlinie funkcjonuje zagraniczna filia tego instytutu. W ramach marszu przez instytucje Platforma po wyborach w 2023 r. obsadziła placówkę swoim człowiekiem. Chodzi o prof. Krzysztofa Ruchniewicza. Jest on oskarżany o zdradę dyplomatyczną za próbę zorganizowania seminarium badawczego poświęconego zwrotom dóbr kultury przez Polskę na rzecz Niemiec. Mamy zwracać Niemcom dzieła sztuki! Niemcom, którzy odmawiają nam reparacji za II wojnę światową i ukrywają zagrabione w Polsce artefakty.

Niemcy przez lata wykonali ogromną pracę, by z narodu bestialskich morderców stać się ofiarami nazizmu. W odcinku „Locate And Destroy" serialu „Święty" kręconego w latach 60. niemiecki zbrodniarz ukrywający się w Limie posiada obraz ukradziony z muzeum w Krakowie. Templar odkrywa stempel tego muzeum z tyłu blejtramu. W filmie podkreślono, że hitlerowcy dopuszczali się w Polsce największych zbrodni. Ten Niemiec zgładził 5 tys. polskich Żydów. Teraz ta narracja wyglądałaby inaczej. Nie mówiono by o polskich Żydach, tylko o Żydach. Kradzież dzieł sztuki przez Niemca byłaby niepoprawna politycznie. A przy eksterminacji Żydów pomagaliby Polacy. Jest jeszcze jeden wątek, który dziś by nie przeszedł. Agentom Mosadu, którzy poszukują hitlerowca, Templar – nieświadomy kim są – spuszcza łomot i uniemożliwia zatrzymanie. Dopiero potem z nimi współpracuje, ale dwóch z nich ginie.

Cały czas trwa fałszowanie historii na naszą niekorzyść. Smutne, że są polscy uczeni, którzy gorliwie w tym współuczestniczą.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR x2, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, SHUTTERSTOCK/JANG'S STUDIO, DZUREK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 40dc1e51fc

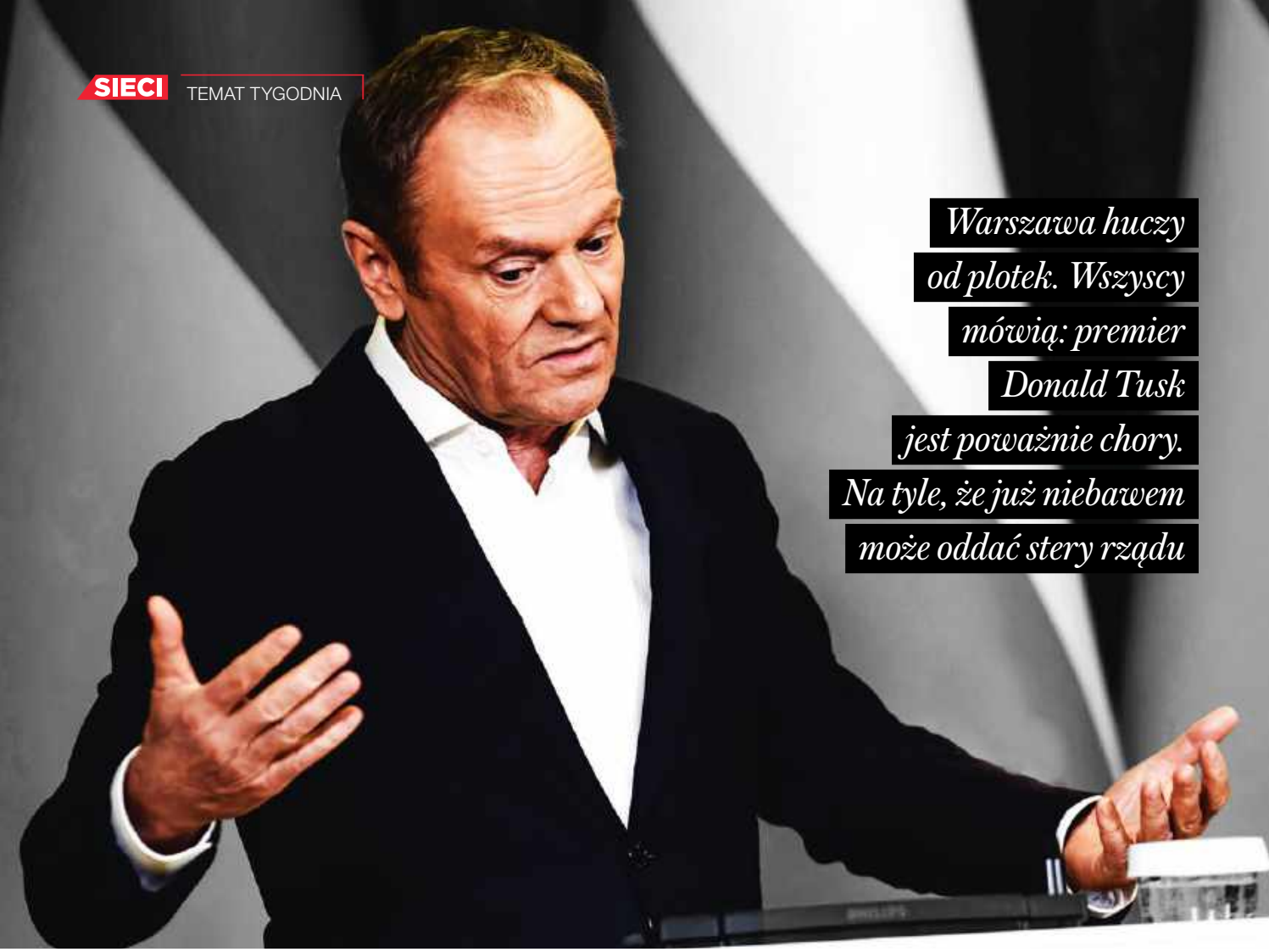

Warszawa huczy od plotek. Wszyscy mówią: premier Donald Tusk jest poważnie chory. Na tyle, że już niebawem może oddać stery rządu

Dlaczego stracił kontakt?

Dzień po rekonstrukcji rządu, zaprzysiężenie nowych ministrów w pałacu prezydenckim. Przemawia Andrzej Duda. Donald Tusk kiwa się, trzęsie, coś dziwnego dzieje się z jego twarzą. Potem podczas swojego wystąpienia, przejęzycza się, myli daty. Filmiki obiegają internet, o nietypowym zachowaniu premiera informują portale konserwatywne.

Dwa dni później – obchody rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Donald Tusk się na nich nie pojawia. Wzbudza tym falę krytycznych komentarzy. Wypiął się na powstańców? Bał się buczenia i gwizdów?

Może tak, ale rok wcześniej jednak był, przemawiał, obiecywał nawet pieniądze na rozbudowę Muzeum PW. Dlaczego teraz go nie było? Gdziekolwiek, choć na chwilę? Pytany o to zausznik szefa rządu Marcin Kierwiński nie chce powiedzieć. Byli inni przedstawiciele władzy. Wystarczy.

WĘGLARCZYK O TYM, O CZYM NIE WIEMY

„Chyba, że dzieje się coś, o czym nie wiemy" – wrzuca pod dyskusję w youtube'owym programie Sekielski Sunday Night Live naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk. Razem z Romanem Imielskim z „Wyborczej" i gospodarzem Tomaszem Sekielskim zastanawia się, w jakiej kondycji jest premier.

Fot. paparazzza/Shutterstock.com

eprasa.pl 40dc1e51fc

„Rozmawialiśmy już o tym przed programem. To już jest człowiek w wieku mocno dojrzałym. Wiemy, że ma różne problemy zdrowotne. Nie wiemy, dlaczego nie pojawił się na obchodach 1 sierpnia. Moim zdaniem wiedział, że to zostanie zauważone, że go nie będzie na tej rocznicy i że to będzie komentowane bardzo szeroko. Moim zdaniem powód był poważny, to nie było coś tam, że mu się nie chciało pójść na obchody, tylko coś tam się jeszcze zdarzyło" – rozwija myśl zaprzyjaźniony z władzą redaktor.

Zdaniem Węglarczyka i Imielskiego choroba to jedyny czynnik, który może przymusić Donalda Tuska do oddania sterów rządu Radosławowi Sikorskiemu. Bo Tusk – jak przekonują – wziął męża Anne Applebaum na wicepremiera, by go zbudować, a nie spalić. Uważnie analizują słowa premiera z rozmowy z Piotrem Kraśką w TVN24. Zwracają uwagę na deklarację Tuska, który nie wykluczył przekazania premierostwa Sikorskiemu. „Wszystko jest możliwe" – podkreślał lider Platformy. „Jeszcze w tej kadencji?" – dopytywał Kraśko. „W słowie wszystko zawiera się wszystko" – odparł premier.

Na co choruje Tusk? Jakiego rodzaju to problemy? Być może Węglarczyk, Imielski i Sekielski omówili to przed programem, ale nie powiedzieli na antenie. Faktem jest, że o poważnych problemach zdrowotnych premiera mówi się od jakiegoś czasu. Wiedzą o nich politycy, niektórzy dziennikarze. Naszym zdaniem jedni są bardziej wiarygodni, inni mniej. Co najmniej kilka dobrych źródeł mówi nam jednak wprost: tak, jest poważnie chory, to przewlekła choroba neurologiczna. Wymieniają nazwę jednostki chorobowej. My nie wymienimy, bo nie wiedzieliśmy dokumentacji medycznej premiera, a otoczenie szefa rządu i on sam milczą, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając naszym informacjom.

Zapytaliśmy o stan zdrowia premiera w jego kancelarii. Wysłaliśmy pytania, w których wprost wskazaliśmy na rodzaj schorzenia, o którym mówi się „na mieście".

„Nie komentujemy takich spraw, bo są to dane wrażliwe, objęte ochroną" – napisało do nas Centrum Informacyjne Rządu.

WARSZAWA HUCZY OD PLOTEK

O tym, o czym szepcze się od dawna, głośno powiedział znany komentator polityczny, wykładowca akademicki i autor książek dr Michał Kuź. Zrobił to na platformie X, we wpisie, który, gdy przygotowywaliśmy ten tekst, miał ok. 175 tys. wyświetleń.

– Tak, mogę to powtórzyć. Warszawa huczy od plotek, że Donald Tusk ma poważne problemy natury neurologicznej. Wiem o nich z kilku poważnych źródeł. A skoro do mnie docierają takie informacje, a nie jestem i nigdy nie byłem dziennikarzem śledczym o jakichś nadzwyczajnych kontaktach, to można stwierdzić, iż jest to tajemnica poliszynela – mówi Kuź, zastrzegając, że nie będzie wchodził w szczegóły.

– Jestem jednak głęboko przekonany, że to nie są rzeczy, które można bagatelizować – podkreśla.

Z problemów zdrowotnych ma wynikać zaobserwowany przez niektórych naszych rozmówców fakt, że premier rzadziej niż kiedyś bywa w Sopocie. Zdaniem niektórych to brak przekonania o własnych siłach i niechęć do długiej rozmowy po angielsku, a nie aż tak krzycząca pogarda ze strony Niemców, Francuzów i Brytyjczyków miały być także przyczyną wstydliwej, bo samotnej, w oddzielnym wagonie, podróży szefa rządu do Kijowa w maju tego roku.

Zdaniem wielu obserwatorów, w tym dr. Kuzia, Donald Tusk znacząco się zmienił w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

– To widać gołym okiem, słychać w jego wystąpieniach. Bardzo sprawny retorycznie, niezwykle doświadczony polityk nagle psuje przemówienia, myli się, zawiesza. Buduje znacznie krótsze zdania niż kiedyś, jakby obawiał się wpadki – dzieli się swoim spostrzeżeniami komentator.

– Premier stracił rzutkość, kontakt z ludźmi, swój słynny słuch społeczny. To odklejenie było widać, kiedy Tusk przejął kampanię wyborczą Trzaskowskiego, w samej końcówce idąc na wywiad do Bogdana Rymanowskiego. On ewidentnie był przekonany, że tak trzeba, że wygrywa to dla Trzaskowskiego, a przecież wszyscy widzieli, że jest odwrotnie i właśnie ostatecznie kładzie tę kampanię – dodaje.

Zapytaliśmy o stan zdrowia premiera w jego kancelarii. Wysłaliśmy pytania, w których wprost wskazaliśmy na rodzaj schorzenia, o którym mówi się „na mieście". „Nie komentujemy takich spraw, bo są to dane wrażliwe, objęte ochroną" – napisało do nas Centrum Informacyjne Rządu

KIEDYŚ SIĘ NIE TRZĄSŁ

Jakość przemówień, rzutkość, kontakt z ludźmi, polityczny zmysł – to wszystko sprawy ocenne, subiektywne. Jedni mówią: rzeczywiście, słabo z nim, źle wygląda, już nie potrafi nawet dać dobrej mowy. Drudzy odwrotnie: ostry jak brzytwa, nigdy nie było lepiej, polski Cyceron, tylko w nim nadzieja.

Można jednak w miarę obiektywnie ustalić, że kiedyś Tusk raczej się nie trząsł, a teraz mu się zdarza. Drżą mu dłonie (zwłaszcza prawa), wykonuje nietypowe, niewidziane u niego wcześniej ruchy rękami, kołysze tułowiem.

Zaprzysiężenie Karola Nawrockiego: jest nerwowo, to jeden z gorszych dni w politycznej karierze Tuska, ale jego zachowanie i tak może dziwić. Nadruchliwe dłonie, dziwne miny, jakieś tiki. W internecie śmiechu co nie miara, szydercze komentarze. Czy osoba, od której wymaga się opanowania, nie jest w stanie przez 20 minut usiedzieć w spokoju? No właśnie.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Przemówienie na warszawskiej giełdzie (z okazji wielkiego, nowego i przełomowego otwarcia w polskiej gospodarce) z lutego br.: dłonie Tuska wciąż są w ruchu, premier kręci palcami kółeczka, kciukiem jakby głaszcze powierzchnię pulpitu, przy którym stoi. Dlaczego to robi? Złośliwi cytują psychologów przekonujących, że tego typu zachowania demaskują kłamcę. Czy jednak w tym przypadku właśnie o to chodzi?

– Zawsze bardzo ciekawe jest to, co Tusk wyprawia ze swoimi rękami. Dziwię się, że nikt nie podejmuje tematu. Jest dużo napięcia, niepewności i swędzenia jakiegoś w tych rękach – komentował któreś z Tuskowych wystąpień aktywny w mediach społecznościowych konserwatywny analityk Daniel Foubert. – W komunikacji niewerbalnej Tuska jest nieustanna korekta pozycji. Jakby cały czas prowadził mikrobitwę z samym sobą: zbyt doświadczony, żeby się odsłonić, ale zbyt niespokojny, żeby całkowicie utrzymać maskę – dodawał.

TABLOIDY I EKSPERCI OD MOWY CIAŁA

To nie tak, że dotąd nikt nie podjął tematu. O trzęsących się dłoniach Tuska pisały np. internetowe tabloidy. W marcu 2024 r. swoimi przypuszczeniami i obawami o stan zdrowia premiera dzielił się z czytelnikami portalu Plejada.pl (to część prorządowego Onetu) Maurycy Seweryn, przedstawiony jako ekspert od mowy ciała.

Dostrzegł on, że w trakcie wspólnej z prezydentem Andrzejem Dudą wizyty w Stanach Zjednoczonych Tuskowi drżała prawa ręka. „Mam wrażenie, że nie kontroluje tego zachowania. Ten sygnał się pojawia coraz częściej. Widziałem go wcześniej, również na konferencjach – mówił Seweryn. – Jestem ciekaw właśnie, co to jest. Czy to jest symptom zmęczenia, czy to jest sygnał tego, że może choruje na coś?" – dodawał.

Łukasz Kaca, kolejny spec od mowy ciała, dostrzegł te symptomy w trakcie wystąpienia premiera podczas ogłoszenia wyników prawyborów prezydenckich PO w listopadzie 2024 r.

„Z jednej strony było to dobrze przygotowane wystąpienie, ale z drugiej widać było, choćby po tej drżącej ręce, że dużo go to kosztuje. Dużo było szarpiących gestów i generalnie Donald Tusk raczej dość płynnie występuje, a tu trochę kluczył w samych wypowiedziach i widać było, że trochę szuka myśli" – mówił „Faktowi".

Kaca podejrzewał, że choć premier „znał już wynik, więc nie był zaskoczony", to jednak pozostawał zdenerwowany, bo „sam fakt tego, że trzeba to przekazać i że za chwilę któremuś z kandydatów zostaną odebrane marzenia, mógł być dla niego problematyczny".

Każdy, kto zna drogę i warsztat Donalda Tuska, wie, że w tej kwestii ekspert akurat się mylił. Dla szefa rządu odbieranie politycznych marzeń nigdy nie było bowiem problematyczne. I nigdy nie trzęsły się mu przy tym ręce.

PLANOWY ZABIEG MEDYCZNY

Czy Donald Tusk powinien otwarcie informować o stanie swojego zdrowia? Podczas obecnej kadencji bywało z tym różnie, raczej mniej niż bardziej transparentnie.

25 kwietnia 2024 r. Centrum Informacyjne Rządu zakomunikowało, że Donald Tusk ma zapalenie płuc, będzie musiał przejść leczenie, a w związku z tym ograniczy aktywność publiczną.

Inaczej podano informację o zabiegu, jaki Donald Tusk miał przejść w listopadzie tego samego roku. CIR wypuściło komunikat w przeddzień Narodowego Święta Niepodległości, w niedzielę, po godzinie 14.30. Brzmiał on tak: „Centrum Informacyjne Rządu zawiadamia, że Premier Donald Tusk przeszedł planowy zabieg medyczny. Wróci do pełnienia obowiązków służbowych w najbliższą środę".

Kiedy był ten zabieg? W niedzielę? Tego dnia planowych zabiegów się nie robi, choć należy zakładać, że w warszawskim Wojskowym Instytucie Medycznym, gdzie szef rządu ma do swojej dyspozycji oddzielną salę i wydzieloną poczekalnię dla ochrony i współpracowników, byłoby to możliwe. Ostatni wpis Tuska na platformie X pochodził z 6 listopada. 7 i 8 listopada był na nieformalnej Radzie Europejskiej w Budapeszcie, a dzień później brał udział w zarządzie krajowym PO. 10 listopada (a więc w dniu, w którym pojawił się komunikat o „planowym zabiegu") premier wrzucił wykonane w domu zdjęcie z wnukiem.

CIR nie podało też, jakiego rodzaju procedurę medyczną przeszedł Donald Tusk. Nikt specjalnie nie drążył. Lewicowe media milczały, konserwatywne skupiły się na tym, że premier znowu znika w dniu ważnego święta.

Kuriozalnym, ale świadczącym o braku transparentności kancelarii Tuska przykładem jest ten ze słynną kontuzją kolana. 25 lutego br. (we wtorek) premier wrzucił na swoje media społecznościowe film, w którym opowiada, że w weekend chciał uczyć wnuczki jazdy na nartach. Skończył z nogą w ortezie i o kulach. „Uważajcie na stoku" – przestrzegał.

Urocze, ale dlaczego dzień wcześniej, w poniedziałek, premier nie miał ortezy ani kul podczas posiedzenia zwołanej przez prezydenta Andrzeja Dudę Rady Bezpieczeństwa Narodowego? Kiedy był ten wypadek? Gdzie dokładnie?

„Panie Premierze, życzymy zdrowia! Jednak od trzech miesięcy, po kontroli poselskiej w KPRM, nie możemy doprosić się upublicznienia Pańskiego kalendarza pracy. Dlaczego ukrywa Pan harmonogram swoich działań?" – pytał pod „narciarskim" postem Tuska poseł PiS Bartosz Kownacki.

Wraz z innym parlamentarzystą PiS Jarosławem Krajewskim od grudnia ub.r. próbuje on wydobyć z Kancelarii Premiera kalendarz Donalda Tuska, pełny spis jego oficjalnych spotkań i podróży, informacje dotyczące korzystania z transportu specjalnego itd. Do dzisiaj nie dostał odpowiedzi. Także od marszałka Sejmu Szymona Hołowni, którego obaj prosili o interwencję w tej sprawie.

– Kancelaria Premiera radzi nam, żebyśmy przejrzeli sobie jej stronę internetową. Tylko że tam nie ma informacji, o które prosimy i które w cywilizowanym kraju powinny być jawne – mówi nam Bartosz Kownacki.

– Jeśli premier jest chory, to takie działania jego otoczenia tylko pogłębiają problem, bo mogą być odczytywane jako tuszowanie ważnych dla państwa faktów. Zupełnie niepotrzebne. Polacy muszą wiedzieć, co każdego dnia robi szef rządu, powinni też mieć informacje

eprasa.pl 40dc1e51fc

o jego stanie zdrowia, jak to się dzieje np. w Stanach Zjednoczonych. To kwestia bezpieczeństwa narodowego – podkreśla parlamentarzysta.

ZAJĘTY SWOIMI PROBLEMAMI ZDROWOTNYMI

Wojna na Ukrainie, przewartościowanie światowych relacji handlowych za sprawą ceł Donalda Trumpa, kryzys migracyjny. Czy w takich warunkach rządy w państwie może sprawować ktoś, kto nie jest w pełni dysponowany?

– Premier jest zajęty swoimi problemami zdrowotnymi, a nie sprawami państwa. Przeraża mnie ta szalenie niebezpieczna w tych warunkach mania sprawowania pełnej kontroli nad partią i rządem. Polska już na tym traci, choćby w wyniku radykalnego ograniczenia przez Donalda Tuska aktywności dyplomatycznej – uważa dr Michał Kuź.

– Premierowi bardzo długo udawało się utrzymywać wizerunek młodzieniaszka, a przecież jest to polityk z tego samego pokolenia co Jarosław Kaczyński. Kaczyński jednak od dawna ceduje coraz więcej obowiązków na swoich współpracowników i jak sam stwierdził już w 2017 r., przestał nawet marzyć, że może samodzielnie pokierować Radą Ministrów. Moim zdaniem Donald Tusk powinien otwarcie poinformować opinię publiczną, co mu dolega i podjąć adekwatne do stanu zdrowia decyzje odnośnie do swojej politycznej przyszłości – dodał.

W Polsce nie ma przepisów określających sposób postępowania w przypadku choroby premiera. Konstytucja mówi w tym kontekście tylko o prezydencie, którego Zgromadzenie Narodowe może uznać za trwale niezdolnego do sprawowania urzędu ze względu na stan zdrowia.

Nie ma też – podobnie zresztą jak w większości państw UE – sformalizowanej polityki informacyjnej w obszarze zdrowia liderów. Ujawniać choroby? Jak dużo o nich mówić? Pokazywać wyniki badań okresowych? Odpowiedź w każdym kraju jest inna, wynika ze zwyczaju politycznego i osobowości samego zainteresowanego.

KULTURA POLITYCZNA

Wielu naszych rozmówców nie chce być cytowanych w kontekście zdrowia premiera Tuska, wskazując właśnie na obyczaj.

– W polskiej kulturze politycznej nie mówi się o zdrowiu liderów. Moim zdaniem to się jednak musi zmienić, przypadek Joe Bidena powinien nas czegoś nauczyć. Panuje jakieś dziwne przekonanie, że można ignorować biologię. Ale wiemy, że tak nie jest – mówi nam Michał Kuź.

Pytanie jednak, czy rzeczywiście zasada nieporuszania spraw związanych ze zdrowiem najważniejszych osób w państwie – o ile kiedykolwiek obowiązywała – nie została już dawno podeptana. Wybitne zasługi położył tu zresztą sam Donald Tusk. To jego giermek Janusz Palikot długimi miesiącami wrzeszczał, że prezydent Lech Kaczyński dziwnie się zachowuje i jeśli nie nadużywa alkoholu, to na pewno jest poważnie chory. Mainstreamowe media bez cienia wstydu podchwytywały te bzdury. Domagano się ujawnienia wyników badań. Szyderstwom i sączonym jadowicie ironicznym życzeniom powrotu do zdrowia nie było końca.

> Zdaniem Węglarczyka i Imielskiego choroba to jedyny czynnik, który może przymusić Donalda Tuska do oddania sterów rządu Radosławowi Sikorskiemu

Z punktu widzenia kultury politycznej żadnym problemem nie są też pytania o stan zdrowia Jarosława Kaczyńskiego. Donoszono przecież już o wszystkich możliwych chorobach, na które ma cierpieć, z letalnymi nowotworami na czele. Paparazzi czatowali na szefa PiS w szpitalach, a salonowe media snuły najdziksze spekulacje na temat rzekomo zbliżającego się końca lidera polskiej prawicy.

8 czerwca 2018 r. opiekujący się Kaczyńskim zespół lekarzy z WIM wystosował komunikat, w którym potwierdził, że polityk opuścił szpital. Opisano w nim rodzaj leczonego schorzenia (choroba zwyrodnieniowa stawów) i poinformowano, że dalsze leczenie będzie się odbywać w trybie ambulatoryjnym. A jeszcze trzy dni wcześniej Paweł Wroński, ówcześnie publicysta, dziś rzecznik Radosława Sikorskiego, ogłaszał na łamach „Wyborczej": „Wieść niesie, że [Kaczyński] przebywa na oddziale gastroenterologii i chorób wewnętrznych", gdzie, jak z wrodzoną elegancją przypominał Wroński, „leczy kolano".

„Nie słyszałem o operacji kolana, która trwałaby tak długo. Nie rozumiem, dlaczego partia, motywując to »zachowaniem zasad prywatności«, nie upowszechnia zwykłych komunikatów medycznych. Jarosław Kaczyński, szeregowy poseł, faktycznie kieruje polską polityką, a przysługują mu przywileje niemal królewskie. Władza wiąże się jednak nie tylko z przywilejami, lecz także z odpowiedzialnością oraz częściowym pozbawieniem prywatności" – dowodził.

Oczywiście Wroński nie chciał uwierzyć pisowcom na słowo, że prezes Kaczyński jest w niezłej kondycji. Przecież pamiętał, jak to było w Związku Sowieckim – tam też mówili, że umierający Breżniew jest przeziębiony. I gardłował: „Wyniki badań, natychmiast".

„Prezes w kwietniu zasłynął wykorzystaniem sentencji »Vox populi, vox Dei«, by uzasadnić decyzję o obniżeniu uposażeń posłom i samorządowcom. W sondażu dla »Rzeczpospolitej« 45 proc. badanych opowiedziało się za ujawnieniem stanu zdrowia prezesa. Przeciwnego zdania jest jedynie 26 proc. Głos ludu jest w tej sytuacji jednoznaczny" – przekonywał.

Sondażu z pytaniem o stan zdrowia Donalda Tuska jeszcze nie ma. Ale my już dziś dołączamy się do licznych apeli, aby premier jednak pokazał opinii publicznej wyniki swoich badań. *Vox populi, vox Dei.*

Łukasz Wróblewski

eprasa.pl 40dc1e51fc

Wielka konfrontacja

Kohabitacja premiera Donalda Tuska z prezydentem Karolem Nawrockim może się skończyć porażką i blamażem szefa rządu

STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk, trzykrotny premier, nigdy nie miał tak twardego „partnera" na stanowisku prezydenta jak Karol Nawrocki. Potwierdzenie tego uzyskał już w orędziu nowego prezydenta. Stacja TVN nazwała je „konfrontacyjnym", choć było raczej wyjątkowo realistyczne. I twarde. Premier Tusk też uznał je za „buńczuczne" i „konfrontacyjne". I zakpił z „długiego przygotowania do orędzia", choć z nie do końca „trafnym wyborem cytatów".

Po posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego szef rządu był wyjątkowo zdenerwowany i widać było, że czuje się dotknięty. Dał temu wyraz w stwierdzeniu, iż „prezydent reprezentuje, a rząd rządzi".

Orędzie prezydenta Nawrockiego było swego rodzaju polemiką z wygłoszonym tuż przed zaprzysiężeniem prowokacyjnym quasi-orędziem premiera. Tusk powiedział: „Wszyscy wierzyliśmy, że uczciwość, dobro i miłość zwyciężą. I to, co się stało, wystawia tę naszą wiarę na poważną próbę. Liczyliście, że 10 lat zażenowania, smutku i obaw o ojczyznę skończy się dziś definitywnie. Tymczasem do starych obaw dochodzą nowe". Wystąpienie szefa rządu można streścić tak: było źle (za prezydenta Andrzeja Dudy), mogliśmy to zmienić, ale przegraliśmy wybory prezydenckie i z nową głową państwa nadzieja upadła.

Prezydent Nawrocki w orędziu twardo stwierdził, że „Polska musi wrócić na drogę praworządności. Dzisiaj Polska nie jest na drodze praworządności". Choćby dlatego, że „art. 7 konstytucji, który mówi, że organy władzy państwowej muszą działać w granicach i na podstawie prawa, jest regularnie łamany". Przełomowe projekty inwestycyjne można podzielić na „te zablokowane, okrojone i w najlepszym przypadku opóźnione". W efekcie „Polska jest dzisiaj na bardzo złej drodze w sprawie rozwoju" i to „trzeba zmienić".

Prezydent Nawrocki zwrócił się do premiera Tuska – powiedział, że chce „mieć pełne informacje o tym, jak wygląda stan państwa polskiego". Zapowiedział, że powoła Radę do spraw Naprawy Ustroju Państwa, gdyż „tak dalej być nie może, Polacy chcą naprawy ustroju państwa". A finałem tej naprawy powinna być nowa konstytucja, która – prezydent Nawrocki ma taką nadzieję – „będzie gotowa do przyjęcia w 2030 r.".

Orędzie prezydenta Nawrockiego było skierowane głównie do Donalda Tuska i oznaczało, że głowa państwa na pewno nie będzie się biernie przyglądać temu, co premier i rząd robią oraz zamierzają robić z Polską. Dlatego dopiero okaże się, kto jest od „reprezentowania", a kto od „rządzenia".

Fot. ©Łukasz Błasikiewicz/KPRP

eprasa.pl 40dc1e51fc

ŁATWO JUŻ BYŁO

Z sondażu Opinia24 dla RMF FM wynika, że Polacy widzą współpracę rządu Donalda Tuska z prezydentem Karolem Nawrockim mało optymistycznie. Gabinet Tuska i prezydent Nawrocki będą równie niechętni do współpracy – uważa 37 proc. badanych. 18 proc. respondentów stwierdziło, że większą gotowość do współpracy będzie wykazywał rząd, a 19 proc. postawiło na prezydenta. Tylko 5 proc. respondentów wskazało na optymistyczną wizję kooperacji prezydenta i rządu. Najbardziej pesymistyczni co do współpracy prezydenta i premiera są najmłodsi respondenci (18–29 lat) – 45 proc. z nich nie widzi szans na współdziałanie.

6 sierpnia 2025 r. Donald Tusk usłyszał, że nie będzie mu łatwo udawać rządzenia, a jeszcze trudniej będzie miał z mamieniem i oszukiwaniem Polaków w kwestii złożonych obietnic. Już podczas kampanii wyborczej Karol Nawrocki zapowiadał aktywną kontrolę działań rządu i blokowanie inicjatyw, które uzna za szkodliwe dla Polski. Tusk obawia się, że prezydent Nawrocki może skierować ustawę budżetową na 2026 r. do Trybunału Konstytucyjnego, co mogłoby zablokować plany finansowe rządu i wywołać kryzys polityczny. Obawy te mają realne podstawy: deficyt budżetowy w 2025 r. zbliży się do 300 mld zł – grozi nam przekroczenie konstytucyjnego limitu długu publicznego.

Donald Tusk już wie, że Karol Nawrocki będzie prezydentem ofensywnym. I choć nie stanie się uległy wobec lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego, to najtrudniej będzie miał z głową państwa on sam. Nawrocki otwarcie nazywał Tuska „najgorszym premierem po 1989 r.".

Samo zwycięstwo Nawrockiego w wyborach prezydenckich zostało odebrane jako „żółta kartka" (niektórzy twierdzą, że wręcz czerwona) dla rządu Tuska, wskazując na osłabienie Koalicji Obywatelskiej po zaledwie półtora roku rządów. Premier obawia się, że twarda postawa Nawrockiego zdestabilizuje jego gabinet, co może prowadzić do przedterminowych wyborów parlamentarnych.

Karol Nawrocki, wspomagany przez tak sprawnych polityków jak Zbigniew Bogucki, Paweł Szefernaker, Marcin Przydacz czy Adam Andruszkiewicz, może skutecznie budować alternatywną wobec Tuska narrację polityczną, wzmacniając przy okazji obecną opozycję. Po spotkaniach Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim premier obawia się odwrócenia sojuszy, co przecież wprost zagraża stabilności jego rządu. W Tuska uderzy także to, że w kampanii ostro krytykował Nawrockiego i powtarzał medialne oskarżenia. Szef rządu może się ponadto obawiać, że prezydent zyska poparcie społeczne dzięki swojej „świeżości" i narracji „od zera do bohatera".

Tusk zarzucał Nawrockiemu, że podpisanie przez niego deklaracji Sławomira Mentzena, w tym sprzeciw wobec szybkiego przyjęcia Ukrainy do NATO, jest zgodne z postulatami Władimira Putina. To może być pułapka na samego premiera, gdyż nowy szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego prof. Sławomir Cenckiewicz łatwo może udowodnić, że najwięcej dla Putina robił sam Tusk – przed 2015 r.

Premier wraz z innymi członkami koalicji rządzącej wyrażał wątpliwości co do uczciwości wyborów prezydenckich 2025 r., wskazując na „zaskakujące rezultaty" w 800 komisjach wyborczych i zapowiadając działania prokuratury. Nawrocki uznał te działania za „nieuzasadnioną histerię" i polityczne podważanie procesu demokratycznego. Tusk może się obawiać, że kwestionowanie przez niego wyniku wyborów zwiększy polaryzację społeczną, co dodatkowo utrudni mu rządzenie i może prowadzić do protestów oraz dalszej utraty poparcia dla koalicji rządzącej.

Obecny premier obiecał realizację „100 konkretów" w „100 dni", ale udało się zrealizować ledwie jedną trzecią z nich. Może się więc obawiać, że Nawrocki przejmie narrację o realizacji obietnic rządu, przedstawiając się jako skuteczniejszy w ich wdrażaniu, a to może osłabić pozycję Tuska i jego partii oraz całej koalicji.

Po przegranych przez Rafała Trzaskowskiego wyborach prezydenckich rząd Tuska znalazł się w kryzysie, a brak jedności w koalicji dodatkowo osłabia jego pozycję. Obecny premier obawia się, że Nawrocki wykorzysta te wewnętrzne konflikty np. poprzez rozmowy z PSL, które wcześniej popierało go w wyborze na stanowisko prezesa IPN, lub z Polską 2050, której lider Szymon Hołownia spotykał się z Jarosławem Kaczyńskim. Takie działania mogą prowadzić do rozpadu koalicji i utworzenia rządu mniejszościowego. Tusk zapowiedział wprawdzie „plan awaryjny" na trudną kohabitację, ale jest on mglisty, a jego powodzenie zależy od zdolności rządu do utrzymania jedności i realizacji planów mimo sprzeciwu prezydenta.

LECH KACZYŃSKI, BRONISŁAW KOMOROWSKI I ANDRZEJ DUDA

Tusk dobrze się znał z prezydentem Lechem Kaczyńskim, miał z nim wspólne doświadczenia i właściwie nie doszło między nimi do ostrej konfrontacji, mimo wielu prowokacji i brudnych zagrań ze strony premiera. Wpływ na to miała też wysoka kultura osobista Lecha Kaczyńskiego. Oczywiście istniały spory kompetencyjne, np. o to, kto powinien reprezentować Polskę na arenie międzynarodowej, szczególnie podczas szczytów Unii Europejskiej. Przykładem jest głośny spór w 2008 r., gdy obaj politycy chcieli reprezentować nasz kraj. Lech Kaczyński wetował ustawy proponowane przez rząd Tuska, m.in. dotyczące służby zdrowia czy mediów publicznych. Premier oskarżał prezydenta o blokowanie reform, a Kaczyński zarzucał rządowi brak konsultacji. W takich kwestiach, jak polityka wschodnia czy negocjacje unijne, zdarzały się momenty współpracy. Obaj politycy popierali np. ideę Partnerstwa Wschodniego, choć różnili się w szczegółach jej realizacji.

Prezydentura Bronisława Komorowskiego była natomiast dla Tuska bezobjawowa. Szef rządu nie traktował głowy państwa ani jak partnera, ani jak rywala. Komorowski był gdzieś obok i bez większego znaczenia. Relacje z nim nie były obciążone walką o kompetencje, np. w polityce zagranicznej. Prezydent był w tych sprawach potulny, wspierał rząd, a Tusk unikał sytuacji, które mogłyby podważyć i tak słaby autorytet głowy państwa. Komorowski rzadko korzystał z prawa weta, np. w sprawie ustawy o emeryturach pomostowych, a decyzje te były poprzedzone konsultacjami i nie prowadziły do konfliktów. Tusk nie korzystał wobec niego z szerokiego arsenału uszczypliwości, nie atakował go publicznie.

Z prezydentem Andrzejem Dudą przez 20 miesięcy (po 13 grudnia 2023 r.) premier Tusk po prostu się mijał, bo wiedział, że niewiele ugra. Tym bardziej że nie zasypywał go lawiną ustaw. Nie dlatego, że bał się wetowania, tylko z powodu niewydolności swego rządu. Tusk nie ryzykował kompromitacji, pamiętając, że po powrocie do

eprasa.pl 40dc1e51fc

Orędzie prezydenta Karola Nawrockiego było skierowane głównie do Donalda Tuska i oznaczało, że głowa państwa na pewno nie będzie się biernie przyglądać temu, co premier i rząd robią oraz zamierzają zrobić z Polską

Polski ostro krytykował prezydenta, zarzucając mu m.in. łamanie zasad demokracji, upolitycznienie sądownictwa czy osłabianie pozycji Polski w UE. Duda „odpłacił" się tym, że po wyborach w październiku 2023 r. powierzył misję tworzenia rządu Mateuszowi Morawieckiemu, co utrudniło Tuskowi start.

W marcu 2024 r., w 25. rocznicę przystąpienia Polski do NATO, Duda i Tusk wspólnie uczestniczyli w spotkaniu z prezydentem USA Joe Bidenem w Białym Domu. Ale szef rządu był tam wyraźnie speszony i czuł się niedoceniony, szczególnie widząc „zażyłość" głów państw. Z Donaldem Trumpem premier Tusk nie miał żadnych relacji, podczas gdy prezydent Duda – przyjacielskie.

Premier Tusk spotkał się z prezydentem Dudą na pokładzie okrętu wojennego w Trójmieście, by omówić kwestie związane z nominacją Piotra Serafina na komisarza UE. W relacjach obu polityków dominowały jednak spory, np. w kwestii nominacji ambasadorskich. Rząd Tuska chciał odwołać ponad 50 ambasadorów, ale Andrzej Duda blokował te zmiany, argumentując, że wymagają one jego zgody. Szef rządu zarzucał prezydentowi „skrajną nieodpowiedzialność" w tej kwestii, szczególnie w kontekście placówek w USA, Izraelu, Ukrainie czy przy NATO, co wywołało ostrą reakcję Dudy, który oskarżył Tuska o manipulację.

W sondażu Instytutu Badań Pollster z marca 2024 r. 52 proc. Polaków oceniało relacje Tuska z Dudą jako złe, 40 proc. jako neutralne, a tylko 8 proc. jako dobre.

ŻARTY SIĘ SKOŃCZYŁY

W lipcu 2025 r. Donald Tusk ostrzegał, że nie pozwoli prezydentowi Karolowi Nawrockiemu „demolować politycznie rządu", co było bardzo konfrontacyjne. Tusk wie, że nie będzie miał łatwo z Nawrockim głównie z powodu jego ataków w czasie kampanii, wspólnych korzeni w Gdańsku, ponad pokoleniowej różnicy wieku (syn Tuska jest o rok starszy od Karola Nawrockiego) oraz ogromnej różnicy w wyznawanych wartościach. Z prezydentem Nawrockim Tusk nie może w ogóle liczyć na taryfę ulgową, więc do wyborów w 2027 r. kohabitacja będzie swego rodzaju drogą przez mękę dla premiera. I w tej konfrontacji Tusk jest raczej skazany na porażkę.

Prezydent Nawrocki kipi energią, podczas gdy Tusk jest politykiem skrajnie zmęczonym i zużytym, co podkreślają nawet niemieckie media. Głowa państwa nie będzie tolerowała żadnych brudnych gier szefa rządu. A to oznacza, że pozostałe jeszcze dwa lata na stanowisku premiera będą dla Tuska najgorszym doświadczeniem i najbardziej traumatycznym przeżyciem w jego politycznej karierze.

Nieprzypadkowo z atakami na Karola Nawrockiego, czyli z pomocą dla Donalda Tuska, wystąpił politolog i historyk prof. Antoni Dudek. Dostrzegł on konsekwencję i determinację w działaniach Nawrockiego, np. w sprawie usuwania pomników Armii Czerwonej. Dudek uważał, że takie decyzje, choć słuszne co do zasady, były prowadzone w sposób zbyt ostentacyjny, co doprowadziło do umieszczenia Nawrockiego na liście poszukiwanych przez Rosję w 2024 r. W poście na platformie X (w lutym 2024 r.) Antoni Dudek napisał: „Nawrocki swoją polityką historyczną zaognia konflikty, zamiast budować dialog o trudnej przeszłości". Nie chodzi jednak o dialog, tylko stanowczość i niechęć do ustępstw w sprawach o fundamentalnym znaczeniu oraz dotyczących fundamentalnych wartości. Donald Tusk nie może liczyć na żadne ustępstwa ani na taryfę ulgową w ocenie złego rządzenia. Przy prezydencie Nawrockim to złe rządzenie Tuska będzie „biło po oczach" i nie ujdzie uwadze większości Polaków.

6 sierpnia 2025 r. premier Tusk zobaczył, że „żarty się skończyły, zaczęły się schody".

Fot. ©Łukasz Błasikiewicz/KPRP

eprasa.pl 40dc1e51fc

Sen o wielkiej Polsce

Ludzie bardzo mocno odbierają postać Karola Nawrockiego jako emanację polskiego losu i będzie to zobowiązanie trudne do udźwignięcia. Widzą człowieka, który trafił na szklany sufit możliwości i go przebił

Z Miłoszem Lodowskim, twórcą kanału na YouTube „Chłodnym okiem", rozmawia Dorota Łosiewicz

Czego Polacy oczekują od prezydenta Karola Nawrockiego?

Miłosz Lodowski: Tego, żeby pałac prezydencki stał się początkiem budowy nowych instytucji państwa i takim miejscem, gdzie te instytucje będą powstawać, po to, żeby państwo stało się godne obywateli RP. Państwo ma być nowoczesne i wychodzić naprzeciw obywatelom. Nie może być tak, że na każdym kroku instytucje państwa, elementy układu władz są mniej nowoczesne niż sami Polacy. Ten entuzjazm, siła, energia i witalność Polaków mają być widoczne w systemie, który porządkuje rzeczywistość nad Wisłą. Chcą cywilizacyjnej odbudowy Rzeczypospolitej, która ma się zacząć od pałacu. To jest ciężkie zadanie, ale wyłania się z wypowiedzi Polaków, których słuchałem na ulicach w dniu zaprzysiężenia. W ludziach jest taka radość, że został wybrany ktoś z nich, kto rozumie ich sprawy na poziomie podstawowym. Ten ktoś ma im nie sprawić wstydu, zawodu i rozpocząć sanację państwa. Ten ktoś ma pokazać, jak we właściwy sposób budować kulturę, obyczaj polityczny, rzeczywistość, instytucje. Gdy patrzymy na skład nowej Kancelarii Prezydenta RP, widzimy tam doskonałych organizatorów. To wygląda tak, jakby miał tam powstać zalążek instytucjonalny nowego państwa, taki wielki think tank.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 40dc1e51fc

Zapowiedź utworzenia rady ds. naprawy ustroju czy rozpoczęcia prac nad nową ustawą zasadniczą wychodzi naprzeciw tym oczekiwaniom?

Właśnie tak. Dziś państwo jest kulą u nogi obywateli. Polacy muszą sobie sami radzić w każdej rzeczywistości, także tej międzynarodowej. Gdy potrzebują wsparcia czy tarczy, nie czują, że stoi za nimi nowoczesne państwo. I nie mówię tu tylko o przedsiębiorcach, lecz także o polskich naukowcach, sportowcach – bo państwo nie działa tak, jak powinno. Wszystkie przestrzenie, których dotyka państwo lub które są przez nie zawłaszczane najczęściej są obciążone niedowładem wynikającym z niezborności instytucjonalnej, skrzyżowania kompetencji czy trudnego w obsłudze – od strony hardwarowej, używając języka informatyki – państwa. Po prostu ciężko używa się państwa i jego narzędzi. Powołanie tej zapowiadanej rady ma spełnić postulat sanacji państwa. To ma uporządkować państwowy krwiobieg.

Jednocześnie Donald Tusk mówi: „Damy radę i myślę, że pan prezydent szybko przystosuje się do realnej sytuacji w Polsce", studząc zapał Karola Nawrockiego.

Mam wrażenie, że premier pozostał w XX w., a prezydent jest już przedstawicielem XXI w. w myśleniu. Szefowi rządu uciekł pociąg „zmiana medialna". Wszystkie elementy zmian, które zaszły w mediach, dały nadzwyczajne kompetencje jednostkom potrafiącym ich używać, szczególnie jako elementów związanych z układem władzy. Nie na zasadzie, że media mają mówić ludziom, co i jak mają myśleć oraz jak działać. Media wykorzystywane w sposób, który Karol Nawrocki przetestował w kampanii, pokazują, że nie trzeba pośredników w tłumaczeniu ludziom elementów programu, kierunków czy wielkich wizji. Można więc bezpośrednio budować z nimi komunikację, a więc oddziaływać na masy bez często zniekształcającego pierwotny przekaz otoczenia medialnego. To bardzo ciekawe, bo pojawia się przestrzeń na ważne rozmowy także w tych nowych mediach. To są rozmowy o celach strategicznych, ustrojowych. W przestrzeni komunikacyjnej jest coraz więcej powagi i ludzie tego wymagają, bo cenią swój czas oraz zauważyli – także dzięki działalności premiera – jak dalece mogą być zwodzeni w sytuacji, w której ktoś nie szanuje swego słowa, nie ma szacunku do samego siebie, w związku z tym składa obietnice bez pokrycia, mając świadomość, że może sobie na to pozwolić. Tak bardzo nie szanuje siebie, że ten brak szacunku przekłada na obywateli, czyli na suwerena. A politycy tkwiący w XX w. zapomnieli, że to obywatele są suwerenem.

Prezydent Karol Nawrocki przypomniał o tym w pierwszych słowach swojego orędzia.

Właśnie dlatego o tym mówię. Bardzo ważne było przypomnienie Romana Dmowskiego, autora „Myśli nowoczesnego Polaka", jako pierwszego ojca naszej niepodległości. W tej książce po raz pierwszy pojawiła się koncepcja nowoczesnego polskiego narodu politycznego, a może podwaliny pod jego budowę. Karol Nawrocki kontynuuje proces upodmiotowienia polskiego społeczeństwa i przypomina, że bycie narodem to obowiązek, zobowiązanie, a plemienność nie jest przynależnością wystarczającą. Potrzebna jest jeszcze świadomość celu, bagażu doświadczeń minionych wieków, którą niesie się na barkach, i wtedy stajemy się narodem. Ten naród mocno wybrzmiewał w orędziu prezydenta.

Było też widać silną więź prezydenta z Polakami. Ulice były pełne biało-czerwonych, Karol Nawrocki przemawiał do wyborców pod Sejmem, kolumna zatrzymała się na trasie, żeby głowa państwa mogła porozmawiać z ludźmi.

A podczas spotkania na Zamku Królewskim prezydent powiedział ciekawą rzecz o tym, że będzie trwało przywracanie wagi i pamięci osobom, które do tej pory były pomijane. Chodzi o tych, którzy byli ważni w procesie kształtowania wzorców społecznych i zachowań, a pozostawali skutecznie ukrywani. W ten sposób następuje porządkowanie przestrzeni symbolicznej i budowa bezpośredniej więzi z Polakami. Byłem w tłumie. To wspaniałe doświadczenie, bo było widać eksplozję polskości. To, jak bardzo ludzie utożsamili siebie i swój los z losem prezydenta. I nie chodzi tylko o doświadczenie kampanijne, lecz także życiowe. Ludzie bardzo mocno odbierają postać Karola Nawrockiego jako emanację polskiego losu i będzie to zobowiązanie trudne do udźwignięcia. Widzą człowieka, który trafił na szklany sufit możliwości i go przebił. To historia polskiego losu, opowieść o tym, dlaczego utkwiliśmy w pułapce średniego rozwoju, co nie pozwala wspiąć się wyżej. Polacy widzą w Nawrockim przywódcę, który umożliwi skok na szczyt. To jest doświadczenie dnia zaprzysiężenia i spontanicznego wyniesienia prezydenta oraz tego nastroju. Ludzie traktują go jako wielkiego narratora, który musi opowiedzieć historię wielkiej Polski i pomóc nam wszystkim zrealizować to marzenie.

Czy nie jest wyjściem naprzeciw tym oczekiwaniom i marzeniom złożenie projektu ustawy o Centralnym Porcie Komunikacyjnym w pierwotnym kształcie?

Tak. CPK nie jest wyłącznie projektem cywilizacyjnym i komunikacyjnym, mającym znaczenie strategiczne czy geostrategiczne lub gospodarcze. Ten projekt opowiada Polakom o ich własnych aspiracjach. W tym projekcie ludzie zobaczyli pomost pokoleniowy z międzywojniem, gdzie realizowano tego typu gigantyczne, cywilizacyjne projekty, np. budowa tamy rożnowskiej, Centralnego Okręgu Przemysłowego, magistrali węglowych, która pomogła zwyciężyć w wojnie ekonomicznej z Niemcami, czy wreszcie budowa Gdyni. Te inicjatywy pokazały, że Polska może wspiąć się na wyżyny i być wielka. Polacy zaczynają to rozumieć i tego chcą. Nawet ci, którzy w 2023 r. głosowali przeciwko PiS, opowiadali się nie tyle przeciwko programowi i rozwojowi, ile za zmianą operatora polskiej modernizacji. Ludzie wierzyli, że konkurencyjne stronnictwo

eprasa.pl 40dc1e51fc

polityczne będzie kontynuowało budowę silnej, wielkiej, dynamicznej, rozwijającej się pod każdym względem Polski. Chcieli jednak zmienić wykonawcę tego projektu, bo uznali, że ten, który jest, radzi sobie nie dość dobrze. To było klasyczne przeniesienie w rzeczywistość bajki „Wół minister", którą znamy od czasów Ignacego Krasickiego. Polacy nie wierzyli, że to, co widzą jest efektywne i wybrali coś, co było lepiej opowiedziane, jako atrakcyjniejsze, bardziej europejskie, lepsze wizerunkowo, bardziej „seksi". I uwierzyli, że nowi zrealizują wizje i obietnice Zjednoczonej Prawicy, że to będzie Zjednoczona Prawica Plus. Okazało się, że są same minusy.

Mówisz o eksplozji polskości, ciągłości pokoleniowej. Nie sposób więc nie spytać o słowa z orędzia dotyczące szkoły: „Będę też głosem tych Polaków, którzy chcą Polski normalnej – Polski przywiązanej do swoich wartości, Polski z dobrą polską szkołą, z polską literaturą i z polskimi lekturami w polskiej szkole. Jako człowiek, który przez kilkanaście lat zajmował się edukacją i narodową pamięcią, zrobię wszystko, aby dobra polska szkoła wychowywała kolejne pokolenia Polaków, a polski uczeń wychodzący ze szkoły rzeczywiście czuł dumę z bycia Polakiem".

To z kolei przywołanie słów Wincentego Witosa: „Trzeba koniecznie, aby uczeń wychodził ze szkoły Polakiem [...] w szkole powinien dowiedzieć się o wszystkich wielkich polskich mężach, o Polsce i jej wielkości, o upadku i rozbiorach, powinien tam nabrać gorącej miłości do swego kraju i chęci poświęcenia się za niego". Ja te słowa widzę w kontekście mojej historii rodzinnej. Pochodzę z rodziny o częściowo niemieckich korzeniach i dzięki polskiej szkole moi przodkowie się w całości spolonizowali. Oferta kulturowa była tak atrakcyjna, że po prostu wyprano z nas germańską tożsamość, a rodzina wybrała polską afiliację kulturową. Barbara Nowacka chce to wszystko zniszczyć. To są niesamowite słowa. Prezydent ma jeszcze tę siłę, że zanim stał się politykiem, był depozytariuszem całego „know how" jako prezes IPN. Miał świadomość zasobów naszego kraju, znał fundamenty, słabsze i mocniejsze elementy naszej rzeczywistości, i dzięki temu może być wielkim architektem. Bo jak ktoś dobrze zna fundamenty, może zbudować wielki, wspaniały gmach RP.

A czy to możliwe, żeby Karol Nawrocki był prezydentem wszystkich Polaków? Zwracał się przecież do tych, którzy go nie wybrali i mówił, że jego decyzjami nie będą kierować podziały polityczne, a wola narodu.

> Karol Nawrocki kontynuuje proces upodmiotowienia polskiego społeczeństwa i przypomina, że bycie narodem to obowiązek, zobowiązanie, a plemienność nie jest wystarczającą przynależnością

I tu znów nasuwa się nawiązanie do Romana Dmowskiego. Sądzę, że Karol Nawrocki będzie prezydentem wszystkich nowoczesnych Polaków. Chcesz nowoczesnego państwa, będziesz propaństwowcem, który wspiera prezydenta w jego wysiłku. Wracają „Myśli nowoczesnego Polaka" i refleksja, że to będzie prezydent tych, którzy serio traktują modernizację, wyzwania cywilizacyjne i emancypację Polski na arenie międzynarodowej oraz tych, którzy chcą, by nasz kraj odgrywał rolę odpowiadającą jego potencjałowi. Jesteśmy piątym co do wielkości państwem UE, a traktuje się nas gorzej niż kraje z 20. miejsca. Już prezydent Andrzej Duda miał taki okres, że swoimi działaniami mocno wywindował pozycję Polski w relacjach międzynarodowych, co stało się kłopotem naszego zachodniego sąsiada, który zrobił wiele, by tę pozycję osłabić. A to dlatego, że rosnąca pozycja Polski, która organizowała i ogniskowała wiele międzynarodowych emocji, była dużym zagrożeniem interesów gospodarczych i geopolitycznych Niemiec. To, co obserwujemy przez ostatnie dwa lata, jest wynikiem tego, że ktoś u naszego zachodniego sąsiada podjął decyzję, że trzeba trwale zastopować polskie aspiracje.

W orędziu było dużo słów o suwerenności, niepodległości, samodzielności.

W XXI w. tylko naród, który myśli śmiało, tylko naród, który chce się rozwijać, może być suwerenny i niepodległy. Inne zaczną się glajchszaltować, zamieniać w płynną masę, niekoniecznie samosterowną, niekoniecznie wiedzącą, w którym kierunku płynie i czy ten kierunek na pewno jest właściwy. Mamy tylko jeden wybór: albo staniemy się europejskim zwornikiem, ważnym punktem tranzytowym i odnośnikiem wynikającym z położenia, albo znikniemy, ktoś się nami podzieli i staniemy się dawcą organów. Polacy, którzy nie głosowali na Karola Nawrockiego, a mają aspiracje, nie powinni patrzeć na klucz polityczny, tylko na to, czy Polska jest w centrum zainteresowania danej formacji. Gdy Polacy, którzy nie głosowali na Nawrockiego zobaczą, że kierunek jest właściwy i dobrze wyznaczony, pokrywa się z naszym poczuciem niedoszacownia i niedowartościowania, zaczną go cenić. Być może przepuszczą postulaty przez własne doświadczenie życiowe. Ludzie, którzy wchodzili w dorosłość w latach 90. I na początku XXI w. zderzyli się ze szklanym sufitem, a ich zdolności i możliwości nie mogły być realizowane w Polsce na właściwym poziomie. Ci ludzie rozumieją, że szklane sufity mają także narody. Losy indywidualne i narodowe nakładają się na siebie. Ale szklany sufit można pokonać, można wyjść z pułapki średniego rozwoju.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Wróciła plugawa kampania plucia na Armię Krajową i jej rzekomą winę za zniszczenie Warszawy oraz śmierć jej mieszkańców w 1944 r. Uczestniczą w niej niektórzy politycy, znani publicyści, celebryci internetowi, a także sporo anonimowych kont w mediach społecznościowych. Kampania hejtu toczy się wbrew nastrojom społecznym w kraju, ale może mieć negatywne dla Polski skutki na arenie międzynarodowej

Znów ataki na pamięć o powstaniu

PIOTR GURSZTYN

Rzecz nie dotyczy debaty o tym, czy decyzja Komendy Głównej Armii Krajowej o rozpoczęciu walk powstańczych w Warszawie była słuszna, czy była błędem. Ta bowiem toczy się w środowiskach naukowych w sposób spokojny i wyważony. Zresztą w tej debacie może się wydarzyć niewiele nowego, gdyż nie ma jakichś odkryć czy odnalezienia jakichś nieznanych wcześniej zaskakujących dokumentów. Dyskusja dotyczy jedynie spornych interpretacji.

Co innego dzieje się w świecie internetu, mediów i polityki. Tam nie ma miejsca na spokojne rozważania błędów. Tam nie jest używane słowo „błąd", lecz od razu pada – „zbrodnia" lub „hańba". Rzucane są najcięższe oskarżenia, ale nie pod adresem nazistowskich Niemiec czy stalinowskiej Rosji,

lecz polskich dowódców. Im mniej kompetentni autorzy, tym ostrzejsze sformułowania.

Jest przy tym ciekawe, że awantury o polskiej rzekomej odpowiedzialności za zniszczenie Warszawy w 1944 r. całkowicie ucichły latem 2022 r. Nie było ich w 2023 r. i 2024 r. Wygląda na to, że groza agresji Rosji na Ukrainę uzmysłowiła wielu ludziom to, iż są takie momenty w życiu każdego narodu, że nie pozostaje nic innego, jak tylko desperacka walka. Liczenie zaś na dobrą wolę agresora jest skrajną naiwnością. Wojna na Ukrainie spowszedniała, więc wielu politycznych i medialnych poszukiwaczy atencji wróciło do tego, co zawsze lubili robić 1 sierpnia, czyli obrzydzania Polakom ich własnej historii.

NIEMCY ZACIERAJĄ RĘCE

„Cześć i chwała bohaterom i ofiarom Powstania! Hańba dowódcom i politycznym decydentom za wydanie rozkazu" – to jeden z wielu podobnych komentarzy z 1 sierpnia tego roku. Jego autorem jest Stanisław Tyszka z Konfederacji. Polityk dość ważny, bo wpływowy doradca Sławomira Mentzena, a kiedyś wicemarszałek Sejmu. Co ciekawe, tego dnia jego pryncypał uczcił powstanie warszawskie w Berlinie ze zdecydowanie oskarżycielskim przesłaniem pod adresem Niemców.

Gdzie tu spójność? Bo jeśli rozkaz o rozpoczęciu walki był „haniebny", to wina Niemców za wszelkie zbrodnie i zburzenie stolicy nie jest stuprocentowa. W logice Tyszki ta wina może być tylko częściowa. Być może jego intencje są inne, ale skutki będą właśnie takie. W dobie debaty o reparacjach oraz innych formach zadośćuczynienia za zbrodnie wojenne strona niemiecka będzie mogła się powołać na głosy ze strony polskiej. Skoro decyzja KG AK była zbrodnią, a jej sprawcy powinni być osądzeni (to też częste głosy ludzi atakujących pamięć powstania), to wina Niemiec jest tylko częściowa. Nie można zatem domagać się daleko idących odszkodowań – w myśl zasady, że chcącemu nie dzieje się krzywda. Jakieś pretensje do Niemiec? Przecież Polacy sami piszą, że powstanie to zbrodnia KG AK.

W ogóle istnieje pytanie o konsekwencję do polityków takich jak Tyszka oraz wszystkich zwolenników tezy o „polskiej zbrodni". Czy gdy tylko będą mogli, to zmienią nazwy tych ulic, którym patronują postacie, takie jak Bór-Komorowski, Okulicki, Chruściel, Pełczyński? Nakażą rozbiórkę pomników? Czy odbiorą patronaty instytucjom, a zwłaszcza jednostkom wojskowym? Bo warto np. wiedzieć, że inicjatywa nadania imienia gen. Antoniego Chruściela „Montera" 18. Stołecznej Brygadzie Obrony Terytorialnej wyszła od kadry oficerskiej i podoficerskiej tej jednostki. Podobnie było z 5. Brygadą Obrony Terytorialnej im. gen. Leopolda Okulickiego.

Ważne jest przy tym to, że najagresywniejsi oskarżyciele dowódców powstania to ludzie prawicy. Tej, która jest związana z Konfederacją i partią Grzegorza Brauna lub orbitują wokół nich. W środowiskach lewicowych i liberalnych powszechne jest przekonanie, że powstanie nie miało sensu, ale wzmożenie w postaci agresywnych oskarżeń jest tam rzadkie. Czy zatem ujrzymy w mediach nagłówki takie jak: „Prawica walczy z pamięcią o dowódcach powstania warszawskiego"?

W sytuacji, w której wiemy, jakie jest nastawienie społeczeństwa w tej sprawie, zajadłość w zwalczaniu pamięci powstania wygląda na szaleństwo. Dziennik „Rzeczpospolita" zamówił sondaż z pytaniem: „Czy powstanie było potrzebne i powinno było wybuchnąć?". Ponad 51 proc. odpowiedziało, że tak, a tylko 21,5, że nie. „Rzepa" zauważyła, że w 2018 r. na identyczne pytanie pozytywnie odpowiedziało tylko 35 proc., a negatywną ocenę wyraziło 29 proc. Dr Teresa Bochwic, ceniona publicystka, opozycjonistka z czasów PRL, oceniła: „O 16 proc. wzrosło pozytywne zrozumienie dla Powstania Warszawskiego – pisze „Rzeczpospolita" – stało się to w ciągu ostatnich 8 lat; oznacza to sukces polityki historycznej PiS, także telewizji, lansującej wiedzę o wielkich dniach Polski i wielkich tragediach; nie poszło to na stratę". Jeśli nawet uznamy jej stwierdzenie o sukcesie polityki historycznej PiS za przesadne, to trzeba uznać, że musi być to jakiś skutek działań instytucji publicznych z lat 2016–2023.

Tego sondażu z pewnością nie powinni lekceważyć politycy żadnego z nurtów prawicy. Bo za powstaniem opowiedziało się aż 97 proc. wyborców Grzegorza Brauna (co może znaczyć, że skandalizujący polityk zapłaci za swoje dziwaczne wypowiedzi na temat rtm. Pileckiego). Ale też dla Konfederacji, której reprezentantem jest Tyszka, bo ponad 70 proc. jej wyborców pozytywnie odpowiedziało na pytanie tej ankiety.

ARGUMENTY KRYTYKANTÓW

Krytycy, a właściwie skandaliści (bo żaden z nich nie jest badaczem dziejów powstania), argumentują, że ich głos wynika z pragnienia tego, aby Polska nie popełniła błędów przeszłości i aby nie naraziła się tym samym na podobną hekatombę. Ale w tym ujęciu prezentują oni polskie społeczeństwo jako zbiorowisko szaleńców pragnących ryzyka, a nawet wojny. Nie jest to zgodne z faktycznym obrazem nastrojów społecznych. Polska jako państwo nie szykuje się do żadnej agresji. Jeśli grozi nam wojna, to jedynie obronna. Jednocześnie spory procent społeczeństwa deklaruje, że nie będzie uczestniczył w obronie kraju. Kilkanaście procent ankietowanych od razu stwierdziło, że ucieknie z Polski. Zapowiedzi przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej budzą histerię. Przez formację ochotniczą, jaką jest WOT, przez prawie 10 lat istnienia przeszło ok. 80 tys. ludzi, czyli 2 promile całego społeczeństwa! Gdzie więc ryzyko powtórzenia rzekomych błędów? Jest wręcz odwrotnie.

Uczestniczący w sporze o pamięć powstania publicysta Robert Tekieli skomentował to niepokojącym ostrzeżeniem: „Na tym polega pułapka, w którą wciąga od 1945 r. Polaków moskiewska, świadoma czy nie, agentura. Walka z Rosjanami jest obłędem – zaszczepienie tego myślenia zawsze było celem rosyjskich służb. Opinie są różne. Dyskutować trzeba. Haniebne jest opluwanie aktorów tragedii".

Krytykanci zastrzegają się też – co było widać we wpisie Tyszki – że oddają hołd szeregowym powstańcom, a krytykują „jedynie" dowódców. To jednak dalszy ciąg komunistycznej propagandy sprzed 1989 r. Wtedy też

Fot. East News

eprasa.pl 40dc1e51fc

głoszono, że powstańcy byli dobrzy, a tylko dowódcy źli. Rzecz w tym, że sami szeregowi żołnierze powstania się na to nie godzili. Między środowiskiem weteranów, wówczas bardzo licznym, a ekipą Jaruzelskiego trwał spór o to, jak ma się nazywać pomnik poświęcony walce stolicy w 1944 r. Powstańcy chcieli, aby był to Pomnik Powstania, a komunistyczne władze wbrew ich woli zamieniły nazwę na monument Bohaterów Powstania.

Podział na zbrodniczych dowódców i szlachetnych, lecz naiwnych powstańców, jest fałszywy. Oni sami w swej masie się na to nie godzili, bo jest także całkowicie nielogiczny. Redukuje żołnierzy Państwa Podziemnego, armii całkowicie ochotniczej, do poziomu bezmyślnych automatów.

Atak na pamięć o powstaniu łączy się z szalonym negowaniem akcji „Burza", bez żadnego niuansowania i ukazywania skrajnie dramatycznej sytuacji, w jakiej znalazła się wtedy Polska. Dyskredytacja powstania i akcji „Burza" powoduje, że z wysiłku i poświęcenia Armii Krajowej i Państwa Podziemnego zostanie niewiele. To było przecież zwieńczenie ich działalności. Jeśli to zostanie wykreślone, okaże się, że polski udział w walce z nazistowskimi Niemcami stanie się znacznie skromniejszy. Będziemy zredukowani do pionków historii. Całkowicie biernego przedmiotu zdarzeń, który, gdy tylko próbował być podmiotem choć trochę, to był głupi (używając słów o powstaniu warszawskim PZPR-owskiego historyka prof. Pawła Wieczorkiewicza). W światowej konkurencji na pamięć historyczną II wojna światowa jest punktem centralnym. A Polacy sami się pozbawiają własnych atutów.

Intencje agresywnych krytyków powstania mogą być przeróżne. Może nawet i dobre, ale wiadomo, czym wybrukowane jest piekło. Wspominaliśmy już o możliwych konsekwencjach w polsko-niemieckim sporze o reparacje i zadośćuczynienie. Strona niemiecka prezentuje nadzwyczaj sztywną postawę. Korzysta z jakichkolwiek pretekstów, by nie ustąpić stronie polskiej. Właśnie teraz opinia publiczna dowiedziała się o świadomej polityce niemieckiego rządu, który odmawia zwrotu zrabowanych w Polsce dzieł sztuki pod pretekstem przetrzymywania u nas zbioru cennych archiwaliów zwanych popularnie „berlinką". Strona niemiecka unika upamiętnienia eksterminacji Polaków w czasie II wojny światowej. Znawca polityki niemieckiej Marek A. Cichocki odnotował brak jakiejkolwiek reakcji kanclerza Friedricha Merza w rocznicę wybuchu powstania. Nazwał je „wymownym" w kontekście niemieckiej polityki historycznej.

> Jeśli rozkaz o rozpoczęciu walki był „haniebny", jak argumentują krytycy, to w tej logice wina Niemców za wszelkie zbrodnie i zburzenie stolicy nie jest stuprocentowa. Nie można zatem domagać się daleko idących odszkodowań

ROSYJSKA NARRACJA

Nie jest bowiem tak, że w tej sprawie „to, co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas". Ataki na pamięć o powstaniu są zauważane. Także po drugiej stronie, czyli na putinowskim Wschodzie. Nie jest przypadkiem, że w temacie powstania dominuje tam jedna narracja. Wyważone oceny w kwestii tego zrywu Polaków są bardzo rzadkie, a pogląd o jego słuszności w ogóle nie istnieje. Dominuje jeden przekaz – że po pierwsze, powstanie było aktem wrogim wobec stalinowskiej Rosji, a po drugie, jest świadectwem szaleństwa Polaków. Ci bowiem, zamiast porozumieć się z Rosją (czyli *de facto* się jej poddać), uparcie z nią walczą.

Dobrym przykładem tej narracji jest świeżo opublikowany przez białoruską agencję Belta tekst pióra osławionego byłego sędziego Tomasza Szmydta. Już w tytule czytamy, że powstanie było politycznym szaleństwem. Szmydt ubolewa, że w Polsce panuje „mit", jakoby Stalin nie chciał pomóc powstaniu. Dalej określa on polskie społeczeństwo jako przez „długie lata" karmione rusofobią i wychowywane w nienawiści do wschodnich sąsiadów. Swoje twierdzenia podparł „autorytetem" dwóch polskich krytykantów powstania. Powołał się na zdanie Łukasza Warzechy, który „słusznie" skrytykował mit, że Stalin celowo zatrzymał swe wojska przed Warszawą. A potem przywołał opinie Piotra Zychowicza, który „prawidłowo" i „słusznie" – jak zaznaczał Szmydt – krytykuje polskie podejście do powstania warszawskiego.

„Twórczość" tego drugiego od dawna jest zauważana w Rosji i budzi tam zainteresowanie. Z aprobatą przyjęto „rewelacje" Zychowicza na temat tego, że powstanie było obłędem. Podobały się także jego twierdzenia, że AK rzekomo nie chciała ratować Polaków na Wołyniu. Bo dla Rosjan to argument, że tylko oni mogli uratować ludność Wołynia i zaprowadzić tam porządek. Nawet „rewelacje" Zychowicza o pożytkach paktu Polski z hitlerowskimi Niemcami zachwyciły oficjalną Rosję, bo były dla niej dowodem, że przedwojenna Polska była państwem agresywnym, a Sowiety tylko się broniły. 17 września 1939 r. był zatem aktem usprawiedliwionym, a nie agresją.

Prof. Andrzej Nowak w rozmowie z Piotrem Legutko (wywiad rzeka pt. „W potrzasku historii i geografii") ujawnił, że ten rosyjski zachwyt poszedł tak daleko, że ambasada FR w Warszawie chciała nawet urządzić uroczystość na cześć Zychowicza: „Ambasada rosyjska postanowiła uczcić wydanie tej książki i zaprosić pana Zychowicza na specjalne święto z tej okazji. Po prostu do tego stopnia realizuje on zamówienie polityki historycznej Putina".

Prof. Nowak zastrzegł się przy tym, że nie przypisuje Zychowiczowi działalności agenturalnej, lecz „skrajną głupotę lub skrajny cynizm". Ale przecież wrogom Polski to wystarczy. Po co płacić pieniądze agentom, skoro można mieć pożytecznych idiotów za darmo?

eprasa.pl 40dc1e51fc

Ostatni bal przed emeryturą

Tłumy czterdziestolatków na imprezie Owsiaka pokazują, że fajnopolacy nie pozostawili swoich następców. III RP razem z jej mitami i dogmatami powoli odchodzi w przeszłość. Tej sztafety nikt już dalej nie poniesie

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. PAP

Za komuny istniało pojęcie działacza młodzieżowego. Byli to najczęściej osobnicy po czterdziestce, spośród których partyjni dygnitarze (zwykle w wieku emerytalnym) dobierali sobie następców. Działacze młodzieżowi – zwłaszcza w schyłkowym PRL – starali się być, jak to na młodzież przystało, wyluzowani, swojscy i bardzo nowocześni (dziś powiedzielibyśmy: europejscy). Udawali cichych kontestatorów systemu, choć w rzeczywistości byli obrzydliwymi karierowiczami.

Pamiętam, że wśród ówczesnych nastolatków i dwudziestoparolatków budzili nieufność, śmieszność oraz zażenowanie. Po upadku komuny ich losy potoczyły się różnie. Nieliczni pozostali w polityce, budując „demokratyczną Trzecią RP", większość weszła w nomenklaturowy biznes, a jeszcze inni działali na „froncie ideologiczno-wychowawczym" w mediach i kulturze, gdzie nadal kształtowali nowego człowieka – tym razem już nie grubo ciosanego komucha, lecz filigranowego, postępowego Europejczyka.

To skojarzenie przyszło mi do głowy, gdy zobaczyłem relację z najnowszej edycji festiwalu Pol'and'Rock zorganizowanego na początku sierpnia przez Jerzego Owsiaka.

Owsiak, który rozpoczynał karierę w końcówce lat 80., jest właśnie takim permanentnym działaczem młodzieżowym. Tyle że czas płynie nieubłaganie i on sam – podobnie jak jego wyznawcy – nie jest już w stanie oszukać metryki. Nie pomogą nawet czerwone spodnie, kolorowe okulary i bluzgi rzucane ze sceny. Pokolenie owsiakowej „młodzieży" (nie mówiąc już o samym Owsiaku) powoli zbliża się do emerytury. A ich następców nie widać.

DZIADEK I TATUSIOWIE

Według organizatorów tegoroczna edycja festiwalu Pol'and'Rock zgromadziła nieprzebrane tłumy widzów. Jednak Jerzy Owsiak nie był w stanie odpowiedzieć, ile osób wzięło udział w tym wydarzeniu. „Nie mam zielonego pojęcia" – stwierdził. „Staramy się tego nie liczyć, bo to trudne, to byłaby jakaś fałszywka. Odpowiedziałbym tak: wróciliśmy do stanu przedcovidowego".

Przyjmijmy więc na wiarę, że ludzi było mnóstwo. Przy czym to nie liczba widzów była najbardziej uderzająca, lecz średnia ich wieku. Oglądając zdjęcia z imprezy, widzimy ludzi o mocno już zaawansowanej młodości. Brzuchaci panowie w różowych fatałaszkach i dojrzałe panie w strojach rusałek. Niektórzy z nich stroją głupie miny jak w przedszkolu, inni przybierają groźne pozy licealnych buntowników. Żenujące było pojawienie się w tym otoczeniu Adriana Zandberga, który wywijając wygibasy w marynarce, próbował wraz z innymi razemitami agitować za swoją partią.

Obok widzimy wytatuowanych tatusiów, jak skaczą w błocie pod sceną, na której śpiewa i tańczy Michał Wiśniewski (lat 53) z Ich Troje. Na końcu występu zdejmuje spodnie i wypina się tyłem do widzów, co wywołuje wybuch niepohamowanego entuzjazmu. „Patrzcie, tyłek pokazał! Ale fajnie, jakie to śmieszne!" – cieszą się jego rówieśnicy. A nad wszystkim czuwa i dyryguje tym 73-letni dziadek w czerwonych gaciach.

Jeśli wierzyć mediom, Owsiak też dał się ponieść młodzieńczej energii. Jak pisze portal Interia, trzeciego dnia festiwalu wyszedł na scenę podczas jednego z koncertów i odśpiewał: „Mam na to wszystko wyj...bane". Podobno to „ikoniczny refren".

Być może Owsiak – poza odśpiewaniem „ikonicznego refrenu" – chciał po prostu wykrzyczeć swoją złość. Zdenerwowało go bowiem, i to mocno, nieprzygotowanie jednego z zespołów do występu. Muzykom rozstroiła się gitara, więc próbowali ją nastroić. A że trwało to aż pół godziny, Owsiak stracił cierpliwość i pogonił szarpidrutów. Jak później przyznał, było już późno i postanowił pójść spać. „Każda minuta odbierała mi energię, siłę, przychodziło zmęczenie" – wyjaśnił na konferencji prasowej. Trzeba to zrozumieć – nasza młodzież ma już swoje lata.

> Brzuchaci panowie w różowych fatałaszkach i dojrzałe panie w strojach rusałek. A nad wszystkim czuwa i dyryguje tym 73-letni dziadek w czerwonych gaciach

OSTATNIE PODRYGI

Owsiakowa młodzież lat 90. miewa dziś wielkie brzuchy i włosy przyprószone siwizną (o ile w ogóle jeszcze je ma). Niektórzy to weterani dawnych spędów Owsiaka, mocno infantylni i wiecznie młodzi duchem. Przyjeżdżają dla muzyki albo po prostu z sentymentu, aby spotkać się ze znajomymi z zamierzchłych czasów. To daje im złudzenie nieprzemijającej młodości. Bywa, że zabierają ze sobą często już dorosłe dzieci w nadziei, że uda się je zarazić atrakcyjną atmosferą pola namiotowego, przenośnych toalet, zapachu potu i skrętów oraz przygodnego seksu w pobliskich krzakach. Tyle że tej dawnej atmosfery już pewnie nie ma, a ich dzieci mają dziś zupełnie inne wyobrażenie atrakcyjnego wypoczynku.

Takich weteranów peerelowskiej kontrkultury jest jednak coraz mniej. Więcej jest za to rozmaitej maści pozerów, podtatusiałych lemingów i ich „wyluzowanych" żon, którzy po czterdziestce zapragnęli skorzystać z życia i posmakować wreszcie jego „zakazanych owoców". Zabawa półnago w błocie to dla nich przejaw mocno spóźnionego buntu, przeżywanie drugiej młodości. Bo gdy przeżywali tę pierwszą (i jedyną), byli grzecznymi, dobrze ułożonymi lalusiami, którzy musieli się dobrze uczyć, a potem znaleźć pracę i zacząć zarabiać.

Oczywiście nie ma nic złego w tym, że ktoś stawia sobie sensowne cele w życiu, gorzej jednak, jeśli po wielu latach musi sobie zrekompensować wcześniejsze wyrzeczenia w tak infantylny sposób. W ten sposób dawny laluś zamienia się w dziadersa.

Dziaders to po prostu leming, czyli „młody i wykształcony z wielkiego ośrodka" wyborca PO. Udało mu się skończyć studia i zamieszkać w dużym mieście – tyle że było to ćwierć wieku temu. Teraz ma już dorosłe dzieci, pozycję w korporacji

eprasa.pl 40dc1e51fc

oraz spłacone mieszkanie. I zaczyna zdradzać silne objawy kryzysu wieku średniego.

Dziadersi są atrakcyjni jedynie dla innych dziadersów. Czy ktoś widział młodego człowieka, który by się zachwycał Kubą Wojewódzkim? Śmiał się z jego czerstwych dowcipów? Telewizyjny emeryt w zwisających porciętach może się wydawać „buntownikiem" jedynie innym, podobnym mu dziadersom, którym ciągle się wydaje, że są w awangardzie społeczeństwa. Że jak zaklną lub wbiją polską flagę w psią kupę, to od tej ich „kontestacji" zatrzęsie się cały świat.

Dziś festiwal Owsiaka jest właśnie zlotem takich dziadersów. To ich ostatnie podrygi przed pójściem na emeryturę.

UMYSŁY ZATRZYMANE W CZASIE

Opowiadam o tym wszystkim, bo pochłonięci codziennymi sprawami często nie zdajemy sobie sprawy z upływu czasu. Wielu dzisiejszych czterdziesto- i pięćdziesięciolatków żyje w złudnym poczuciu nieprzemijającej młodości. Ciągle wydaje im się, że tkwią gdzieś w latach 90., co bardzo mocno deformuje postrzeganie otaczającej ich rzeczywistości. Tymczasem umysł zatrzymany w czasie wysyła błędne sygnały, nie rozwija się i po pewnym czasie staje się niesprawny.

To właśnie w tych defektach należy szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego Polska ciągle nie może wyrwać się do przodu i nieustannie powraca do punktu wyjścia. To skutek nieustannej walki skostniałych, infantylnych umysłów z intelektami pełnymi życia. Niestety skostniałe umysły – jak pokazały ostatnie wybory parlamentarne w 2023 r. – zbyt często wygrywają.

Wielu ludzi, którzy weszli w dorosłe życie w latach 80. i 90., nie potrafi wyrwać się z ówczesnych schematów myślenia. Ich głowy zostały trwale zainfekowane propagandą tamtej epoki. Oni głęboko wierzą w to, że prywatne, postępowe, zachodnie zawsze znaczy lepsze. I choć ich własne życie często podpowiada im co innego, zawsze będą twierdzić, że sam jesteś kowalem swojego losu. Wstydzą się własnego kraju, Kościoła, tradycji. Nienawidzą prawicy i każdego, kto ma inne zdanie. Tak zostali ukształtowani w swoich młodych latach i choć cały świat się zmienił, tkwią w tym myśleniu. Niczego nie rozumieją i dokonują złych wyborów.

Owsiak także należy do tego przemijającego świata. I nie chodzi tylko o ideologię z lat 90., której pozostał wierny, lecz także o związany z tym zastój umysłowy – iluzję, że nic się nie zmieniło i ciągle żyjemy w starej rzeczywistości.

Dojrzali wiekiem ludzie, którzy przyjeżdżają na jego imprezy, w pewnym sensie rzeczywiście są buntownikami. Buntują się przeciwko własnej metryce, przeciwko zmieniającym się czasom. Chcą wierzyć, że ciągle są młodzi i świat należy do nich. Tyle że to nieprawda.

> Dojrzali wiekiem ludzie, którzy przyjeżdżają na imprezy Owsiaka, w pewnym sensie rzeczywiście są buntownikami. Buntują się przeciwko własnej metryce, przeciwko zmieniającym się czasom

PORZUCONA SZTAFETA

Kult młodości, który rozpowszechnił się w ostatnim stuleciu, powoli staje się zgubny dla nas wszystkich. Bo nie chodzi już tylko o zdrowie i sprawne ciało. Mamy nie tylko wyglądać jak nastolatki, lecz także myśleć jak one. Przez cały czas się bawić, eksperymentować i odkrywać oraz poświęcić temu celowi całe swoje życie i majątek. W takim modelu nie ma miejsca na rodzinę, odpowiedzialność, powagę i doświadczenie. Ma być tylko zabawa i wygłupy.

Generacja obecnych nastolatków i dwudziestolatków ma prawo czuć się zaniepokojona tym wszystkim. Bo infantylizm rodziców skazał dzisiejszą młodzież na zagubienie. Bywa, że nie ma ona wystarczającego wsparcia i brakuje jej autorytetów. Co więcej, „nastoletni" rodzice często czują się zazdrośni o swoją pozycję i blokują kolejnemu pokoleniu życiowy start. Bo przecież ciągle są „młodzi", więc ich dzieci muszą poczekać.

Być może pamiętają państwo akcję Hot16Challenge, gdy tabuny starych pierników ruszyły do mikrofonów, aby rapować. Chodziło o cel charytatywny, ale dla wielu uczestników – na co dzień korporacyjnych sztywniaków – akcja stała się pretekstem do pokazania znajomym swojego „luzu" i młodzieńczego wigoru. Teoretycznie poważni ludzie, często bez cienia talentu, skandowali grafomańskie teksty w przekonaniu, że wzbudzi to powszechny podziw i uznanie. W rzeczywistości nie dało się na to patrzeć bez poczucia kompletnego zażenowania. Był to pokaz całkowitego odklejenia od rzeczywistości oraz braku jakiegokolwiek samokrytycyzmu wśród czterdziesto- i pięćdziesięcioletnich lemingów.

W młodzieżowym slangu popularne jest dzisiaj słowo „krindż". Oznacza ono coś bardzo żenującego. Największym „krindżem" jest dla młodych pozerstwo. Udawanie kogoś, kim się nie jest. A udawanie młodego „luzaka" przez sztywnego dziada w mocno dojrzałym wieku jest już ostentacyjnym fałszem i z pewnością nie buduje autorytetu ani wiarygodności. Nic więc dziwnego, że młodzi coraz częściej szukają swojej własnej drogi.

Przypomina to trochę wspomniany na początku tego artykułu schyłek komuny, gdy czterdziestoletni działacze młodzieżowi budzili powszechne politowanie wśród ówczesnej młodzieży. W pewnym sensie dzisiaj ich miejsce zajął postarzały leming, któremu wydaje się, że jest fajny, wyluzowany i wiecznie młody. Wkrótce czeka go jednak bolesne zderzenie z rzeczywistością.

III RP razem z jej mitami i dogmatami powoli odchodzi w przeszłość. I to nie tylko za sprawą wyczynów Tuska, lecz także z powodów naturalnych. Tej sztafety nikt już dalej nie poniesie. Emeryci od Owsiaka, bawcie się więc dobrze, póki jeszcze macie siły.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Czy kard. Ryś chce być liderem „Kościoła otwartego”?

Kard. Grzegorz Ryś – ten sam, który kiedyś ubolewał nad polaryzacją społeczną w Polsce – dziś zachowuje się tak, jakby nie chciał tej polaryzacji łagodzić, a wręcz ją pogłębiać

GORAN ANDRIJANIĆ

W polskim Kościele katolickim trwają bardzo dynamiczne procesy, które zdefiniują kierunek, w jakim lokalny Kościół nad Wisłą będzie podążał w ciągu najbliższej dekady, a może dłużej. Nie ma w tym nic zaskakującego. Kościół jest przede wszystkim Mistycznym Ciałem Chrystusa, a zatem rzeczywistością duchową. Ale ta rzeczywistość istnieje i działa w świecie materialnym, który również na nią wpływa.

Jak dobrze wiemy, żyjemy w ekscytujących, wręcz dramatycznych czasach, w których przyszłość Polski i Europy rozstrzyga się w wielu ważnych kwestiach, takich jak migracje, zagrożenie ze strony rosyjskiego imperializmu i terror ideologii klimatycznej. Jest po prostu niemożliwe, żeby to wszystko nie zostawiło mocnego śladu również na tym, co się dzieje w Kościele.

Ponadto mamy nowego papieża. Z tego, co wiemy do tej pory, pontyfikat Leona XIV przyniesie pewne zmiany w Kościele po pontyfikacie Franciszka. Oczywiście nie dotyczą one kwestii najważniejszych i fundamentalnych, na których bazuje Kościół. Ale zmiana akcentów polegająca na nadaniu pewnym aspektom doktryny większej wagi niż innym jest już faktem.

LIST KARDYNAŁA

Jak już pisałem na łamach tygodnika, niedawna decyzja Konferencji Episkopatu Polski, że abp Wojciech Polak nie będzie już kierował zespołem, który od dwóch lat przygotowuje założenia ogólnopolskiej komisji ds. wyjaśniania przypadków wykorzystywania seksualnego małoletnich, jest częścią tej dynamiki.

Chodzi o decyzję, która pokazała, że polscy biskupi są zdeterminowani, aby rozwiązać problem nadużyć seksualnych w Kościele w sposób, który uważają za odpowiedni, a nie tak, jak chcą liberalne środowiska kościelne reprezentowane przez prymasa Polaka. Po tej decyzji w kręgach „Kościoła otwartego” zapanowała atmosfera moralnej histerii, która udowodniła, że nie chodzi tu o ofiary, lecz rozgrywki kościelno-polityczne.

> W liście w sprawie nielegalnej migracji kardynał postanowił zająć stanowisko ideologiczne, oderwane od rzeczywistości, w której obecnie żyją Polacy oraz inne narody

Potem wybuchła kolejna dyskusja. Wypowiadając się na Jasnej Górze, biskupi Antoni Długosz i Wiesław Mering jasno wyrazili poparcie dla ludzi z Ruchu Obrony Granic, którzy obecnie starają się powstrzymać coraz liczniejsze przypadki przekazywania nam nielegalnych imigrantów przez niemiecką policję. Po ich wypowiedziach wybuchła nowa fala histerii w liberalnych mediach, a biskupi zostali absurdalnie oskarżeni o „zdradę Ewangelii” tylko dlatego, że wsparli Polaków i ostrzegali przed kiepską polityką migracyjną obecnego rządu.

W pewnym sensie było tylko kwestią czasu, zanim „Kościół otwarty” we własny sposób odpowie na to, co się dzieje. I ta odpowiedź przyszła w formie listu jednego z polskich kardynałów.

Metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś napisał list do wiernych swojej diecezji, w którym w dosyć innowacyjny sposób komentował wypowiedzi swoich braci biskupów o migrantach oraz decyzje KEP o zmianach związanych z komisją ds. wyjaśniania przypadków wykorzystywania seksualnego małoletnich. Jeśli chodzi o walkę przeciwko pedofilii, Ryś zapowiedział powołanie specjalnej komisji w swojej archidiecezji, która będzie mu podlegać.

Większą wagę mają jednak jego słowa, którymi pośrednio skomentował wypowiedzi biskupów na Jasnej Górze. „Proszę, jeśli decydujecie się uczestniczyć w dyskusjach, a już zwłaszcza publicznych, na temat właściwej relacji do uchodźców i migrantów, to chciejcie to czynić w głębokim zjednoczeniu z rzeczywistą nauką Chrystusa i Kościoła. Jeśli zaś nie, to proszę: miejcie odwagę przynajmniej w takich wypadkach zamilknąć i nie dokładać ognia do tak rozpalonej rzeczywistości” – napisał kardynał. I dodał,

eprasa.pl 40dc1e51fc

Fot. Archidiecezja Łódzka

że jeśli chodzi o imigrantów, „katolicka nauka społeczna wyraźnie stwierdza, że KAŻDY CZŁOWIEK ma prawo wybrać sobie miejsce do życia i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze".

W swoim liście w sprawie nielegalnej migracji kardynał po prostu postanowił zająć stanowisko ideologiczne oderwane od rzeczywistości, w której w tym momencie żyją Polacy oraz inne narody. Rzeczywistości, w której zjawisko nielegalnej migracji staje się zagrożeniem nie tylko dla ich kultury, lecz także bezpieczeństwa ich rodzin. Jednocześnie ten ideologiczny nakaz przyjmowania migrantów za wszelką cenę, niemający żadnego oparcia w nauczaniu Kościoła, jest przedstawiany przez kardynała i jego zwolenników jako autentyczna Ewangelia. W konsekwencji każdy katolik, który się z tym nie zgadza, zostaje z perspektywy moralnej wyższości opisany jako zdrajca Ewangelii.

„List kardynała to realny gamechanger. Jeśli jego szlakiem ruszą inni biskupi, to może być początek zmiany" – napisał jeden z liberalnych komentatorów. „Gazeta Wyborcza" z kolei opisała list Rysia jako zdystansowanie się od dziedzictwa św. Jana Pawła II, które „uniemożliwiało jakąkolwiek dyskusję o antykoncepcji, kapłaństwie kobiet, udzielaniu komunii świętej rozwiedzionym katolikom, włączaniu do wspólnoty wiernych osób homoseksualnych...".

Wydawało się, że liberalna reforma, którą „Kościół otwarty" od lat postuluje w „zablokowanym" Kościele w Polsce, w końcu doczekała się swojego konkretnego lidera.

Czy kardynał zachwiał się po takich reakcjach? Otóż nie, o czym świadczy jego niedawna homilia podczas Światowych Dni Młodzieży w Rzymie, w czasie mszy w Casa Polonia. Przemawiając przed młodymi Polakami, kardynał zaapelował do nich, by nie dali się „złowić" przez tych, którzy przestrzegają ich przed przyjmowaniem młodych migrantów.

O tym, że Ryś mocno popiera takie stwierdzenia, świadczyła również homilia kard. Konrada Krajewskiego, papieskiego jałmużnika, który następnego dnia w tym samym miejscu również bronił w swojej homilii polityki imigracyjnej otwartych drzwi, którą Watykan propagował za czasów Franciszka, mówiąc o tym, że „Jezus był uchodźcą" oraz że bardzo smucą go antyimigranckie protesty. Słowem, kardynałowie polscy wykorzystali spotkanie z młodymi, aby promować pewną agendę ideologiczną, oczywiście sprzedając ją jako Ewangelię.

KOŚCIELNE FRAKCJE

Czy kard. Ryś świadomie przyjął rolę „lidera", jaką wyznaczyły mu liberalne media?

O. prof. Dariusz Kowalczyk SJ, były dziekan Wydziału Teologicznego na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, uważa, że emocje należy uspokajać.

– W polskim episkopacie rzeczywiście można wyróżnić kilka frakcji, chociaż podziały te są bardziej zniuansowane niż prosty podział na lewicowo-liberalnych i konserwatywnych biskupów – mówi nam jezuita. – W publicystyce znajdujemy zasadniczo wskazanie na te dwa nurty: konserwatywny i liberalny, zwany „otwartym", choć trzeba zawsze pytać, na co otwartym. Kard. Ryś jest od dawna zaliczany do tego drugiego nurtu i nie sądzę, aby jego ostatnie wypowiedzi były jakoś szczególne z tego punktu widzenia. Nie nazwałbym go też liderem tegoż nurtu, choć wydaje się bardziej aktywny od innych jego reprezentantów. W centrum znajdowałaby się tzw. koalicja świętego spokoju, czyli środowisko dążące do utrzymania *status quo* i unikania radykalnych reform czy ostrych wystąpień.

Wyjaśniając dynamikę, która trwa w polskim episkopacie, jezuita zauważył, że jest ona związana ze zmianami w Watykanie. – Stopień owego wpływu w tej i innych sprawach zależy jednak od poszczególnych biskupów. I tak niektórzy z nich z przekonaniem przejmowali retorykę Franciszka, inni natomiast zachowywali pewien dystans do różnych elementów nauczania poprzedniego papieża. W przypadku pontyfikatu Franciszka problem polegał też na tym, że jego wypowiedzi nierzadko były mało precyzyjne. Dlatego jedni biskupi mówili jedno, a inni drugie, i obie strony utrzymywały, że są wierne nauczaniu papieża. Można się zastanawiać, na ile decyzja episkopatu, by zmienić przewodniczącego komisji ds. wykorzystywania seksualnego małoletnich w Kościele katolickim, byłaby możliwa, gdyby papieżem nadal był Franciszek.

Co do wydarzeń na scenie politycznej w Polsce oraz jej wpływu na episkopat, o. Kowalczyk mówi, że w episkopacie „nie brakuje biskupów, którzy zagłosowali na siły tworzące obecny rząd": – Choć sądzę, że znacząca większość głosowała na tzw. partie prawicowe, co wydaje się dość oczywiste. Jednak obecnemu rządowi, a szczególnie ministrze Nowackiej, udało się w pewnej mierze zjednoczyć biskupów. Bo nawet jak biskup z jakichś powodów nie lubi PiS, to sposób działania pani Nowackiej, np. w sprawie lekcji religii, jest nie do zaakceptowania.

W każdym razie jeden fakt pozostaje niezaprzeczalny. Kard. Grzegorz Ryś – ten sam, który kiedyś ubolewał nad polaryzacją społeczną w Polsce, teraz zachowuje się tak, jakby nie chciał tej polaryzacji łagodzić, a wręcz ją pogłębiać. Staje po przeciwnej stronie tych milionów wiernych, którzy po prostu pragną normalnego i spokojnego życia dla siebie i swoich rodzin.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Politykę historyczną należy budować na prawdzie

Z ks. kanonikiem *dr. Grzegorzem Świstem*, duszpasterzem prawników Archidiecezji Gdańskiej, członkiem Kolegium Konsultorów, członkiem Rady Kapłańskiej nominowanym przez metropolitę gdańskiego, kapłanem parafii św. Brygidy w Gdańsku, rozmawia Artur Ceyrowski

Czcigodny księże profesorze, po działaniach podejmowanych przez polityków, także na szczeblu samorządowym, widać, iż historia staje się dziś przestrzenią walki. O co toczy się ten bój?

Grzegorz Świst: Odpowiem w ten sposób. 11 lipca, w trakcie kazania, wspominając o rzezi wołyńskiej, mówiłem wiernym, że jeżeli mamy układać relacje między Polską a Ukrainą, to tylko na prawdzie. Minęły 82 lata od tragicznych wydarzeń na Wołyniu. Dziś Polacy domagają się przede wszystkim godnego pochówku ofiar i pamięci. Nie chcemy niczego innego. Nie mamy żadnych innych planów. Miarą naszego stosunku do współczesnej Ukrainy jest to, co trzy lata temu zrobiliśmy jako polskie społeczeństwo. Pokazaliśmy całemu światu, jak należy zdać egzamin z człowieczeństwa, z chrześcijaństwa. To powinien być fundament budowy dobrych relacji między naszymi narodami, a te trzeba budować na prawdzie. To o nią chodzi w tej walce.

Fot. WSSE Gdańsk

Słyszę głosy czytających ten wywiad relatywistów, którzy powiedzą, iż każdy ma swoją prawdę. Jak wskazać tę właściwą?

Żeby budować relację na prawdzie, trzeba znać historię własnego narodu. W roku, w którym wspominamy koronację Bolesława Chrobrego, mówimy o tysiącletniej historii naszego państwa. Wydarzenie bez precedensu. Polska weszła do Europy poprzez przyjęcie chrztu i w tym momencie stała się jednym z ważniejszych narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Mamy w naszej historii mnóstwo wydarzeń, które mogą stanowić powód do dumy. Choćby bitwa pod Grunwaldem, wiktoria wiedeńska czy Bitwa Warszawska, zwana zwyczajowo Cudem nad Wisłą. To nie tylko zwycięstwa militarne, lecz także boje o wartości. Stawaliśmy przecież do walki w obronie wartości chrześcijańskich czy spaw narodowych. Dziś, kiedy przeglądamy media głównego nurtu, łatwiej znaleźć w nich próby wmówienia naszym rodakom, że historia jest przestrzenią

eprasa.pl 40dc1e51fc

opowieści o wstydzie, a nie o rzeczach chwalebnych.

W tym kontekście nie sposób uciec tu od pytania o głośną ostatnio wystawę „Nasi chłopcy" i kontrowersje w Muzeum II Wojny Światowej. Jak ksiądz ocenia zmiany, które miały miejsce w wystawie głównej?

O samej wystawie nie chcę się wypowiadać, bo, mówiąc uczciwie, jeszcze jej nie widziałem. Chcę ją zobaczyć na spokojnie i wówczas wyrażę swoją opinię. Muzeum II Wojny Światowej ma ambicję pokazywać wojnę w kontekście globalnym i jednocześnie marginalizuje rolę polskich bohaterów. Ludzi takich, jak rtm. Pilecki, św. Maksymilian Kolbe czy błogosławiona rodzina Ulmów, którzy zostali usunięci z tej ekspozycji. Ich pominięcie w naszej opowieści o historii uważam za wielki skandal. To muzeum musi przedstawiać nasze dzieje w takiej rzeczywistości, w jakiej się ona odbywała, prezentując zarówno ogromną tragedię, jaka dotknęła Polskę, jak i wkład naszego kraju i Polaków w czasie II wojny światowej. Polskie ofiary, polskie sprawy i polscy bohaterowie – to musi być istota pracy tego muzeum.

Wspomniał ksiądz o błogosławionej rodzinie Ulmów. Zostawiając sprawy dotyczące polityki historycznej, ciekawi mnie, na ile w duszpasterskiej pracy akademickiej widać obecność tego świadectwa w świadomości młodych ludzi.

Przypomnijmy, że proces beatyfikacyjny rodziny Ulmów trwał ponad 20 lat. Był to długi proces przygotowujący Kościół do wyniesienia na ołtarze polskiej rodziny, która przyszła z chrześcijańską pomocą swoim sąsiadom, którzy byli zagrożeni. Trzeba przypomnieć jeden bardzo ważny element – w czasie II wojny światowej Polska była krajem, w którym za pomoc Żydom groziła kara śmierci. Dlatego Ulmowie, narażając nie tylko siebie, swoją własną rodzinę, przyszli z pomocą z chrześcijańskiego odruchu serca. Okazali chrześcijańską miłość do swoich najbliższych sąsiadów. Za tą pomoc zostali zamordowani. To świadectwo miłości i każdy, kto o nim słyszy, staje wobec tej prawdy. Musi się z nią zmierzyć.

Jak przyszli prawnicy, dla których ksiądz prowadził wykłady, reagują na takie świadectwo i słowa, że muszą działać w zgodzie z przykazaniami oraz własnym sumieniem?

Jeżeli mówimy o zawodzie np. sędziego, który składa przysięgę na konstytucję i polskie przepisy, to mówimy o kimś, kto wydaje wyroki i orzeczenia zgodnie z prawem i właśnie zgodnie z swoim sumieniem. Kwestia sumienia jest kluczowa, aby zrozumieć rolę, jaką odgrywa sędzia, prokurator, ten, który podejmuje się pełnienia roli zawodu prawniczego. Wykładając na Uniwersytecie Gdańskim, przez wiele lat miałem okazję spotykać się ze studentami i profesorami Wydziału Prawa i Administracji. Przygotowałem kiedyś debatę dla środowiska prawniczego, która była zatytułowana: „Sumienie prawnika?". Właśnie tak, ze znakiem zapytania. On był kluczowy, żeby zrozumieć, jaką rolę w wykonywaniu zawodów prawniczych odgrywa sumienie. Głos, który mówi o tym, co jest dobre, a co złe. Odróżnianie dobra od zła jest niezbędną umiejętnością w świecie, w którym żyjemy.

> Rozróżnienie pomiędzy dobrem a złem wynika przede wszystkim z Dekalogu, a więc znajomości prawa bożego

Młodzi studenci, nie tylko prawa, to potrafią?

To bardzo ważna kwestia moralna. Rozróżnienie pomiędzy dobrem a złem wynika przede wszystkim z Dekalogu, a więc znajomości prawa bożego. Znając Dekalog, który Bóg dał swojemu narodowi, mówimy o czymś, co jest kamieniem milowym w naszej cywilizacji europejskiej. Przechodząc na grunt polski, możemy powiedzieć, że mamy konstytucję, która jest fundamentem strzegącym wszystkich praw i obowiązków obywateli Rzeczypospolitej. To są źródła prawa i wartości, które stanowią podstawę naszego społeczeństwa i cywilizacji. Poprzez Dekalog Kościół przede wszystkim pokazuje zasady fundamentalne. Uczy, jak żyć według prawa bożego. Żeby żyć zgodnie z swoim sumieniem, trzeba przestrzegać Dekalogu. Dzisiaj często bywa tak, że ludzie zaczynają interpretować prawo boże na własny sposób, często wybierając to, co dogodne, łatwe. Natomiast Kościół zawsze będzie przypominał o jasnych zasadach – że będzie stawał w obronie życia, rodziny, małżeństwa, cywilizacji, miłości, o czym wiele razy mówił Jan Paweł II. On, który miał wizję Europy, która oddychała zarówno wschodnim i zachodnim płucem, pokazywał, jak skonstruowana jest cała europejska cywilizacja. Jest ona zbudowana na cywilizacji chrześcijańskiej, na cywilizacji prawa rzymskiego, na judeochrześcijaństwie. Tego uczymy młodych ludzi i o tym przypominamy. Także tu, w Gdańsku.

To znaczy, że jest jeszcze nadzieja?

Oczywiście. Od pół roku jestem prorektorem w Wyższej Szkole Społeczno-Ekonomicznej w Gdańsku. Mamy na tej uczelni siedem kierunków studiów pierwszego i drugiego stopnia, zarówno na administracji, jak i pedagogice, pedagogice wczesnoszkolnej, psychologii, ratownictwie oraz zarządzaniu. To są kierunki dla osób, które z różnych powodów przerwały studia i ich nie dokończyły. Ta uczelnia znajduje się w centrum Gdańska, w sercu miasta i daje możliwość dokończenia studiów akademickich na tych siedmiu kierunkach. Po studentach tej i innych gdańskich uczelni widzę, że nadzieją jest młody człowiek. Ten, który stawia pytania i szuka odpowiedzi.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Dobra prezydentura z kiepską końcówką

Andrzej Duda potrafił zbudować i przez dekadę utrzymać osobistą popularność w społeczeństwie, co jest socjologicznym ewenementem

JAN ROKITA

Kiedy po raz pierwszy wygrywał wybory prezydenckie w 2015 r., jego sukces był traktowany przez wszystkich jako sygnał nadchodzących poważnych zmian. W polskiej polityce było to oczywiste, ale dotyczyło także stosunków wewnątrz Unii Europejskiej. Włoski premier Matteo Renzi mówił wtedy, iż „wiatry, które powiały z Polski, wskazują jasno, iż Europa musi się zmienić". Renzi, choć stał na czele lewicowego rządu włoskiego, był usatysfakcjonowany sukcesem wyborczym Andrzeja Dudy. Zobaczył w nim bowiem potencjalnego sojusznika południowej, śródziemnomorskiej Europy w staraniach o przełamanie forsowanej naonczas przez Berlin pokryzysowej polityki oszczędności fiskalnych.

Ale Renzi był wyjątkiem, gdy idzie o sposób potraktowania zmiany prezydenckiej w Polsce. Dominujący w Europie ton był całkiem inny, a lepiej od włoskiego premiera oddawała go lewicowa gazeta „La Reppublica", która relacjonując wybory w Polsce, w nagłówkach krzyczała o „horrendalnym szoku dla Europy" oraz „makabrycznych obietnicach Budapesztu w Warszawie". Oto rozpoczynała się w Europie trwająca do dziś era panicznego strachu i coraz bardziej brutalnej walki z rosnącą w siłę nową prawicą, zaś prezydentura Dudy była niczym wystrzał armatni obwieszczający jej nadejście. Z perspektywy czasu trudno nie przypuścić, iż sam Andrzej Duda nie zdawał sobie wówczas sprawy z rozległości symbolicznego znaczenia własnego sukcesu.

SPOŁECZNY KAPITAŁ

W Polsce tamto zwycięstwo Andrzeja Dudy zwiastowało – jak wkrótce miało się okazać – nie tylko rychłe dojście prawicy do władzy, lecz także przebudowę stylu i treści polityki państwowej. Ówczesna kampania wyborcza młodego krakowskiego europosła była skoncentrowana na obietnicach dotyczących nowej polityki przemysłowej i socjalnej państwa: ratowaniu bankrutujących kopalń i stoczni, obniżce wieku emerytalnego, sławnym świadczeniu pronatalistycznym, które zyskało potem nazwę 500+. Patrzyłem wówczas na tę falę obietnic z pewną nieufnością. Raz dlatego, że wszystkie te zobowiązania wykraczały poza zasięg możliwości władzy prezydenckiej, a dwa – bo ich kumulacja wyglądała ryzykownie dla ekonomicznej przyszłości kraju. I zapewne wszystkie te obietnice wzięłyby w łeb, gdyby nie fakt, iż sukces wyborczy Dudy wywołał silną falę, której efektem miał się stać upadek gabinetu Ewy Kopacz oraz początek długiej epoki rządów PiS. Bez tamtego zwycięstwa Dudy w Polsce nie byłoby zapewne ośmiu lat rządów prawicy.

Tamten pierwszy wybór Dudy zbiegł się w czasie ze stopniową, lecz o globalnym zasięgu przemianą paradygmatu ekonomicznego, zapoczątkowaną po kryzysie finansowym z początku XXI w., a wzmocnioną przez pandemię, która wkrótce miała wybuchnąć niemal na całym świecie. Nastawał właśnie – bynajmniej nie tylko w Polsce – czas

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 40dc1e51fc

ogromnych transferów finansowych, a zapowiedziana przez Dudę nowa krajowa polityka socjalna, wprowadzana w życie przed dwa kolejne rządy PiS, przestała dziwić kogokolwiek, nawet liberalnych ekonomistów.

To właśnie tym przemianom Duda zawdzięcza to, iż po upływie 10 lat prezydentury mógł z podniesioną głową mówić o wypełnionych zobowiązaniach z 2015 r. A w konsekwencji zbudować i przez dekadę utrzymać osobistą popularność w społeczeństwie, co jest socjologicznym ewenementem, porównywalnym z podobnie długo utrzymującą się swego czasu popularnością prezydenta Kwaśniewskiego.

Duda zachował ów społeczny kapitał, tak potrzebny głowie państwa pochodzącej z powszechnych wyborów, mimo wielkiego kryzysu zarazy i błędnej strategii nadgorliwych restrykcji państwa tamtego czasu. A nawet wtedy, gdy w 2023 r. jego obóz przegrał wybory parlamentarne, a on sam znalazł się w dyskomfortowej sytuacji prezydenta, którego ekipa Tuska nienawidzi, zwalcza i, co najważniejsze, na różne sposoby próbuje ograniczyć jego prerogatywy konstytucyjne. Tymczasem sam prezydent nie był przygotowany na tego rodzaju rozwój zdarzeń, co sprawiło, że zaczął spektakularnie przegrywać konflikty, jak choćby sławny spór o swobodę stosowania przezeń konstytucyjnego prawa łaski. Duda uległ tutaj presji rządu wspieranego przez prawnicze lobby, po czym na dodatek publicznie uznał – bez potrzeby – narzucone mu ograniczenie uprawnień konstytucyjnych.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Duda rozpoczynał prezydenturę od otwarcie formułowanych ambicji współkształtowania polskiej polityki zagranicznej. W 2015 r., u progu swego pierwszego zwycięstwa, mówił w Instytucie Wolności, że „prezydent może być kreatorem polityki zagranicznej, przy uwzględnieniu wszystkich konstytucyjnych uwarunkowań". I obok nowej polityki socjalnej, której stał się zwiastunem, także na tym kluczowym polu udało mu się odegrać niebłahą rolę. Dudzie znów sprzyjała tutaj historia, gdyż międzynarodowe znaczenie Polski akurat wzrosło po pierwszej rosyjskiej agresji na Donbas i Krym w 2014 r., a rok po objęciu przezeń urzędu głowy państwa prezydentem USA został Donald Trump. W nowych, wojennych okolicznościach pierwszym wymiernym sukcesem Dudy stał się warszawski szczyt NATO z 2016 r., na którym nie zostały wprawdzie jeszcze spełnione żądania polskiego prezydenta co do stałych baz amerykańskich w Polsce, ale zaczęło się powolne dozbrajanie tzw. flanki wschodniej.

Gdy jednak wkrótce Obamę zastąpił Trump, cele postawione przez Dudę zaczęły przyoblekać się w rzeczywistość, a sam prezydent miękko wszedł w korzystną dla interesów Polski rolę jednego z „ulubieńców" ekscentrycznego amerykańskiego przywódcy. Warszawska wizyta Trumpa i jego wielka mowa wygłoszona na placu Krasińskich, będąca unikalną apoteozą polskiej roli w najnowszych dziejach świata, była symbolicznym triumfem Dudy i prowadzonej przezeń proamerykańskiej polityki. Tym bardziej że Trump dokonał realnego przełomu, gdy idzie o militarną obecność Amerykanów w Polsce. A kiedy powrócił do władzy, odnowione dobre relacje obu polityków umożliwiły zachowanie w Waszyngtonie przekonania o Polsce jako wzorcowym europejskim sojuszniku Ameryki. I to mimo wyraźnie pogarszającego się dla naszego kraju kontekstu geopolitycznego, jak również utraty przez Polskę wszelkiego znaczenia w tak istotnym dla Trumpa procesie przywracania pokoju na wschodzie Europy.

> Pierwszym wymiernym sukcesem prezydenta Dudy stał się warszawski szczyt NATO z 2016 r., na którym zaczęło się powolne dozbrajanie tzw. flanki wschodniej

Ale największe chwile tej prezydentury miały nadejść wraz z początkiem drugiej moskiewskiej inwazji na Ukrainę w 2022 r. Pozwolę sobie tutaj na osobiste wyznanie: tylko dwa razy w życiu dogłębnie poruszyły mnie mowy polskich polityków. Pierwszy przypadek to triumfalny występ Lecha Wałęsy w Kongresie USA w 1989 r., zaczynający się od sławnej frazy: „We, the Nation". Drugi to trzeciomajowa mowa Dudy na placu Zamkowym w Warszawie w 2022 r., w której projektował „ustanowienie wielkiej Wspólnoty Narodów dawnej Rzeczypospolitej", a przełamanie zadawnionej wrogości Polaków i Ukraińców oraz serdeczne otwarcie polskich granic i serc dla ukraińskich uchodźców nazwał „największym wydarzeniem w naszych ostatnich dziejach sprawionym przez cały naród". Owa wspólnota, o której mówił wtedy Duda, wedle tamtego projektu miała nabierać cech realnego sojuszu militarnego z Ukrainą, który zapewniłby możność obrony (jak mówił prezydent) „przed każdym najeźdźcą, nawet wielkim mocarstwem". W polityce Dudy tamtego czasu można było wyczuć intencję przekucia fatalnych zdarzeń na wschodzie Europy w wymierną przyszłościową korzyść, jaką byłaby dla Polski przebudowa układu sił w Europie Środkowo-Wschodniej.

Dziś już wiemy, że w ciągu następnych trzech lat szanse na taki przełom radykalnie się zmniejszyły, m.in. dzięki rosnącemu w polskiej polityce trendowi nacjonalistycznemu. A jeśli dziś ze szczególnym smutkiem patrzę na jakiś aspekt prezydentury Dudy, to właśnie na jego (rzec by można) geopolityczną niekonsekwencję, której symbolem pozostanie – co tu dużo mówić – głupi, szkodliwy dla Polski i z gruntu nieprzyzwoity koncept rzucony u samego końca prezydentury, abyśmy pod pretekstem remontu zamknęli dla Ukrainy lotnisko w Rzeszowie, a Amerykanie „niechby sobie zrzucali broń na spadochronach". Prawdę mówiąc, trudno pojąć tempo, w jakim mogliśmy obserwować – na

eprasa.pl 40dc1e51fc

przykładzie prezydenta – rozmienianie na drobne krótkiej chwili naszej narodowej wielkości i nadzwyczajnego wzrostu międzynarodowego znaczenia Polski w 2022 r.

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Niewątpliwie jeden z najważniejszych momentów prezydentury Dudy to jego zderzenie się z piekielnie zawikłaną kwestią reform wymiaru sprawiedliwości. Niestety niemal od samego początku urzędowania prezydent znalazł się w ostrym konflikcie z ministrem Zbigniewem Ziobrą, a na ile sięga moja wiedza o „internum" polityki, stan ten został zawiniony przez obie strony. Kiedy zaś latem 2017 r. Platforma wraz ze zbuntowanymi przeciw rządowi sędziami zorganizowała kto wie, czy nie największe antyrządowe manifestacje z żądaniem cofnięcia reform sądownictwa, 24 sierpnia prezydent założył podwójne weto, doraźnie uspokajając zrewoltowaną ulicę.

Sam, będąc zdecydowanym zwolennikiem reform likwidujących korporacyjny model sądownictwa, z przekonaniem broniłem wtedy weta Dudy, wychodząc z założenia, iż uspokajająca interwencja w sytuacji rozbuchanych ulicznych namiętności jest istotą ustrojowej misji głowy państwa. Dziś, z wiedzą o tym wszystkim, co w ciągu następnych ośmiu lat zdarzyło się wokół reform sądowych, uważam, że lepsze dla kraju byłoby przetrwanie tamtego ulicznego kryzysu i konsekwentne przeprowadzenie ustaw wymieniających skład Sądu Najwyższego, tak jak miało to miejsce w 1989 r. Ale mimo wszystko nadal sądzę, że z ówczesną wiedzą o stanie spraw (tzn. tą z 2017 r.) prezydent działał rozsądnie, z powagą wypełniając tę kluczową funkcję głowy państwa, jaką jest dbałość o zachowanie równowagi w warunkach ostrego kryzysu politycznego.

STYL PREZYDENTURY

Tu zresztą dotykamy kwestii zasadniczej, związanej z misją polskiej prezydentury. Styl, w jakim Duda pełnił swój urząd, stał się przedmiotem niezliczonych dowcipów i kpin, począwszy od poczciwego serialu „Ucho prezesa", w którym kabareciarz Paweł Koślik odgrywa rolę przygłupiego Adriana, aż po substandardowy film propagandowy dziennikarki Wysockiej-Schnepf zrobiony w końcówce prezydentury na potrzeby telewizji państwowej. Podstawą zarzutów, na których bazowały wszystkie próby dezawuowania i ośmieszania Dudy, zawsze były dwie przesłanki: pierwsza – że jest bezmyślny i mało rozgarnięty, druga – że bezrefleksyjnie słucha Kaczyńskiego. Nawiasem mówiąc, to ciekawy przypadek popkulturowej „gęby", jaką przypięto politykowi na przekór rzeczywistości. Na potwierdzenie bezmyślności Dudy zawsze przywoływano te same prezydenckie gagi w rodzaju śmiesznego rapowania czy głupawych pogawędek w sieci. A to przecież absurd, aby z tego rodzaju gagów wyciągać jakiekolwiek uogólniające wnioski.

Politycznie istotniejszy jest jednak paradoks „gęby" posłuszeństwa wobec Kaczyńskiego. Tu bowiem zarówno liderowi PiS, jak i byłemu już prezydentowi, realnie stawiać by można tylko odwrotny zarzut. Można było uniknąć wielu absurdalnych i szkodliwych dla kraju przedsięwzięć PiS, gdyby na bieżąco były prowadzone konsultacje pomiędzy Dudą i Kaczyńskim. Tak było choćby z nieszczęsnymi projektami ustawowego zakazania Żydom debatowania na temat historii polsko-żydowskiej pod rygorami karnymi albo tzw. lex TVN, czyli projektem, przeciw któremu interweniował Waszyngton w obronie amerykańskiego koncernu. Niestety nie tylko współpracy, lecz także stałej wymiany poglądów pomiędzy oboma politykami po prostu nie było. A o stosunku lidera PiS do prezydenta może najlepiej świadczy bezstronna uwaga osoby tej klasy, co Zofia Romaszewska, która z nutą przykrości mówiła: „PiS nie szanowało urzędu prezydenta". Zresztą lekceważenie głowie państwa okazywali nawet ministrowie, choćby tacy jak Macierewicz czy Waszczykowski, czerpiąc zapewne inspirację z postawy swego partyjnego przywódcy.

Jednak niemal przez całą dekadę urzędowania Duda zachował charakterystyczny dlań powściągliwy styl prezydentury. Z umiarem reagował na oznaki lekceważenia płynące z jego własnego obozu politycznego, a także na wrogie zaczepki i wybryki ze strony politycznych przeciwników. Dość przypomnieć stonowaną reakcję na wybryk Donalda Tuska z 2021 r., gdy premier, przemawiając na antyprezydenckim wiecu pod Pałacem Namiestnikowskim, perfidnie posłużył się wierszem Miłosza, by zachęcić Dudę do... popełnienia samobójstwa przez powieszenie się. Mimo nieustannego konfliktu ambicjonalnego z Kaczyńskim, jak i niemal otwartej wrogości niektórych pisowskich ministrów, Duda – inaczej niźli wszyscy jego poprzednicy na urzędzie – nie sypał dwóm kolejnym rządom piasku w tryby, zachowując w tej mierze umiar nawet wobec powołanego w 2024 r. trzeciego gabinetu Tuska – przynajmniej tak długo, jak ten nie wszczął ataków na prezydenturę i nie podjął prób przełamania prezydenckich prerogatyw.

Nie wiedzieć czemu rzeczy uległy niejakiej odmianie dopiero w samej końcówce urzędowania, gdy nieoczekiwanie okazało się, że prezydent z nieznaną wcześniej zawziętością zaczyna zaprzeczać długofalowym celom własnej polityki. Zapewne najbardziej uderzającym przykładem stały się wspomniane już wcześniej deklaracje dotyczące Ukrainy i losów rzeszowskiego lotniska. Ale także w innych, wewnętrznych materiach Duda zaczął nagle składać oświadczenia mocno odbiegające od wszystkiego, co mówił i robił w ciągu 10 lat. Jednego razu groził relegacją z zawodu i pozbawieniem emerytur zbuntowanym sędziom, innym razem postulował wieszanie rzekomo licznych w dzisiejszej Polsce zdrajców (?), tak jakby inspirował się literacko świetną, ale politycznie szaloną książką Jarosława Marka Rymkiewicza. Wszystko to wyglądało tym mniej poważnie, że prezydent zaczął głosić tego rodzaju postulaty kilka tygodni przed odejściem z urzędu, gdy było zrozumiałe, iż jego słowa praktycznie nie mają już ani mocy, ani politycznego znaczenia. Szkoda, że ta końcówka pozostawiła wrażenie jakiegoś dziwnego defektu na 10 latach dobrej i odpowiedzialnie sprawowanej prezydentury.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Niemcy mocarstwem jądrowym?

MAREK BUDZISZ

Nie można wykluczyć, że Niemcy staną się państwem posiadającym własną broń nuklearną. Oznaczałoby to tektoniczne zmiany w europejskiej i światowej architekturze bezpieczeństwa

Dziennik „Handelsblatt", największy niemiecki periodyk skierowany do świata biznesu, opublikował w minionym tygodniu artykuł zatytułowany retorycznie „Czy Niemcy potrzebują własnej broni jądrowej?". Ta publikacja to tylko jeden z głosów w ożywionej dyskusji w mediach naszego zachodniego sąsiada. W coraz bardziej destabilizującym się świecie i w obliczu niepewności w kwestii wiarygodności amerykańskich gwarancji, w tym nuklearnych, niemieccy politycy i eksperci zaczynają się zastanawiać, czy rezygnacja z planów budowy własnego potencjału jądrowego za czasów kanclerza Adenauera była najlepszym rozwiązaniem. Teoretycznie tę decyzję można odwrócić. Co prawda Niemcy są stroną wielu międzynarodowych traktatów, w których wyrzekli się dążenia do budowy własnej bomby atomowej, ale, jak zauważają eksperci, każdy z nich zawiera klauzulę umożliwiającą wyjście z porozumienia państwu, które trzy miesiące wcześniej złoży stosowną deklarację.

Fabian Hoffmann, niemiecki ekspert ds. broni rakietowej i jądrowej pracujący na uniwersytecie w Oslo, jest zdania, że Niemcy w swej polityce atomowej powinny wzorować się na Japonii i Korei Południowej. Państwa te realizują strategię tzw. latencji

Kanclerz Niemiec Friedrich Merz

Fot. Heide Pinkall/Shutterstock.com

eprasa.pl 40dc1e51fc

nuklearnej. Polega ona na tym, że nie mając formalnie broni jądrowej ani nie realizując rządowych programów jej budowy, posiada się wszystkie składniki pozwalające szybko skonstruować ładunki jądrowe, jeśli sytuacja międzynarodowa zacznie się gwałtownie zmieniać na gorsze.

ZBUDOWAĆ BOMBĘ

W przypadku Japonii uważa się, że Tokio potrzebowałoby kilku miesięcy, ale mniej niż pół roku, aby wyprodukować nawet 20 głowic nuklearnych. Jak pisał Joachim Krause na łamach „IQ Internationale Politik", Niemcy też mają wszystkie niezbędne elementy, aby zacząć realizować tego rodzaju plan. Najtrudniejszą opcją byłaby budowa ładunku bazująca na wzbogaconym plutonie, bo niemieckie zdolności – co jest następstwem decyzji o rezygnacji z energetyki jądrowej – są mniejsze niż kilka lat temu. Ale, jak zauważył Krause, dysponują oni zasobem 30 t plutonu, który jest przechowywany we Francji i Wielkiej Brytanii. Formalnie jest on własnością EURATOM, czyli Europejskiej Agencji Energii Atomowej, istnieje jednak możliwość odzyskania tego depozytu przez niemiecki rząd i zmiany miejsca jego składowania, co umożliwiłoby uruchomienie własnego programu jądrowego.

W Gronau w Nadrenii Północnej-Westfalii znajduje się jeden z największych na świecie zakładów wzbogacania uranu i to „opcja uranowa", a nie budowa bomby z plutonu jest, zdaniem niemieckich ekspertów, najkrótszą drogą do celu, jeśli oczywiście w Berlinie zapadną stosowne decyzje. Przeszkodą jest fakt, że firma stanowi własność trzech rządów. Prócz niemieckiego kontrolują ją również władze Holandii i Wielkiej Brytanii, co oznacza, iż najpierw musiałaby zostać upaństwowiona. Ta opcja nie jest wykluczona. Kolejna kwestia: firma zobowiązała się do wzbogacania uranu wyłącznie na potrzeby cywilne, ale to też – jak podkreślają niemieccy eksperci – nie zamyka możliwości inicjowania programu wojskowego.

Budując własną bombę atomową, należałoby w pierwszym rzędzie zwiększyć poziom wzbogacania uranu z obecnych kilku procent do 80–90, bo wówczas mowa o materiale klasy wojskowej. Ale i tu Niemcy mają pewne możliwości. Niedaleko Kolonii, w Jülich, siedzibę ma jeden z największych na świecie producentów wirówek do wzbogacania uranu. Odpowiednie zdolności można by zbudować, zestawiając linię składającą się z ponad 100 połączonych ze sobą wirówek. Niemcy mają też pewien zasób wzbogaconego uranu znajdujący się w reaktorze badawczym Uniwersytetu Monachijskiego w pobliżu Gahring w Bawarii. W opinii Hoffmanna zgromadzona tam ilość pozwoliłaby na zbudowanie „ok. 20 bomb atomowych". Mielibyśmy zatem do czynienia z „biedaodstraszaniem", jak opisuje takie zdolności ekspert, ale to i tak lepiej, niż ich brak.

Osobną kwestią jest niedostępność kompleksowej dokumentacji technicznej umożliwiającej budowę bomby atomowej. Ta, która była w Niemczech jeszcze w latach 60., uległa rozproszeniu. Jej odtworzenie nie jest wielkim problemem, bo technologia jest znana. W opinii Ulricha Kühna z Hamburskiego Instytutu Badań nad Pokojem i Polityką Bezpieczeństwa niemieccy inżynierowie pracujący w firmie TNT z pewnością poradziliby sobie nawet z budową wybuchowego jądra ładunku atomowego, którego detonacja uruchamia reakcję łańcuchową plutonu lub uranu. Jeśli chodzi o inne kwestie dokumentacyjne i projektowe, to zdaniem Wolfganga Lieberta, fizyka i konstruktora, w Niemczech jest tylu specjalistów, że „zajęłoby im tylko chwilę" opracowanie wszystkich niezbędnych dokumentów.

Idźmy dalej: systemy przenoszenia. Niemcy podjęli decyzję o zakupie w Stanach Zjednoczonych F-35 zdolnych do przenoszenia rakiet z głowicami jądrowymi, ale ich użycie w tym celu musiałoby być poprzedzone zgodą Amerykanów. Można też – o czym piszą niemieccy specjaliści – uzbroić rakiety Taurus i uzyskać w ten sposób samodzielne możliwości, a także zbudować własne okręty podwodne zdolne do przenoszenia broni jądrowej. Thyssen-Krupp Marine Systems z Kilonii jest wiodącym producentem takich jednostek. Co prawda sprzedaje wyłącznie okręty do zastosowań konwencjonalnych, ale nie zamyka to opcji nuklearnej. Eksperci zwracają uwagę, że jednostki klasy Delfin produkowane przez TKMS są dostarczane również do Izraela, gdzie wyposaża się je w pociski manewrujące uzbrojone – jak się uważa – w głowice jądrowe.

Taka decyzja – jak każda inna wskazująca na wybór „drogi atomowej" – uruchamiałaby procesy polityczne, których konsekwencje trudno dziś przewidzieć. Claudia Major, niemiecka ekspert ds. bezpieczeństwa, powiedziała w wywiadzie dla „Handelsblatt", że rozpoczęcie przez Berlin programu budowy broni jądrowej spowodowałoby, że „będziemy mniej bezpieczni niż obecnie", a koszty takiej polityki trzeba liczyć w setkach miliardów euro. Jej zdaniem, aby stać się posiadaczem broni jądrowej, Berlin musiałby wypowiedzieć międzynarodowy traktat o jej nierozprzestrzenianiu. Do tej pory uczynił to tylko jeden kraj na świecie – Korea Północna.

Przyjęcie takiej polityki spowodowałoby, że Niemcy stałyby się państwem izolowanym, pariasem. Jest to oczywiste choćby w związku z tym, że w Stanach Zjednoczonych nadal obowiązuje przyjęta w 1961 r. tzw. poprawka Symingtona, zakazująca jakiegokolwiek transferu technologii, kapitału i w praktyce blokująca współpracę gospodarczą z państwem, które weszłoby na drogę pozyskania własnych zdolności nuklearnych bez zgody Waszyngtonu. Biuro Analiz Kongresu wymienia w specjalnym opracowaniu niemal 50 międzynarodowych traktatów i konwencji, w których stroną są Stany Zjednoczone i które mają zagwarantować nierozprzestrzenianie broni jądrowej.

„PRZYJAZNA PROLIFERACJA"

Nie ma zatem mowy, aby Niemcy w niepostrzeżony sposób i wbrew stanowisku sojuszników uruchomiły jakikolwiek wojskowy program jądrowy. Niektórzy eksperci w rodzaju Thorstena Bennera proponują więc „przyjazną proliferację", a więc uzyskanie statusu państwa z wojskowym potencjałem nuklearnym za zgodą Waszyngtonu. Jego zdaniem jest to o wiele lepsza opcja niż stawianie na tzw. europejskie zdolności, którymi dysponują dziś Paryż i Londyn, bo te

eprasa.pl 40dc1e51fc

z punktu widzenia Niemiec nie są wystarczające. Zdaniem Bennera Wielka Brytania „jest zbyt uzależniona" od Stanów Zjednoczonych, aby w praktyce można byłoby poważnie brać opcję „europeizacji" jej zdolności. W przypadku Paryża problemów jest nie mniej, choć są one innej natury. Francuzi mają nie tylko zbyt mało głowic, lecz także, ze względu na swą wielkość, nie nadają się one do realizacji polityki odstraszania, która wymaga zdolności na niższych szczeblach „drabiny eskalacji". Chodzi o odpowiedź na atak przeciwnika głowicami o słabszej mocy, która nie może prowadzić do odwołania się do całego potencjału i wybuchu globalnego konfliktu jądrowego.

W opinii niemieckiego eksperta ewentualne przymierze nuklearne z Francją jest obarczone jeszcze jednym ryzykiem. W 2027 r., po wyborach prezydenckich, do Pałacu Elizejskiego może się wprowadzić przedstawiciel formacji skrajnej. Bez znaczenia, czy z prawicy, czy z lewicy, bo na obu tych skrzydłach francuskiej polityki akcentuje się silny sprzeciw wobec rozciągnięcia parasola jądrowego na Niemcy.

O możliwości udzielenia amerykańskiej zgody na dołączenie do grona państw jądrowych – mając na myśli przede wszystkim Japonię – pisał Elbridge Colby, dziś osoba numer trzy w Pentagonie, autor opracowywanej amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. Jest on zwolennikiem „poluzowania" w pewnych okolicznościach amerykańskiego sprzeciwu wobec polityki państw sojuszniczych, które mogą wejść na drogę do wzmocnienia swych zdolności nuklearnych. Zgoda Waszyngtonu byłaby zarówno reakcją na pojawienie się nowych zagrożeń, jak i związaną z tym koniecznością koncentracji na najbardziej palących punktach zapalnych.

BŁYSKAWICZNIE CZY PO CICHU?

Jeśli Waszyngton będzie zwracał większą uwagę na rywalizację z Chinami, to porządku i stabilności w Europie będą musieli pilnować lokalni sprzymierzeńcy. Oczywistą konsekwencją jest potrzeba rozbudowy sojuszniczych sił konwencjonalnych, ale wymusza to też zmiany w strategii odstraszania jądrowego. Przede wszystkim dlatego, że w praktyce amerykańska strategia jest związana z „miksem" zdolności konwencjonalnych i nuklearnych. Jeśli Bundeswehra – zgodnie z zapowiedziami Merza – stanie się najsilniejszą armią Europy i w planowy sposób przejmie część dotychczasowych obowiązków od Amerykanów, to naturalną konsekwencją może też być zmiana postawy Waszyngtonu w kontekście broni jądrowej.

Jeśli Waszyngton będzie zwracał większą uwagę na rywalizację z Chinami, to porządku i stabilności w Europie będą musieli pilnować lokalni sprzymierzeńcy

Maximilian Terhalle, znany niemiecki politolog, zaproponował w ubiegłym roku, aby Berlin kupił nawet 1 tys. głowic jądrowych od Stanów Zjednoczonych. Brzmi to niewiarygodnie, ale byłaby to właśnie opisywana przez Bennera opcja „przyjaznej proliferacji". Co więcej, mając do czynienia z transakcyjnie nastawioną administracją Trumpa, tego rodzaju deal nie jest aż tak nieprawdopodobny jak w przeszłości. Propozycja Terhallego ma jeszcze jedną dodatkową zaletę – można ją zrealizować relatywnie sprawnie, bo pozyskanie zdezaktywowanych głowic amerykańskich, które są dziś w magazynach, nie wymaga bardzo długich przygotowań.

Zgoda Amerykanów jest oczywiście konieczna, ale już Rosjanie, którzy mogliby wrogo zareagować na rozpoczęcie przez Niemcy własnego programu jądrowego, mogliby zostać postawieni wobec faktu dokonanego. Z perspektywy Berlina ma to istotne znaczenie, bo w traktacie zjednoczeniowym Niemcy zadeklarowały definitywną rezygnację z broni jądrowej. Rosyjski MSZ już kilkakrotnie dawał do zrozumienia, że jakiekolwiek posunięcia Berlina sugerujące rewizję tych zobowiązań będą automatycznie prowadziły do ponownego „otwarcia kwestii niemieckiej" i postawią pod znakiem zapytania zjednoczenie. Aby uniknąć takiego scenariusza, Niemcy mogą działać bardzo szybko, za czym opowiada się Terhalle, albo powoli, po cichu.

Na razie dominuje ta druga opcja. Berlin działa ostrożnie, małymi krokami, konsekwentnie realizując politykę wzmacniania własnej pozycji. Jej elementem jest też – i to łączy kanclerza Merza z jego poprzednikami, czyli Scholzem i Merkel – twardy sprzeciw wobec rozszerzenia amerykańskiego programu Nuclear Sharing na państwa Europy Środkowej, w tym Polskę. Nie chodzi więc tylko o wzmocnienie odstraszania Rosji, co wydaje się konieczne w nowej sytuacji, lecz także o to, aby jedynym szafarzem bezpieczeństwa w regionie, w tym jądrowego, były Niemcy.

TEKTONICZNE ZMIANY

Do tego oczywiście jeszcze bardzo daleko, ale nie zmienia to faktu, że niemieckie dyskusje w sprawie pozyskania broni jądrowej mają również taki wymiar. Na razie jest opracowywana wieloletnia strategia polityczna, nie zostały przesądzone jeszcze kwestie, czy stawiać na „europejski" potencjał nuklearny, co zakłada dogadanie się z Francją i Wielką Brytanią, czy raczej szukać nowego porozumienia z Amerykanami. Na razie Berlin porusza się po obu drogach, nie odrzucając perspektywy polityki „latencji nuklearnej", czyli zwiększenia własnych możliwości. Jedno wydaje się jednak pewne – niemiecka klasa polityczna dochodzi do wniosku, że w związku z nową sytuacją geostrategiczną – zarówno na naszym kontynencie, jak i globalnie – trzeba zacząć myśleć o własnych interesach, w tym potencjale jądrowym. Ta refleksja zapowiada tektoniczne zmiany w Europie.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Liczą się tylko złe wiadomości

Mimo że liczba ludności na świecie od początku XX w. wzrosła czterokrotnie, prawdopodobieństwo śmierci z powodu klęski żywiołowej spadło o ponad 95 proc. Są to dane, które aktywiści klimatyczni wolą ignorować

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

9-letni Cole Morris skulił się między swoim dziadkiem a pozostałymi członkami rodziny, szepcząc modlitwy, podczas gdy wzbierająca woda z furią obmywała schody strychu ich domu. Cole był przekonany, że utoną. Jego dziadek także, ale zapewniał wnuka, że wszystko będzie dobrze. „Byłem śmiertelnie przerażony, ale chciałem go podtrzymać na duchu" – powiedział mężczyzna w wywiadzie dla stacji CNN. Co najmniej 135 osób, w tym ponad 35 dzieci, zginęło w katastrofalnej powodzi w środkowym Teksasie, do której doszło 4 lipca. Powódź spustoszyła region, w tym namioty pełne śpiących dzieci, które wyjechały tam na kolonie.

Niszczycielskie powodzie to nic nowego w Teksasie. Meteorolodzy często nazywają płaskowyż w południowej i środkowej części stanu Aleją Gwałtownych Powodzi ze względu na strome ukształtowanie terenu, płytkie gleby oraz historię nagłych i intensywnych opadów deszczu. Po Arkansas Teksas od lat zajmuje drugie miejsce pod względem liczby powodzi, które wyrządziły szkody powyżej 1 mld dol.

Niemniej klimatolodzy twierdzą, że z powodu wzrostu temperatur na świecie opady deszczu stały się tu bardziej intensywne. W latach 80. i 90. XX w. do takich powodzi miało dochodzić najwyżej dwa razy w roku, tymczasem w ostatnich trzech latach odnotowano ich aż kilkanaście. Media i eksperci od lat alarmują, że na świecie zdarza się coraz więcej katastrof naturalnych i są one coraz tragiczniejsze w skutkach. Ich zdaniem winowajcą jest oczywiście człowiek i wywołane przez niego ocieplenie klimatu. Według Światowej Organizacji Meteorologicznej w ciągu ostatnich 50 lat liczba klęsk pogodowych wzrosła pięciokrotnie. Ale czy rzeczywiście tak jest?

WIĘCEJ, A JEDNAK MNIEJ

Dane, na które powołują się meteorolodzy, pochodzą z Centrum Badań Epidemiologii Katastrof (CRED) w Belgii, gromadzącego informacje o klęskach w swojej Bazie Danych Zdarzeń Kryzysowych (EM-DAT). Jednak według niemieckiego dziennika „Die Welt" instytut wyciągnął z tych danych zupełnie inne wnioski niż klimatolodzy, ONZ oraz media. CRED rozpoczął publikację statystyk EM-DAT w 1988 r.

Według gazety chociaż wykresy pokazują znaczący wzrost liczby klęsk żywiołowych, nie dokumentują one faktycznej częstotliwości ich występowania, a jedynie zgłaszaną liczbę. Dopiero od początku XXI w. zbierane dane, które dzięki nowoczesnej technolo-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 40dc1e51fc

gii napływają nawet z najbardziej odległych regionów, są wiarygodne. Wcześniej wiele zdarzeń zwyczajnie nie było odnotowywanych – szczególnie te, które miały miejsce za czasów zimnej wojny na terenie ówczesnego ZSRR. Także trzęsienia ziemi, które nie wyrządziły szkód, nie były rejestrowane. Baza danych katastrof odnotowała znacznie więcej huraganów w USA po 1980 r. niż wcześniej – średnio sześć razy więcej rocznie. Jednak historyczne dane z dziesiątek recenzowanych badań pokazują, że od 1900 r. liczba huraganów lądowych w USA w rzeczywistości nieznacznie spadła.

Według belgijskich naukowców nie można więc mówić o wzroście częstotliwości katastrof pogodowych, tylko o większej liczbie ich zgłoszeń.

„Nawet dzisiaj ludzie cytują nas, mówiąc, że baza danych EM-DAT pokazuje, że liczba katastrof rośnie w alarmującym tempie" – skarżyła się w 2020 r. Debarati Guha-Sapir, badaczka CRED. „Na naszych konferencjach prasowych mówiliśmy, że tak nie jest. Przez to otrzymujemy listy pełne nienawiści. Nikt nie chce usłyszeć dobrych wiadomości" – dodaje.

Duński ekolog Bjørn Lomborg twierdzi, że dziś ludzie są „mniej zagrożeni katastrofami naturalnymi niż kiedykolwiek wcześniej". Według niego w mediach często pojawia się stwierdzenie, że liczba klęsk żywiołowych powodujących szkody powyżej 1 mld dol. dramatycznie wzrosła i że to jest dowodem na coraz bardziej katastrofalne skutki zmian klimatycznych. „Mierzenie wyłącznie szkód wywołanych klęskami żywiołowymi w czasie pomija istotną kwestię. Obecnie jest o wiele więcej rzeczy do zniszczenia niż kilka dekad temu. Wraz z bogaceniem się świata i wzrostem populacji wzrosła także liczba i jakość budynków na drodze powodzi, pożarów i huraganów. Jeśli spojrzymy na szkody jako procent produktu krajowego brutto, otrzymamy optymistyczny obraz. Trend szkód związanych z pogodą w latach 1990–2020 spadł z 0,26 proc. do 0,18 proc. światowego PKB. Ten trend dotyczy zarówno krajów biednych, jak i bogatych, niezależnie od rodzaju klęski żywiołowej" – pisał Lomborg na łamach „Wall Street Journal".

ZMNIEJSZONA PODATNOŚĆ

Liczba ludności hrabstwa Miami-Dade, gdzie znajduje się znaczna część majątku stanu dotkniętego regularnie występującymi tam huraganami, wzrosła z nieco poniżej 500 tys. w 1950 r. do 2,8 mln obecnie. Dane dotyczące dochodu na mieszkańca w hrabstwie sięgają zaledwie 1969 r., ale nawet w tym okresie wzrosły one z ok. 4 tys. dol. na osobę do ponad 68 tys. dol. obecnie. Liczba ofiar klęsk żywiołowych także stale spada. Jak utrzymuje Lomborg, są to dane, którymi o wiele trudniej manipulować, ponieważ były one konsekwentnie rejestrowane, także w odległej przeszłości.

100 lat temu średnio prawie 500 tys. ludzi każdego roku umierało z powodu burz, powodzi, susz, pożarów i ekstremalnych temperatur. W ciągu następnych dziesięciu dekad globalna roczna liczba zgonów z tych przyczyn spadła o 96 proc., do 18 tys. W 2024 r. wyniosła nieco ponad 16 tys. Od tego czasu liczba ludności na świecie wzrosła czterokrotnie (od ok. 2 mld do 8 mld), więc spadek jest jeszcze większy, niż się wydaje.

Związek między zmianami klimatu, ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi a kosztami katastrof dodatkowo komplikują inne ważne czynniki, jak surowsze przepisy budowlane, dokładniejsze prognozy, nowoczesna infrastruktura, lepsza technologia, które sprawiają, że ludzie i mienie są znacznie bardziej odporne na warunki pogodowe. Eksperci ds. ryzyka katastrof nazywają ten czynnik wrażliwością. A wrażliwość na ekstremalne zjawiska pogodowe znacząco spada na całym świecie od wielu dekad. „Praktycznie nie ma żadnych dowodów na to, że zmiany klimatu zwiększyły koszty katastrof pogodowych" – twierdzi Roger Pielke, amerykański politolog i ekolog związany z American Enterprise Institute.

Jednak ten przekaz prawie w ogóle nie przebija się do opinii publicznej. Aktywiści klimatyczni – jak Greta Thunberg – regularnie wrzucają do mediów społecznościowych zdjęcia powodzi w Indiach czy Nigrze z dopiskiem: „Tak wyglądają zmiany klimatyczne. Ile jeszcze chcemy tego oglądać?". Według Pielkego to „czysta manipulacja". „W ciągu ostatnich czterech dekad biedne kraje, takie jak Bangladesz, zmniejszyły liczbę ofiar śmiertelnych o ponad 90 proc. dzięki prostym środkom, takim jak systemy ostrzegania przed cyklonami i schrony przeciwburzowe. Spójrzmy na cyklon Ampham w Indiach i Bangladeszu w 2020 r. Zginęło ok. 120 osób. Tymczasem w 1970 r. cyklon Boha zabił tam aż 300 tys. ludzi" – zaznaczył ekspert. Do tego cyklonów i huraganów jest znacznie mniej. Amerykańska Narodowa Agencja ds. Oceanów i Atmosfery (NOAA) przewiduje, że w XXI w. maksymalna intensywność huraganów i burz tropikalnych na Atlantyku wzrośnie o 5 proc., ale ich częstotliwość spadnie o 25 proc.

REDUKCJA RYZYKA

Według najnowszego raportu firmy konsultingowej Aon, zajmującej się doradztwem w zakresie ryzyka, w ciągu pierwszych sześciu miesięcy br. w wyniku burz, powodzi, fal upałów i innych katastrof „pogodowo-klimatycznych" na całym świecie zginęło ok. 2,2 tys. osób. Łącznie naliczono 7,7 tys. ofiar śmiertelnych z powodu katastrof naturalnych, ale jeśli odejmiemy ok. 5,5 tys. osób, które zginęły w wyniku jednego zdarzenia geologicznego niezwiązanego z pogodą – silnego trzęsienia ziemi w Mjanmie w marcu – otrzymamy najmniejszą liczbę ofiar śmiertelnych z powodu pogody w okresie styczeń–czerwiec od czasu, gdy zaczęto prowadzić statystyki.

Z raportu ONZ o globalnej redukcji ryzyka związanego z katastrofami (GAR) wynika, że klęski żywiołowe kosztują świat ponad 2,3 bln dol. rocznie. Stajemy się niezwykle dobrzy w ratowaniu ludzi, nie wiemy jeszcze, jak ocalić ich domy, uprawy i miejsca pracy. Będzie to wymagało ciężkiej pracy polegającej na przygotowywaniu się na katastrofy, zanim one nastąpią. To inwestycja, która powinna się opłacić – ten sam raport ONZ oblicza, że każdy 1 dol. wydany na redukcję ryzyka prowadzi do uniknięcia strat rzędu co najmniej 4 dol.

Amerykański politolog i dziennikarz Michael Schellenberger, autor książki „Apokalipsy nie będzie! Dlaczego ekologiczny alarmizm szkodzi nam wszystkim", uważa, że to pokazuje, iż histeria związana ze zmianami klimatycznymi jest nieuzasadniona. Stała się jednak czymś w rodzaju świeckiej religii z „klimatologami w postaci nowoczesnych szamanów". „Wszystko, co nie pasuje do narracji, jest ignorowane, nawet jeśli są to twarde dane" – podkreślił Schellenberger. Według niego „największe ryzyko katastrof wiąże się z wojnami, epidemiami, wybuchami wulkanów, tsunami i asteroidami, a nie ze zmianami klimatu".

eprasa.pl 40dc1e51fc

Czempion afer i korupcji

Rzadko które miejsca tak bardzo pasują do polskiego powiedzenia: „rzuć kamieniem, a trafisz złodzieja", jak gabinety unijnych urzędów czy sale Parlamentu Europejskiego. Można by też sparafrazować staropolskie porzekadło: „na Podolu [w Brukseli] choćbyś i jezuity zasiał, to i tak złodzieje wyrosną"

DARIUSZ MATUSZAK

Jedna trzecia poprzedniego składu Komisji Europejskiej plus szefostwo dwóch unijnych banków – EBC i EBI – było umoczone w różnego rodzaju skandale, najczęściej korupcyjne, ale istniały też oskarżenia o kradzież własności intelektualnej czy wykorzystywanie poufnych informacji. Według holenderskiej organizacji dziennikarskiej Follow the Money i niemieckiej Transparency International aż jedna czwarta członków Parlamentu Europejskiego złamała prawo albo jest uwikłana w afery.

Gdy spojrzeć na obecne rozdania, to cała trójka domniemanych władców Unii Europejskiej jest czymś upaprana. Za Ursulą von der Leyen ciągną się afery jeszcze z czasów, kiedy była szefową niemieckiego resoru obrony: zarzuty o lewe kontrakty dla firmy consultingowej i przyjaciółki plus oskarżenie o plagiat pracy doktorskiej, a teraz jeszcze sprawy miliardowych kontraktów na szczepionki i pieniądze – całe góry unijnych dotacji dla firmy Orgenesis, której szefował jej mąż. Szef Rady Europejskiej António Costa uciekał z fotela premiera Portugalii, kiedy w rządzącej Partii Socjalistycznej wybuchł ogromny skandal korupcyjny. Z jednego bagna do drugiego przeskoczyła komisarz ds. zagranicznych Kaja Kallas, która jako premier uciekała z Estonii po tym jak okazało się, że jej mąż robił wielkie interesy z Rosjanami.

PRANIE PIENIĘDZY

Dzisiaj nie będziemy się jednak zajmować tym jaśniepaństwem, a długi wstęp służy nam, by pokazać ogród, w którym mógł wyrosnąć jedyny, niepowtarzalny kwiat, czempion afer i korupcji, ten, który tak nas ścigał za łamanie praworządności – były unijny komisarz ds. sprawiedliwości Didier Reynders. Ten jaśniepan jest nam szczególnie bliski, bo to on operacyjnie zajmował się tym, by Unia zablokowała nam 57,7 mld z KPO i kilka miliardów z funduszów spójności. On też stał za nałożeniem na Polskę kary 1 mln euro dziennie za funkcjonowanie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

Jednak nawet dla unijnych weteranów korupcji Reynders okazał się zbyt zaradny, system go zatem wyrzucił i pozbawił ochrony, więc ten mąż sprawiedliwości zaczął być ścigany za afery, które sięgają jeszcze 2010 r. Podobno śledztwo prowadzono w tajemnicy przed Komisją Europejską, aby nie trzeba było prosić kolegium komisarzy o uchylenie Reyndersowi immunitetu. Ale jest i taka wersja, że Komisji nie informowano, bo mogłoby dojść do przecieków i sabotowania śledztwa.

Didier Reynders

Tak czy owak wiadomo, że komisarzem sprawiedliwości, praworządności i ochrony konsumentów (jak piękna i podniosła jest ta unijna tytulatura) był człowiek, którego belgijska prokuratura podejrzewała o pranie lewej kasy, czyli z łapówek lub innych przestępstw. Wszystko bowiem ruszyło dopiero wtedy, gdy 1 grudnia 2024 r. oddał stołek komisarza. Dwa dni później do jego domu w prestiżowej dzielnicy Brukseli Uccle i letniego w Vissoul zawitali policjanci i przeprowadzili rewizje. Od tamtego czasu belgijska prokuratura i policja wciąż odkrywają nowe tropy czy trupy. Pod koniec lipca pojawiły się konkretne zarzuty, że za pomocą Loterii Narodowej Reynders wyprał kilkaset tysięcy euro. Mechanizm był taki, że za setki tysięcy euro kupował z żoną losy o wysokim prawdopodobieństwie wygranej. Belgijski matematyk prof. Rudi Penne wyliczył, że w ulubionych grach Reyndersów, jak Lotto 45, statystycznie zwrot wynosi właśnie 45 proc., więc z każdego euro tracili 55 centów, ale 45 mieli czyste, nieskalane niczym umysł

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 40dc1e51fc

minister Nowackiej. Dodatkowej perwersji sprawie dodaje to, że UE właśnie wyłączyła gry losowe i loterie z przepisów o przeciwdziałaniu praniu brudnych pieniędzy (AML). W skali Reyndersa te 200–800 tys. euro wyprane na loteriach było kwotą na waciki, więc będziemy się cofać w czasie, by odkryć rozmach jego działalności.

Reynders był prawdziwym mistrzem w handlu dziełami sztuki, więc ten talent wykorzystano do prania i wypłacania lewej kasy. W lipcu belgijskie służby odkryły, że na jego kontach błyszczy co najmniej 800 tys. euro po licznych transakcjach na rynku sztuki. I tak na jednej z aukcji pojawiło się nowoczesne dzieło sztuki – oeuvre d'art moderne w postaci starej, zepsutej, ale za to pochlapanej farbą lodówki, którą za ogromne pieniądze wylicytował jeden z koneserów, zupełnie przypadkowo kontrahent jednej z firm słupów, którymi oblepione były resorty Reyndersa. A trzeba pamiętać, że był on ministrem notorycznym: finansów, obrony, spraw zagranicznych, a także szefem gabinetu ministra sprawiedliwości, wicepremierem i prezesem kolei państwowych. W powojennej historii Belgii nikt tak długo nie zasiadał na rządowych stołkach. Jak widać, Reynders był człowiekiem renesansu, a nawet multimodalnym, bo pieniądze płynęły do niego z różnych stron świata i różnymi środkami transportu.

Wszystko zaczęło się co najmniej w 2010 r. po skandalu związanym z kontraktem na ochronę siedziby NATO, ale podobno nie ma dowodów na związki z Reyndersem. Potem przyszła sprawa budowy ambasady Belgii w Demokratycznej Republice Konga (DRK). Belgijski dziennikarz śledczy Philippe Engels w książce „Klan Reyndersa" pisze, iż w grudniu 2011 r., gdy trwała Arabska Wiosna, Japonia walczyła ze skutkami katastrofy w Fukushimie, a Belgię trapił kryzys polityczny, Reynders, wówczas szef MSZ, uznał, że najważniejszym zadaniem jest budowa ambasady. Nasz bohater poleciał więc do Kinszasy razem ze swym najbliższym współpracownikiem, szefem kolei państwowych Claude'em Fontinoyem. Wedle zeznań byłego agenta służb Nicolasa Ullensa de Schooten tam w ruch poszły łapówki, i to w dwie strony. Dla odpowiednich ludzi, by w DRK można było kupić niedostępny teren pod ambasadę, a potem w drugą stronę – za kontrakty na jej budowę. Reynders miał siedzieć okrakiem po dwóch stronach barykady.

Wspomniany Fontinoy miał właśnie wymyślić schemat prania kasy przez handel sztuką już w czasach, gdy Reyenders jako minister finansów nadzorował mienie państwowe i sprzedawał prywatnym nabywcom prestiżowe państwowe budynki.

Reynders pojawia się też w centrum afery kazachskiej. Chodziło o kontrakt Belgii z Kazachstanem na budowę infrastruktury do przesyłu gazu. W ramach dealu popłynęło 85 mln euro, z czego 55 mln dla pośredników, m.in. do belgijsko-kazachskiego miliardera Patocha Chodiewa. Za to gaz nie popłynął nigdy, więc wybuchła afera. Chodiew miał iść za kraty, ale całkiem przypadkowo belgijski parlament przyjął ustawę, że od więzienia można się wykupić grzywną. Miliarder zapłacił więc po taniości – ledwie 525 tys. euro, a bronił go bliski kolega Reyndersa, były przewodniczący Senatu Armand De Decker. Ludzie pokrzyczeli, media się oburzyły, ale sprawie ukręcono łeb. Paluchy miał w tym maczać m.in. prezydent Francji Nicolas Sarkozy. Paryż właśnie dopinał z Kazachstanem umowę na sprzedaż helikopterów.

> Tak naprawdę to nie jest opowieść o Reyndersie, a o Unii. O do cna przegniłym systemie, który dopuszcza, by człowiek tak umoczony funkcjonował jako jeden z najważniejszych europejskich urzędników

Kolejna afera dotyczy handlu bronią w Libii. Płacono za nią odmrożonymi funduszami reżimu Kadafiego zdeponowanymi w belgijskim banku Euroclear. Mimo sprzeciwu m.in. ONZ – chodziło o finansowanie wojny domowej – zgodę na uwolnienie środków miał dać szef MSZ Reynders. Kolejna afera dotyczy powiązań z rosyjskim oligarchą Olegiem Deripaską, który kierował stowarzyszeniem Brunona Lussato i Marine Fedier zajmującym się konserwacją dzieł sztuki i prowadzeniem muzeum w Uccle, gdzie mieszka Reynders. W istocie miała to być pralnia pieniędzy. Śledztwo nagle umorzono, a Deripaska zwiał na Cypr.

Do licznych osiągnięć Reyndersa możemy jeszcze zaliczyć sprawę upadku belgijskiego banku Fortis, kontrakt na wynajem budynku dla policji federalnej czy kontakty z saudyjskim księciem Nayefem Al Shaalanem skazanym zaocznie na 10 lat więzienia za handel narkotykami i wspieranie terroryzmu.

KONIEC POBŁAŻANIA?

Wszystkim aferom ukręcano łeb, ale tym razem jest szansa, że Reynders się nie wywinie, bo presja rośnie, a Partia Socjalistyczna domaga się powołania parlamentarnej komisji śledczej. Być może czempion praworządności i sprawiedliwości odpowie nie za poprzednie sprawy, ale chociaż za pranie pieniędzy. Coś jak Al Capone, którego nie skazano za morderstwa, a za oszustwa podatkowe.

Tak naprawdę to nie jest opowieść o Reyndersie, a o Unii Europejskiej. O do cna przegniłym systemie, który dopuszcza, by tak umoczony człowiek funkcjonował jako jeden z najważniejszych europejskich urzędników i jeszcze pilnował sprawiedliwości oraz praworządności. Wszyscy w unijnej Brukseli wiedzieli, kim jest człowiek z belgijskiej Brukseli. A może właśnie dlatego, że śmierdzi od niego korupcją, złodziejstwem, brudnymi pieniędzmi, nadawał się na jednego z władców Unii. Na pana, który tresuje liche, nie dość europejskie kraje jak Polska i od którego kaprysów zależy, czy dostaną one jakąś unijną jałmużnę.

eprasa.pl 40dc1e51fc

W matni teorii spisku

W ciągu kilku tygodni okazało się, że zwolennicy Koalicji Obywatelskiej są tak samo podatni na teorie spiskowe jak prawicowe „oszołomy". Padli ofiarą własnej propagandy i obietnicy, że demokracja jest ich własnością

MACIEJ WALASZCZYK

Hitem tegorocznego sezonu ogórkowego okazał się nikomu wcześniej nieznany dr Krzysztof Kontek. Zjawił się nagle, szacując skalę rzekomych nieprawidłowości przy liczeniu głosów w wyborach prezydenckich. Na podstawie wyników w 13 komisjach wyborczych, w których dostrzegł anomalie, stwierdził, że nieprawidłowości mogły dotyczyć 1482 obwodowych komisji, co miało się przekładać na nawet 500 tys. dodatkowych głosów dla Karola Nawrockiego. W doniesieniach mediów był przedstawiany jako ekspert ds. statystyki, związany ze SHG w Warszawie.

Uczelnia szybko sprostowała te informacje, a dr hab. Tomasz Berent wprost oświadczył, że jego kalkulacje zostały arbitralnie skonstruowane pod tezę, sprowadzając metody statystyczne do absurdu.

To samo zrobiło sprzyjające rządowej większości OKO.press, wykazując błędy i manipulacje, którymi posłużył się dr Kontek.

„FOLIARZE" Z PLATFORMY

Dużej części zawiedzionych wynikiem wyborów, na co dzień gardzących „foliarskimi" i „szurowskimi" teoriami spiskowymi, podsunięto więc narrację racjonalizującą to, czego psychologicznie doświadczyli. Obiecano im, że korekta wyniku głosowania mogłaby odwrócić werdykt i dać zwycięstwo Rafałowi Trzaskowskiemu. Ziarno padło na podatny grunt, gdyż od 2015 r. wmawia im się, że to oni są „demokratyczną większością", która jednak przegrywa w demokratycznych wyborach. „Wiem, co czujecie" – mówił w powyborczym orędziu telewizyjnym premier Donald Tusk.

Zaryzykowano rozkręcenie spirali podejrzeń, frustracji i nienawiści, wzbudzając u części elektoratu przekonanie, że to prawicowa opozycja, będąca od wielu miesięcy zwierzyną łowną służb i prokuratury (wraz z kandydatem na prezydenta), sfałszowała wybory. Wyliczeniami dr. Kontka posłużył się więc były już minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar, a sam badacz złożył protest wyborczy do Sądu Najwyższego, powołując jako pełnomocnika mecenasa Jacka Dubois związanego z Romanem Giertychem. Wszak to uwiedzione przez niego środowisko najmocniej forsowało opowieść o fałszerstwie.

Choć wynik wyborów został zatwierdzony przez Państwową Komisję Wyborczą, prokuratura dokonała oględzin głosów z 250 komisji wyborczych. Po kilku tygodniach uznano, że fałszerstw nie było, stwierdzając jedynie różnego rodzaju nieprawidłowości. W 42 komisjach część głosów oddanych na Trzaskowskiego błędnie przypisano Nawrockiemu, a w 34 komisjach błędnie zaliczono je na korzyść Trzaskowskiego. Wszystko w wyniku pomyłek, ale na pewno nie na skutek realizacji systemowego fałszerstwa.

Choć próba niedopuszczenia do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, delegitymizacji jego wyboru, faktycznej destabilizacji państwa i podeptania porządku konstytucyjnego spaliła na panewce, to już wystąpienie Donalda Tuska przed swoim aktywem politycznym w Pabianicach pokazało, że stał się on zakładnikiem ludzi, którym cynicznie podsunięto toksyczną teorię.

Zresztą dr Kontek nieustannie brnie w jej rozbudowę, dokładając do niej kolejne wątki, np. tezę o tym, że kalkulator wyborczy PKW posiada systemowe luki umożliwiające manipulowanie nim z zewnątrz. Kontek w imieniu władzy podsunął więc ludziom narrację zbliżoną do nowoczesnych teorii spiskowych. Niczym agent Fox Mulder z filmowego „Archiwum X" szukał ukrytej prawdy tuszowanej przez FBI, której jest funkcjonariuszem i która zarazem zleca mu to zadanie. Także Bodnar, Giertych i Tusk stali się figurami z takiego spektaklu. Poza tym wpasował się on w model równoległej do analiz politologicznych parapolityki, doszukującej się drugiego dna w ukrytych wydarzeniach, podczas których ma miejsce manipulacja na wielką skalę. Przyznał się nawet, że jest także zwolennikiem teorii, zgodnie z którą Amerykanie nigdy nie wylądowali na Księżycu, a całość została zainscenizowana przez reżysera Stanleya Kubricka.

SPISKOLODZY DO PSYCHUSZKI

Walka z teoriami spiskowymi jest dziś jednym z głównych wyzwań dla liberalnych demokracji, co często powtarzają ich przywódcy, dziennikarze czy spe-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 40dc1e51fc

cjaliści ds. bezpieczeństwa. Przeciwko ich teoretykom i wyznawcom prowadzona jest intensywna kampania, odmalowuje się ich jako ludzi na wpół obłąkanych, na ogół słabo wykształconych, niedojrzałych do demokracji i rozumienia polityki.

Jeden ze współpracowników prezydenta Baracka Obamy twierdził np., że konieczne jest stosowanie „kognitywnej interwencji rządu", a więc wyspecjalizowanych i tajnych grup działających na portalach społecznościowych, których zadaniem byłaby demaskacja narracji spiskowych i odciąganie ich zwolenników za pomocą racjonalnych argumentów.

Zdaniem Tomasza Gabisia, niegdyś redaktora pisma „Stańczyk", w ostatnich latach obserwujemy inflację zjawisk, które – głównie w mediach dawnego głównego nurtu – określa się mianem teorii spisku. – Jej skala jest tak duża, że termin ten utracił jakąkolwiek wartość opisową i analityczną, stając się wyłącznie agitacyjnym narzędziem propagandy politycznej – tłumaczy wrocławski publicysta. Zwraca uwagę, że teorie spisku są np. wrzucane do jednego worka z prywatnymi opiniami ludzi, ich poglądami politycznymi czy wyznawanym światopoglądem. – Sugeruje się choroby psychiczne, neurolodzy mają nadzieję, że uda im się znaleźć metody farmakologiczne, a więc swoiste „lekarstwo na wiarę w spiski", i być może będą chcieli wysyłać ludzi na terapie – dodaje.

Brytyjscy naukowcy z Uniwersytetu w Kent dowiedli, że w przypadku osób wierzących w choć jedną z teorii spiskowych istnieje większe prawdopodobieństwo, że uwierzą w kolejne, co ma ich zbliżać do ludzi chorych na schizofrenię lub chorobę afektywną dwubiegunową. Krótko mówiąc, nawet ludzie, którzy nie są chorzy psychicznie, mogą popaść w „paranoiczny schemat myślenia". Ustalono nawet, że bramą do percepcji jest wzgórze przyśrodkowe mózgu i jeśli jest ono słabiej rozwinięte, to jest się bardziej podatnym na wiarę, że w świecie istnieją ciemne siły, w ukryciu realizujące swe cele.

W ten sposób liberalno-demokratyczny porządek zbliża się do metod praktykowanych przez Sowiety i maoistowskie Chiny, gdzie każda odmienna opinia mogła być uznana za zachowanie dewiacyjne poddane leczeniu. Paradoksalnie zwolennicy teorii spiskowych twierdząc, że są demaskatorami spisku władzy, sami stają się niebezpiecznymi spiskowcami, których należy leczyć, a być może objąć kontrolą policyjną. W krajach, w których do głosu coraz częściej dochodzą ugrupowania tzw. populistycznej prawicy, wobec ich liderów, działaczy i zwolenników podejmowane są próby ich izolacji politycznej pod zarzutem wyznawania „teorii spiskowych". Bierze się to stąd, że władza chce być widziana przez społeczeństwo jako reprezentacja jego interesów realizowanych przez ludzi „dobrych"

eprasa.pl 40dc1e51fc

i „nieskalanych". Dba o to, by ten wizerunek nie został rozwiany przez niewygodne pytania i podejrzenia.

ZA KULISAMI POLITYKI

Co opisują teorie spisku? Najczęściej rządy równoległe, ukrytą grupę rządzącą, a więc wszystko to, co dzieje się za kulisami polityki. Klasyczne teorie spisku narodziły się w okresie rewolucji francuskiej i utrzymywały się po XX w.

– Masoneria spiskowała, podważając zasady ówczesnego porządku politycznego, a więc monarchii, państwa stanowego i Kościoła. Jednak wszelkie tajne sprzysiężenia tamtego czasu w wyniku ewolucji całego systemu politycznego dały początek partiom politycznym, które dziś całkowicie go zdominowały – tłumaczy Tomasz Gabiś. Ewolucja przebiegała w dwóch kierunkach: jedne stały się początkiem radykalnych ruchów rewolucyjnych, np. komunistycznych, a inne umiarkowanych i mieszczańskich. – Masoneria więc, z punktu widzenia ideologicznego, spełniła już swoją historyczną rolę. Przecież o wolności jednostki i powszechnej równości słyszymy na co dzień, to oficjalna i panująca ideologia epoki – mówi publicysta.

Nowoczesne teorie spiskowe narodziły się w latach 60. XX w., głównie w USA. To rozgrywające się w długim czasie i na wielkich obszarach spiski systemowe lub dotyczące konkretnego wydarzenia, np. zamachu na prezydenta J.F. Kennedy'ego. Te pierwsze obejmują współczesne zjawisko, jakim jest ruch QAnon. Jego fundamentem jest pogląd, że polityczno-kulturowe elity Ameryki są uwikłane w pedofilię, handel dziećmi, przemyt narządów oraz czczenie szatana, a jedyną osobą, która może wyzwolić naród spod ich władzy, jest Donald Trump. Wierzy w to ok. 15 proc. Amerykanów, w tym ok. jedna czwarta wyborców republikanów. Ten fenomen dowodzi, jak bardzo spadło w USA zaufanie do oficjalnych mediów. W 1976 r. ufało im ponad 70 proc., w 1995 r. – 55 proc., a obecnie to ok. 30 proc.

Gdy większość obywateli przestała ufać oficjalnym środkom przekazu, znalazła alternatywne sposoby wyjaśniania demokratycznej rzeczywistości. Jak przypomina nasz rozmówca, klasyczne teorie spisku opisywały mechanizmy polityczne, kreśliły plan obalenia dawnego porządku i władzy, jednak te współczesne nie mają takiej mocy wywrotowej. Raczej wprawiają w poczucie bezsilności i budują przekonanie, że nic nie można zmienić, ponieważ wszystko jest pod kontrolą niejawnych układów. A propagowanie najbardziej absurdalnych teorii może być sposobem na odwrócenie uwagi od aktualnych problemów rządzących.

Liberalna prasa oskarża więc zwolenników Trumpa o „foliarstwo", choć są badacze spisków (!), którzy twierdzą, że być może ktoś próbuje skanalizować i wprowadzić w ślepy zaułek gniew ludzi niezadowolonych z sytuacji politycznej. Podobnie jak sowiecka Czeka ośmieszyła i zinfiltrowała antybolszewicką opozycję monarchistyczną w ramach operacji Trust w latach 1921–1926. Na prowokację wskazuje choćby szturm na Kapitol, który miał miejsce w styczniu 2021 r.

> Klasyczne teorie spisku kreśliły plan obalenia dawnego porządku i władzy, współczesne nie mają takiej mocy wywrotowej. Raczej wprawiają w poczucie bezsilności i budują przekonanie, że nic nie można zmienić, ponieważ wszystko jest pod kontrolą niejawnych układów

RADYKALNA KRYTYKA SPOŁECZNO-POLITYCZNA

– Współczesne teorie spisku mają potencjał polityczno-ideowej mobilizacji szerszych kręgów społecznych, niezdolnych do zrozumienia ujmowanych bardziej abstrakcyjnie systemowych mechanizmów polityki. Jak kiedyś masoni atakowali rządzącą arystokrację, tak dzisiaj zupełnie nowe teorie spiskowe wymierzają swoje oskarżenie w nowych arystokratów, a więc globalnych królów władzy i pieniądza – podkreśla Tomasz Gabiś.

Zwraca więc uwagę na owo przesunięcie, gdyż te współczesne koncepcje spiskowe są atakiem na klasę rządzącą, oskarżeniem o spiskowanie przeciw społeczeństwu. – Jak twierdził znany lewicowy teoretyk Guy Debord w „Społeczeństwie spektaklu", to „oni" spiskują na rzecz umocnienia i poszerzenia swoich wpływów – dodaje. Nie spiskują wywrotowcy, lecz władza, która sama jest spiskiem. Tym bardziej że od czasu, gdy rewolucyjna lewica została wchłonięta przez globalny system polityczny, utraciła też swoją moc tworzenia wywrotowych narracji, a jej miejsce zajęły właśnie radykalne teorie spisku skierowane przeciwko obecnej klasie rządzącej. I są one wyrazem radykalnej krytyki społeczno-politycznej.

Bierze się to stąd, że społeczeństwo stało się ofiarą wielkich obietnic składanych pod postacią wolnej prasy, wolności wypowiedzi, transparentności decyzji podejmowanych przy otwartej kurtynie. Tymczasem wszystko jest na odwrót: zamknięte, tajne, nietransparentne, a zamiast demokracji obserwowana jest oligarchizacja życia publicznego, a więc rządy wąskich grup. Pojawia się dysonans pomiędzy ideą demokracji idealnej, w której dobrzy wybierają dobrych, a demokracją realną, w której wszystko staje się bardziej skomplikowane. Teorie spisku naruszają ten obraz świata, bo mówią o tym, że za fasadą spektaklu istnieje inna, prawdziwa rzeczywistość, niemająca nic wspólnego z głoszonymi na zewnątrz wartościami. Że za dobrotliwym obliczem demokratyczno-liberalnego państwa kryją się chciwość, korupcja, a władza posługuje się, jak w każdym systemie, propagandą i strachem.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Generalicja zza biurka

W moim przekonaniu w siłach zbrojnych funkcjonuje fatalny system kadrowy. Wszystkie sprawy dotyczące wyznaczania oficerów na etaty generalskie są skupione w rękach szefa MON. Szef Sztabu Generalnego WP i pozostali dowódcy strategiczni nie mają żadnych uprawnień, by proponować oficerów na te posady. A to właśnie oni powinni współdecydować o obsadzie stanowisk dowódczych w armii

Z generałem broni Wojska Polskiego, dr. Bogusławem Samolem, rozmawia Andrzej Potocki

Z mediów dowiadujemy się, że szef MON wręczył nominacje na stanowiska generalskie. Awansowano m.in. płk. Piotra Bieńka, syna głównego doradcy szefa MON, powierzając mu dowództwo 6. Brygady Powietrzno-Desantowej. Generałem brygady został też Mirosław Bodnar, brat byłego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Jednocześnie na czele funduszu, który ma wspierać rozwój nowych technologii w wojsku, Władysław Kosiniak-Kamysz postawił zięcia prezydenta Andrzeja Dudy Mateusza Zawistowskiego. To wszystko pachnie transakcją wiązaną, żeby nie powiedzieć – nepotyzmem. W armii ponoć wrze po tych decyzjach.

Bogusław Samol: Awans żołnierza na stopień generała w Siłach Zbrojnych RP (SZ RP) jest spełnieniem najskrytszych marzeń każdego oficera będącego w stopniu pułkownika. Powyższa sytuacja potwierdza istniejącą patologię w tym obszarze. Opisany przypadek, który nie jest pierwszy, pokazuje, że oficerowie we wszystkich rodzajach sił zbrojnych nie są traktowani równo. Zwierzchnikowi SZ RP i szefowi MON należy zadać pytanie, dlaczego dzielą kadrę oficerską, traktując ją w sposób instrumentalny, aby zaspokoić ambicje swoich współpracowników. Uważam, że to wydarzenie przyniesie wiele zawiści i innych przykrych konsekwencji dla tych oficerów w przyszłości zarówno ze strony kolegów, jak i części polityków.

Czy awansowani oficerowie merytorycznie spełniają wymogi awansu?

Akurat ci dwaj oficerowie [Bieniek i Bodnar – red.] mają bogate doświadczenia na stanowiskach liniowych i sztabowych w kraju i za granicą oraz posiadają wymagane wykształcenie wojskowe na poziomach taktycznym, operacyjnym i strategicznym. Jednak w obecnej sytuacji politycznej, kilkanaście dni przed zmianą lokatora pałacu

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 40dc1e51fc

prezydenckiego, nie powinno się to zdarzyć. Widoczny jest brak systemu doboru kadr dowódczo-sztabowych w SZ RP, a w nim procedur i wymagań wobec kandydatów do awansów generalskich. Aktualnie obowiązujący tzw. System Kierowania i Dowodzenia SZ RP ułatwia takie działania. System ten, zorganizowany przez obecnego przewodniczącego senackiej komisji obrony narodowej [gen. Mirosława Różańskiego – red.] i wprowadzony w życie w styczniu 2014 r., nie ma nic wspólnego z przygotowaniem SZ RP do obrony kraju, a tym bardziej w czasie wojny. Najlepiej wykazało to ostatnie ćwiczenie dowódczo-sztabowe na poziomie strategicznym pod kryptonimem „Zima – 20". Aktualny system nie jest zgodny z wymaganiami sztuki wojennej i obowiązującymi zasadami funkcjonowania dowodzenia. Brakuje jasnych zasad i procedur.

Czy za przykład tego można uznać decyzje byłego Szefa Sztabu Generalnego WP gen. Rajmunda Andrzejczaka i jego kolegi, dowódcy Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych (DORSZ) gen. broni Tomasza Piotrowskiego, którzy w czasie kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu w 2023 r., występując przeciwko ówczesnemu szefowi MON, poddali się do dymisji?

To wydarzenie było przykładem zaangażowania się tych oficerów w politykę wbrew zasadom cywilnej, demokratycznej kontroli nad siłami zbrojnymi. Ponadto ich decyzje były wyrazem braku dojrzałości strategicznej, a także odpowiedzialności wobec sił zbrojnych i państwa. Uważam, że stanowiło to skutek ich przyspieszonych awansów spowodowanych układami, a nie wiedzą i doświadczeniami. Inny przykład braku doświadczenia na poziomie strategicznym z wcześniejszych lat dotyczy jednego z poprzednich Szefów SG WP, który wcześniej był pierwszym zastępcą Szefa SG WP.

Rozumiem, że chodzi o gen. dr. Mieczysława Gocuła?

Jako pierwszy zastępca Szefa SG był odpowiedzialny za opracowanie słynnego planu pod kryptonimem „Warta" [znanego także jako obrona linii Wisły – red.]. Po przeanalizowaniu odtajnionych, wybranych elementów tego planu wnioski nasuwają się same. Generałowi zabrakło elementarnej wiedzy z zakresu sztuki wojennej i wyobraźni strategicznej, a szczególnie znajomości jej zasadniczej kategorii – strategii wojskowej. Odtajniony plan obrony Polski można nazwać strategią potencjalnej klęski armii i upadku państwa polskiego w czasie odpierania rosyjskiej inwazji na nasz kraj.

To skąd się biorą takie nominacje?

Politycy preferują na strategicznych stanowiskach generałów z niepełną wiedzą i o małym doświadczeniu, którzy dla zaspokojenia swoich personalnych ambicji są gotowi zrobić dla nich wszystko. Przykłady z poprzednich lat pokazują brak zainteresowania polityków sprawami bezpieczeństwa państwa oraz rozwojem i modernizacją sił zbrojnych. Potrzebują takich generałów, którzy nie będą im przeszkadzać w prowadzeniu polityki wewnętrznej. Ale wydarzenia na Ukrainie korzystnie wpłynęły na postawy polityków. Więcej z nich zaczęło poważnie myśleć o przygotowaniu państwa do potencjalnej wojny obronnej. Ale nie do końca.

Jak główne nauki płyną z doświadczeń wojny na Ukrainie?

Wskazują na konieczność posiadania w armii doskonale wyszkolonych i wykształconych oficerów oraz generałów z odpowiednią praktyką dowódczą, a także sztabową. SZ RP potrzebują zmian w kierowaniu i dowodzeniu w czasie pokoju oraz wojny. Powinny one umożliwić zbudowanie nowoczesnego systemu doboru kadr dowódczo-sztabowych, wychodzących naprzeciw wykorzystaniu nowoczesnych technologii w systemach uzbrojenia. Zasadniczą rolę i odpowiedzialność w tym zakresie posiada urząd prezydenta RP.

Co prezydent może zrobić w tym zakresie? Czy ma odpowiednie kompetencje?

Jako zwierzchnik SZ RP prezydent posiada kompetencje w zakresie wyznaczania wojskowych na pierwszy stopień oficerski, a także na pierwszy i kolejne stopnie generalskie oraz admiralskie na podstawie art. 134 ust. 5 Konstytucji RP. Kandydatów na stopnie generalskie i admiralskie przedstawia minister obrony narodowej po ich zatwierdzeniu przez premiera. W tym miejscu wydawać by się mogło, że wszystko jest robione w należytym porządku. Ale tak nie jest. Analizując proces wyznaczania kandydatów do awansów generalskich czy admiralskich, który zaczyna się w MON, należy zadać pytanie, według jakich kryteriów proponowani są kandydaci do awansów.

Na co wskazuje dotychczasowa praktyka?

W wielu przypadkach do awansów na stopnie generalskie proponuje się oficerów, którzy służbę w linii zakończyli na stanowiskach dowódców kompanii. Niektórzy dowodzili batalionem lub dywizjonem. Jednak wielu z nich nie ukończyło podyplomowych studiów taktyczno-operacyjnych w polskiej akademii czy jej zagranicznych odpowiednikach. Pracowali natomiast wytrwale na pomocniczych stanowiskach w Sztabie Generalnym, Dowództwie Operacyjnym lub w Dowództwie Generalnym, nawiązując dobre, koleżeńskie kontakty ze znajomymi generałami. Często zaprzyjaźniali się również z politykami, dochodząc do stopnia pułkownika. I nagle okazuje się, że ci oficerowie bez poważnego doświadczenia liniowego i żadnych osiągnięć w szkoleniu bojowym na szczeblu batalionu, bez doświadczenia w prowadzeniu ćwiczeń z użyciem amunicji bojowej, nieuczestniczący jako dowódcy batalionów w ćwiczeniach z wojskami na poziomie pułku, brygady, awansują w sztabach na kolejne stanowiska, by po kilku latach trafić na etaty pułkownikowskie w wyżej wymienionych dowództwach. Nie uczestniczą w procesie szkolenia dowództw i sztabów na kierowniczych stanowiskach w pułkach, brygadach i dywizjach. Będąc pułkownikami bez doświadczenia, pojawiają się w większości obok nielicznej grupy oficerów liniowych

eprasa.pl 40dc1e51fc

z prawdziwego zdarzenia na Podyplomowych Studiach Polityki Obronnej. Po ich ukończeniu dzięki koneksjom wyznaczani są stanowiska generalskie w brygadach wojsk lądowych, bo tam ze względu na prestiż otrzymuje się stopień generała brygady.

Jaki wpływ na dobór kadr dowódczo-sztabowych ma prezydent oprócz posiadanych uprawnień konstytucyjnych?

Prezydent posiada odpowiednie narzędzie do weryfikacji kandydatur na najwyższe stanowiska w armii – Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Jak wykazuje ponaddwudziestoletnia praktyka, przedstawione przez szefa MON kandydatury były ponownie weryfikowane przez wojskowych pracujących w BBN. Wśród nich znaleźli się tzw. oficerowie zza biurka z bardzo małym doświadczeniem liniowym, awansowani przez kończącego kadencję prezydencką nawet do stopni generalskich. W czasie weryfikacji część ministerialnych propozycji jest odrzucana. Nie zdarzyło się, aby przedstawiciele BBN wyjaśnili szefom MON, SG WP, DORSZ czy Dowództwu Generalnemu przyczyn odrzucenia części kandydatur. W obecnym BBN pracują generałowie – za wyjątkiem pełniącego obowiązki szefa biura – którzy nie dowodzili na poziomie brygady, ale dokonują weryfikacji kandydatów na stopień generała dywizji i generała broni.

Czyli szef MON wraz z prezydentem są zakładnikami wojskowego towarzystwa wzajemnej adoracji w BBN?

Dobitnym przykładem lekceważenia wiedzy i doświadczenia w obszarze bezpieczeństwa militarnego są oficerowie, którzy pracowali w zespołach Strategicznego Przeglądu Obronnego (SPO). Kilku z nich – ze znakomitą wiedzą o systemie obronnym państwa zdobytą wcześniej na różnych kierowniczych stanowiskach – po zakończeniu prac przeniesiono na mniej ważne stanowiska. Wielu z nich zrezygnowało ze służby. Niektórzy powinni być awansowani na stopień generała brygady pod warunkiem pozostania w departamentach MON, ponieważ w czasie SPO mieli zapewnione etaty generała brygady, ale przede wszystkim posiadali unikatową wiedzę o bezpieczeństwie narodowym RP. Kilka lat temu do NATO-wskiej instytucji wojskowej na etat generała brygady skierowano pułkownika o specjalności inżynieryjno-saperskiej z doświadczeniem liniowym, by objął stanowisko szefa komórki. Jednak w tej strukturze służył już generał brygady z innego państwa, który nie chciał wykonywać rozkazów oficera niższego stopniem. By struktura działała, kandydata należało jak najszybciej awansować. Mimo starań sztabu generalnego i petycji z NATO w sprawie awansu tego pułkownika, BBN nie wyraziło zgody na nominację. NATO-wskie władze zażądały więc wycofania tego oficera. Tak się stało. To krzywda dla żołnierza i poniewieranie wizerunku polskiego państwa na arenie międzynarodowej.

Jak to zmienić?

W moim przekonaniu w siłach zbrojnych funkcjonuje fatalny system kadrowy. Wszystkie sprawy w zakresie wyznaczania oficerów na etaty generalskie są skupione w rękach szefa MON. Mówi o tym ustawa z 14 grudnia 1995 r. o urzędzie Ministra Obrony Narodowej. Zgodnie z jej art. 2. minister kieruje sprawami kadrowymi SZ RP. Szef SG WP i pozostali dowódcy strategiczni nie posiadają uprawnień, które powinny wynikać z aktów prawnych w zakresie proponowania oficerów na stanowiska o etacie generalskim lub admiralskim. A to właśnie oni powinni współdecydować o obsadzie stanowisk dowódczych w armii. Ponadto w MON brakuje klarownych wymagań wobec najwyższych stanowisk dowódczych i sztabowych. Ich brak stwarza możliwości dla niejasnych działań w sferze awansów.

Przypomnijmy, że prezydent jest zwierzchnikiem SZ RP w czasie pokoju, natomiast w czasie wojny kieruje obroną państwa. To dość istotne.

W związku z tym pracownicy BBN powinni umożliwić prezydentowi awansowanie na stopnie generalskie jak najlepszych oficerów, zabezpieczając w ten sposób obsadę stanowisk dowódczych w brygadach, dywizjach, korpusach i pośrednio na kierowniczych stanowiskach sztabowych oraz w instytucjach MON. Uważam również, że prezydent z pomocą przedstawicieli BBN powinien wpływać na szefów MON, SG WP i dowódców rodzajów sił zbrojnych w sprawie doboru kandydatów do stanowisk dowódców brygad, dywizji czy dowódców rodzajów sił zbrojnych. Oficerowie kandydaci na pierwsze stanowiska służbowe, a co za tym idzie – na stopnie generalskie, a także następne, powinni być wyselekcjonowani na podstawie ocen otrzymanych w czasie ćwiczeń z wojskami, ocen z kontroli gotowości bojowej i mobilizacyjnej, ocen za wyszkolenie bojowe poprzednio dowodzonych jednostek. Weryfikacja powinna być prowadzona przez ministra obrony narodowej z udziałem szefa SG WP, dowódców rodzajów sił zbrojnych, szefów ministerialnych komórek kontrolnych, którzy posiadają wszystkie dane o osiągnieciach kandydata. Członkami tego zespołu powinni być doświadczeni przedstawiciele BBN z ramienia prezydenta, którzy mają polecać profesjonalnych oficerów na tak ważne stanowiska służbowe. Niestety obecny System Kierowania i Dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP oraz zapisy w ustawach o Ministrze Obrony Narodowej, a także ustawa o obronie ojczyzny uniemożliwiają zbudowanie takiego systemu.

Gen. broni dr Bogusław Samol

W latach 1998–2004 dowodził 10. Brygadą Kawalerii Pancernej im. Stanisława Maczka w Świętoszowie. 1 września 2009 r. został wyznaczony na stanowisko dowódcy 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. Od 10 grudnia 2010 r. pełnił obowiązki zastępcy szefa sztabu ISAF ds. zasobów. 2 kwietnia 2012 r. objął stanowisko zastępcy dowódcy Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie, by 19 grudnia 2012 r. zostać jego dowódcą. Ostatnio był dyrektorem Instytutu Strategii w Akademii Sztuki Wojennej. Obecnie wykładowca.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Sprawa Jolanty Lange vel Gontarczyk. Komu jeszcze należy odebrać medale?

Pod koniec swojej prezydentury Andrzej Duda postanowił pozbawić odznaczenia Jolantę Lange vel Gontarczyk. Jej historia, włącznie z otrzymaniem medalu od Aleksandra Kwaśniewskiego, pokazuje, jak niegodne osoby w przeszłości bywały nobilitowane przez postkomunistyczne elity. A takich przypadków jest znacznie więcej

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

30 lipca br. Kancelaria Prezydenta poinformowała na portalu X, że Andrzej Duda podjął decyzję o odebraniu Srebrnego Krzyża Zasługi Jolancie Lange (wówczas Gontarczyk). W oświadczeniu wskazano, że odznaczenie cofnięto z powodu „czynu niegodnego odznaczenia". Decyzja została podjęta w następstwie petycji, w której wykazano, że w latach 1977–1990 Jolanta Lange „aktywnie współpracowała z aparatem represji państwa komunistycznego".

Autor pisma, publicysta Piotr Woyciechowski, podkreślił, że Lange odegrała istotną rolę w operacji SB wymierzonej w ks. Franciszka Blachnickiego, która zakończyła się śmiercią tego kapłana i opozycjonisty w 1987 r. w RFN. W opinii autora bez informacji przekazywanych przez Lange o stanie zdrowia i miejscu pobytu kapłana służby PRL nie byłyby w stanie zaplanować jego otrucia. „Nie godzi się, aby państwo polskie z jednej strony honorowało najwyższymi orderami ofiary totalitarnego systemu, jak miało to miejsce w przypadku nadania przez Pana Prezydenta pośmiertnie ks. Franciszkowi Blachnickiemu Orderu Orła Białego, a z drugiej strony przedstawiciele tego samego państwa nadawali odznaczenia funkcjonariuszom systemu komunistycznego, którzy swoją niegodziwą działalnością przyczynili się lub mogli się przyczynić do śmierci tychże ofiar, jak ma to miejsce w przypadku Jolanty Lange vel Gontarczyk" – napisał Woyciechowski.

GONTARCZYKOWIE KONTRA KS. BLACHNICKI

Jolanta Lange urodziła się w 1949 r. w Łodzi. Z wykształcenia jest socjologiem, doktoryzowała się w Instytucie Badań Pedagogicznych w Warszawie i publikowała m.in. w tygodniku „Odgłosy". Przed wprowadzeniem stanu wojennego należała do Solidarności. Jej mąż Andrzej Gontarczyk kierował łódzkimi kinami i pracował w branży kulturalnej. Małżeństwo wyjechało do RFN 6 września 1982 r., korzystając z programu łączenia rodzin – pretekstem była mieszkająca tam krewna Jolanty. Po przyjeździe do Niemiec szybko otrzymali niemieckie obywatelstwo. W 1984 r. zaangażowali się w działalność Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów prowadzonej przez ks. Franciszka Blachnickiego w Carlsbergu. Po latach ujawniono, że oboje byli tajnymi współpracownikami SB, a ich rzeczywistym celem od początku była inwigilacja otoczenia duchownego.

Ks. Franciszek Blachnicki urodził się 1921 r. w Rybniku. Jako młodzieniec działał w harcerstwie, a we wrześniu 1939 r. walczył w wojnie obronnej przeciwko Niemcom. Po ucieczce z niewoli podjął działalność konspiracyjną w rodzinnych Tarnowskich Górach. W 1940 r. został aresztowany przez gestapo i wywieziony do KL Auschwitz, gdzie otrzymał numer obozowy 1201. Spędził tam ok. 14 miesięcy, z czego większość w kompanii karnej.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Następnie Blachnicki opuścił obóz i w marcu 1942 r. został skazany przez Niemców na karę śmierci. Podczas pobytu w celi śmierci doświadczył nawrócenia. Dzięki interwencji rodziny wyrok zamieniono na dziesięcioletnie więzienie. Do końca wojny przebywał w różnych obozach i więzieniach III Rzeszy, w tym w Zwickau i Flossenbürg, aż został wyzwolony w kwietniu 1945 r. Z takim bagażem doświadczeń po wojnie wstąpił do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie i w 1950 r. przyjął święcenia kapłańskie.

Ks. Franciszek Blachnicki był jednym z najważniejszych duchownych Kościoła katolickiego w okresie PRL. Obok postaci, takich jak kard. Karol Wojtyła, prymas Stefan Wyszyński czy ks. Jerzy Popiełuszko przyczynił się do odbudowy polskiego życia religijnego po II wojnie światowej. Młodość i dramatyczne doświadczenia okupacyjne ukształtowały duchowość przyszłego kapłana, który resztę życia poświęcił posłudze i formacji katolickiej. Szczególną uwagę poświęcił walce z plagą alkoholizmu, inicjując Krucjatę Wstrzemięźliwości, a jego największym dziełem był ruch oazowy znany jako Ruch Światło–Życie. Rozpoczęte w latach 60. piętnastodniowe rekolekcje dla dzieci, młodzieży i dorosłych rozwinęły się w ogólnopolski ruch odnowy religijnej, którego centrum stał się dom w Krościenku nad Dunajcem, kupiony w 1964 r. W latach 1964–1989 w oazach uczestniczyło ok. 2 mln osób.

Ks. Blachnicki przez całe dekady był inwigilowany i represjonowany przez władze komunistyczne, które dostrzegały w nim zagrożenie dla monopolu państwa na wychowanie młodzieży. W 1961 r. został skazany na karę więzienia w zawieszeniu. Szykanowano go, przesłuchiwano, ograniczano działalność duszpasterską.

Gdy w grudniu 1981 r. w Polsce ogłoszono stan wojenny, przebywał w Niemczech, w drodze do Rzymu. Jako osoba poszukiwana listem gończym nie mógł wrócić do kraju i osiadł w Carlsbergu, w ośrodku polskim Marianum, gdzie założył Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji Ruchu Światło–Życie oraz Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów „Prawda–Krzyż–Wyzwolenie". Komunistyczne władze PRL cały czas uważały go za groźnego wroga ideologicznego – z tego powodu wywiad cywilny, czyli Departament I MSW, wysłał do Carlsberga parę agentów: małżeństwo Gontarczyków.

Jolanta Lange vel Gontarczyk w latach 1977–1990 współpracowała z aparatem represji państwa komunistycznego

NISZCZENIE EMIGRACJI, ŚMIERĆ DUCHOWNEGO

Jolanta Gontarczyk została zwerbowana przez Służbę Bezpieczeństwa w Łodzi w 1977 r. jako tajny współpracownik o pseudonimie Panna. Jej mąż Andrzej od 1974 r. działał pod pseudonimem Yon. Od 1982 r. oboje współpracowali z Departamentem I MSW PRL zajmującym się wywiadem. Ich głównym zadaniem było przeniknięcie do opozycyjnych środowisk emigracyjnych, w szczególności skupionych wokół Kościoła katolickiego. Po odpowiednim przeszkoleniu zostali wysłani do Niemiec. Realizując zadania wywiadowcze, Gontarczykowie zaangażowali się w działalność ośrodka Marianum w Carlsbergu i bardzo szybko zaczęli odgrywać tam ważne role. Jolanta została prezesem stowarzyszenia i pisała do jego periodyku „Prawda Krzyż Wyzwolenie", a Andrzej pełnił funkcję osobistego doradcy księdza.

Pod pozorem zaangażowania w duszpasterstwo emigracyjne inwigilowali ks. Franciszka Blachnickiego, dostarczając SB raporty na temat działalności Kościoła i opozycji.

Z czasem w Chrześcijańskiej Służbie Wyzwolenia Narodów kierowanej przez Jolantę Gontarczyk zaczęły narastać napięcia. Współpracownicy ks. Blachnickiego alarmowali, że działalność stowarzyszenia słabnie, a jego struktury popadają w chaos. Pomimo pojawiających się ostrzeżeń, duchowny wciąż darzył Gontarczyków zaufaniem. Sytuacja zmieniła się, gdy Solidarność Walcząca zdobyła informacje potwierdzające ich działalność agenturalną. 26 lutego 1987 r., dzień przed swoją śmiercią, ks. Blachnicki powiedział w zaufaniu Zuzannie Podlewskiej i Grażynie Sobieraj, że Gontarczykowie prowadzili krecią robotę i odpowiadają za doprowadzenie do ruiny drukarni oraz wydawnictwa, co później potwierdziło niemieckie śledztwo.

Następnego dnia, 27 lutego 1987 r., rano doszło do rozmowy między ks. Blachnickim a Andrzejem Gontarczykiem na terenie drukarni. Według relacji świadków miała ona burzliwy przebieg. Kilka godzin później duchowny nagle zmarł. Jako oficjalną przyczynę śmierci podano zator płucny, jednak już wtedy pojawiły się podejrzenia, że został otruty.

Fot. YouTube/Forum Odpowiedzialnego Biznesu

eprasa.pl 40dc1e51fc

ZA WYBITNE ZASŁUGI SPOŁECZNE

Po nagłej śmierci ks. Franciszka Blachnickiego Gontarczykowie pozostali w Carlsbergu jeszcze przez rok. Wrócili do Polski w 1988 r., po tym, jak skierowano wobec nich oskarżenia o działalność agenturalną i dezintegrację środowiska emigracyjnego. Po transformacji ustrojowej w 1989 r. Jolanta Gontarczyk zaangażowała się w działalność feministyczną.

W marcu 1997 r. została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego „za wybitne zasługi w działalności społecznej". Była wówczas ściśle związana z kręgami politycznymi SLD. Pracowała m.in. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji kierowanym przez Krzysztofa Janika. W tamtym czasie jej przeszłość jako agentki Służby Bezpieczeństwa PRL nie była jeszcze znana opinii publicznej. Dopiero późniejsze ujawnienie dokumentów i relacji świadków rzuciło nowe, kompromitujące światło na jej działalność.

DŁUGIE ŚLEDZTWO IPN

Po śmierci ks. Franciszek Blachnicki został pochowany na cmentarzu w Carlsbergu. W 2000 r. jego szczątki przeniesiono do Polski i złożono w kościele Chrystusa Dobrego Pasterza w Krościenku. Z czasem pojawiało się coraz więcej wątpliwości co do przyczyn jego nagłego zgonu. Śledztwo prowadzone przez IPN w latach 2001–2005 potwierdziło, że ksiądz był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa za pośrednictwem Jolanty i Andrzeja Gontarczyków. Istniały też przesłanki wskazujące, że mógł zostać otruty. Mimo to prowadząca sprawę prokurator Ewa Koj w 2006 r. odstąpiła od przesłuchania funkcjonariuszy SB zamieszanych bezpośrednio w inwigilację ks. Blachnickiego i umorzyła postępowanie z powodu braku wystarczających dowodów na popełnienie zbrodni.

Jolanta Lange (wówczas już po rozwodzie z Andrzejem Gontarczykiem) odeszła z ministerstwa z powodu informacji o jej agenturalnej przeszłości. Kontynuowała działalność publiczną już jako „społeczna" aktywistka związana z lewicą. Publicznie opowiadała się za legalizacją związków jednopłciowych oraz aborcją na życzenie. Kierowane przez nią stowarzyszenie Pro Humanum otrzymywało znaczące granty z budżetu m.st. Warszawy zarządzanego przez prezydenta Rafała Trzaskowskiego.

Choć przez lata krążyły pogłoski o możliwym otruciu ks. Blachnickiego i roli w tym Gontarczyków, brakowało twardych dowodów. Przełom nastąpił dopiero po wznowieniu postępowania przez IPN w 2020 r. 14 marca 2023 r. Instytut wydał komunikat, w którym potwierdził, że „śmierć ks. F. Blachnickiego nastąpiła na skutek zabójstwa poprzez podanie ofierze śmiertelnych substancji toksycznych". Rzecznik IPN dr Rafał Leśkiewicz zaznaczył jednak, że rola małżeństwa Gontarczyków „podlegać będzie dalszym badaniom, także historycznym" i nie można obecnie przesądzić o zakresie ich odpowiedzialności. Nie zmienia to faktu, że małżeństwo odgrywało kluczową rolę w rozpracowywaniu ks. Blachnickiego, a tylko dzięki zdobytym przez nich informacjom SB mogła zaplanować i zrealizować operację mającą na celu otrucie duchownego.

Niedługo po komunikacie IPN w mediach pojawiły się doniesienia, że Jolanta Lange miała opuścić Polskę i wyjechać do Nowej Zelandii. Szybko jednak postanowiła wrócić do kraju. W ostatnim czasie świadczyła usługi szkoleniowe m.in. dla Urzędu Miasta Krakowa pod kierownictwem prezydenta Aleksandra Miszalskiego.

> Tylko dzięki informacjom zdobytym przez małżeństwo Gontarczyków SB mogła zaplanować i zrealizować operację mającą na celu otrucie ks. Blachnickiego

ORDERY, KTÓRE TRZEBA ODEBRAĆ

Aleksander Kwaśniewski, poproszony przez Wirtualną Polskę o komentarz w sprawie odebrania odznaczenia, nie zamierzał bronić Jolanty Lange. „Rozumiem decyzję prezydenta Andrzeja Dudy. [...] Przyjmuję, że prezydent Duda miał informacje, których nikt z nas nie miał" – oświadczył były prezydent RP. Następnie podkreślił, że Srebrny Krzyż Zasługi to odznaczenie „niskiej rangi".

Przypadek Jolanty Lange nie jest odosobniony. Aleksander Kwaśniewski odznaczył wiele osób, które bez wątpienia nie zasługują na żadne państwowe ordery. Wśród odznaczonych Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski znalazł się chociażby Stanisław Supruniuk, który zaraz po wojnie był szefem powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa w Nisku i Krośnie, gdzie przesłuchiwał i torturował żołnierzy AK. Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski otrzymał z kolei były premier i I sekretarz KC PZPR Mieczysław Rakowski.

* * *

Uhonorowanie osób odpowiedzialnych za inwigilację, prześladowania, a nawet śmierć opozycjonistów stoi w sprzeczności z zasadą sprawiedliwości i rzetelnej pamięci historycznej. Sprawa Lange powinna być początkiem szerszej rewizji. Konieczne jest odebranie medali wszystkim, którzy uczestniczyli w tworzeniu i legitymizowaniu systemu komunistycznego. Problem sięga jednak głębiej. Do dziś wśród kawalerów najwyższych polskich odznaczeń znajdują się postacie, takie jak Bolesław Bierut czy nawet Józef Stalin. Obaj zostali odznaczeni orderami Virtuti Militari. Tego rodzaju absurdy wymagają nie tylko symbolicznego, lecz także systemowego uporządkowania.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Od lewej: Aleksander Dębicz i Jakub Józef Orliński

Klasyka i luz

Tym razem w „piknikowym anturażu", a jednocześnie w pięknych pałacowych okolicznościach zaprezentuje swój talent, koncept i osobowość jeden z najciekawszych artystów młodego pokolenia, łączący style i epoki. Kto taki? Jakub Józef Orliński

Fot. Alicja Lesiak

eprasa.pl 40dc1e51fc

SIECI K

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Jakub Józef Orliński i Aleksander Dębicz na tle Pałacu Bielińskich

Śpiewak operowy i breakdancer, 35-letni dziś „Justin Timberlake opery" za chwilę zaprezentuje efekt swoich najnowszych działań. Stworzony w artystycznym duecie Break in Classic 2025.

NAD JEZIOREM ROKOLA

Trzydniowy festiwal (15–17 sierpnia) ma połączyć muzykę klasyczną, nowoczesną estetykę i unikalną przestrzeń barokowego pałacu nad jeziorem Rokola. Muzeum Wnętrz w Otwocku Wielkim (oddział MNW) to jedna z najbardziej malowniczych i, jak się okazuje, bardzo inspirujących lokalizacji w regionie. Nie bez powodu właśnie tu zawitali światowej sławy kontratenor Jakub Józef Orliński oraz innowacyjny pianista i kompozytor Aleksander Dębicz. Jako dyrektorzy artystyczni stworzyli program, który „redefiniuje doświadczenie muzyki klasycznej".

„Kiedy pierwszy raz trafiliśmy do tego miejsca, pomyśleliśmy: »Wow! Taka bajkowa przestrzeń, a wciąż nieodkryta przez tak wielu!. A przecież to tak blisko Warszawy«" – pisali w mediach społecznościowych, dodając: „Brakowało nam wydarzenia, na którym łączą się nasze ulubione zjawiska: piękno i głębia klasyki z bezpretensjonalnym luzem i zabawą innymi gatunkami muzycznymi".

POŁĄCZYĆ SPRZECZNOŚCI

To ostatnie zdanie wydaje się kluczem do artystycznego i medialnego sukcesu, jaki na międzynarodowej arenie odnosi Jakub Józef Orliński, który spina sfery pozornie nie do zespolenia. Mówi: – Na początku w pewnym sensie wiodłem podwójne życie: śpiewaka operowego kontratenora i tancerza breakera, a potem to się w końcu połączyło.

Nie boi się różnych doświadczeń i odnajduje w nieoczywistych przestrzeniach. Zarówno na scenie operowej, modowym wybiegu, przed pojedynczą kamerą, gdzie prezentuje się jako b-boy, czy na stadionie w Paryżu, gdzie swoim niesamowicie wysokim głosem zachwycił podczas inauguracji igrzysk.

Nim jednak „The Telegraph" uznał go za jednego z dziesięciu najbardziej czarujących artystów operowych świata, a „The New Yorker" nazywał „Justinem Timberlake'em opery", Jakub Józef Orliński musiał znaleźć własną drogę.

NA WIELU POLACH

Urodzony w Warszawie dorastał otoczony doświadczeniami dziadków architektów i rodziców grafików. Jako chłopiec śpiewał w chórze Gregorianum i uczęszczał do liceum plastycznego. Został absolwentem (w klasie śpiewu) Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie (w czasie studiów często występował w spektaklach organizowanych przez UMFC i Akademię Teatralną). Kształcił się też w nowojorskiej Juilliard School. Równolegle odnosił sukcesy w break dance. Występował również w reklamach i kampaniach znanych marek i koncernów – jako tancerz, model i akrobata.

W debiutanckim albumie „Anima Sacra" (2018) sięgnął do XVIII-wiecznych arii religijnych. Na drugą płytę („Facce d'amore", 2019) wybrał barokowe utwory miłosne, by w „Anima æterna" (2021) wrócić do XVIII-wiecznej muzyki sakralnej. W sumie wydał kilka płyt („Farewells" z 2022 r. to polska liryka wokalna), także w duetach oraz występując gościnnie. Od początku kariery nie zaniedbywał zbierania doświadczeń na różnych scenach operowych. W grudniu 2021 r. zadebiutował na deskach Metropolitan Opera. Występował też w nowojorskiej Carnegie Hall.

WOLNOŚĆ I ZASADY

Jak mówi, w muzyce, którą przede wszystkim wykonuje, inspiruje go, możliwość podejmowania licznych wyborów, wolność artystyczna przy jednoczesnej konieczności przestrzegania wielu zasad stylu barokowego. Jednocześnie potrafi czerpać z walorów innych epok i stylów. Widać to również w nowym koncepcie.

Zdaniem pomysłodawców Break in Classic to „festiwal w piknikowym anturażu". „Było dla nas ważne, żeby tak jak w karierze artysty powoli iść szczeblami do góry, żeby nie zaplanować zbyt wielu rzeczy, które później mogły nam nie wyjść, ale jednocześnie chcieliśmy zrobić z tego dość duże przedsięwzięcie. Mamy trzydniowy festiwal i osiem koncertów".

RÓŻNE RZECZY

Orliński zdradza, że ludzie często go pytają, dlaczego robi „programy z tak starą muzyką – nie dość, że barokową, to kompozytorów, których nikt nie zna". „Traktuję moją publiczność jako bardzo inteligentnych ludzi, ale też nie wymagam od nich, żeby się przygotowali i czytali na temat mojej twórczości. Ja to wiem, ale oni nie muszą. Ważne jest przeżycie i to, że są ze mną w tym momencie i możemy tego razem doświadczyć" – mówił w rozmowie z PAP.

Eksperymentalna forma nowego festiwalu ma nawiązać do takich projektów muzyki rozrywkowej, jak Męskie Granie, Orange Warsaw Festival czy Open'er. Orliński uważa, że choć te światy wydają się sobie odległe, można w nich znaleźć pewne podobieństwa. „Nie od dziś ludzie nazywają mnie Justinem Timberlake'em opery" – mówi. „Takie powiązanie przychodzi na myśl, bo on również używa techniki falsetowej i jest kontratenorem, tylko że w muzyce popularnej. To porównanie nie jest złe, choć robimy zupełnie inne rzeczy".

Fot. Alicja Lesiak

eprasa.pl 40dc1e51fc

Ludzki Sokrates

Sokrates widziany oczami Ksenofonta jest równie wiarygodny jak ten u Platona. To nie tyle ojciec europejskiej metafizyki i teorii idei, ile filozof, człowiek „dobry i szczęśliwy”

MACIEJ WALASZCZYK

Nowy przekład tego klasycznego dzieła autorstwa dr Doroty Tymury, opatrzony jej obszernym komentarzem, jest dziełem imponującym. To świetna wprawka do lektury Platońskich dialogów, dająca nam obraz Sokratesa widzianego oczami Ksenofonta, a także oświetlająca samego autora. Jego spuścizna zachowała się w całości, a Teologia Polityczna czyni wiele, by udostępnić nowe i współczesne tłumaczenia jego dzieł. Po „Ekonomiku”, „Uczcie” i „Obronie Sokratesa” nadszedł czas na apologetyczne „Wspomnienia o Sokratesie”.

Ksenofont to grecki konserwatysta, człowiek czynu, ateński arystokrata, zwolennik rządów monarchicznych, który skalał się udziałem w brutalnych rządach trzydziestu tyranów. Z powołania żołnierz parający się sztuką wojenną, z jednej strony zapatrzony we wzorce spartańskie, a nawet perskie, i znajdujący się bezpośrednio pod wpływem wielkich przywódców – Cyrusa i Agesilaosa, a z drugiej – człowiek potrafiący oddać się teoretycznym dociekaniom pod okiem samego Sokratesa. Nie był jednak filozofem, ale w jakiś sposób świadkiem życia mistrza, choć do dziś potrafi zaskoczyć refleksją, zdolnością obserwacji i opisu. Człowiek, który rzeczywiście musiał – wbrew niedowiarkom – znaleźć się w kręgu oddziaływania „bosonogiego mędrca o szpetnym obliczu” i przez dziesięć lat być jego uczniem. „Wspomnienia” należą do tzw. pism sokratejskich, a sam Ksenofont wyłania się z nich jako jeden z sokratyków, pilnie podążających za swoim nauczycielem w poszukiwaniu „najlepszej drogi życia”.

Dlatego Sokrates Ksenofonta również nie jest filozofem, a dokładnie metafizykiem, a więc w takim ujęciu, w jakim przekazał nam o nim wiedzę Platon. Prof. Ryszard Legutko zwraca uwagę, że doliczono się aż 17 różnic między Sokratesem Platona a tym wspominanym przez Ksenofonta. Według niego najistotniejsze mówią o tym, że ten Ksenofonta nie korzysta z ironii, to znaczy jest mędrcem, który wciągając swych rozmówców w dialog, wprost komunikuje im swoje prawdy. Wskazuje błędy i słuszną drogę, ale rzadko prowadzi ich przez gąszcz sprzeczności, nie ośmiesza, by dopiero na końcu wyprowadzić do miejsca, gdzie znajduje się prawda. Ważna jest u niego także pozaracjonalna sztuka wieszczenia, z której czasem trzeba korzystać przy rządzeniu „domem i państwem.” Bo Sokrates Ksenofonta to nie tyle outsider, wiecznie nieusatysfakcjonowany ze swoich ustaleń i dociekliwy teoretyk, ile przede wszystkim wybitny przedstawiciel ateńskiej społeczności, niesłusznie skazany na śmierć, które to przyczyny znakomicie wykłada w swoim komentarzu autorka przekładu. To splot intryg, nieporozumień, zawiści, a także obaw o niezrozumiałe dla Aten pośrednictwo daimoniona, z którego korzystał w kontaktach z Bogiem. To, jak się okazuje, wywoływało niepokój i było odczytywane jako omijanie tradycyjnych instytucji religijnych, których m.in. osłabienia szczególnie obawiano się po przegranej wojnie peloponeskiej.

U Ksenofonta Sokrates to filozof praktyk, dla którego najważniejszym zadaniem jest spędzanie każdego dnia w najbardziej zatłoczonych miejscach publicznych miasta i swobodne prowadzenie dyskusji, podczas których mógł rozprawiać o tym, czym jest pobożność, bezbożność, przyjaźń, piękno, brzydota, sprawiedliwość, rozsądek, męstwo czy tchórzostwo. To Sokrates zajmujący się przede wszystkim edukacją młodych Ateńczyków, których wybierał z wpływowych rodów, przygotowując ich do działalności publicznej. Chodziło mu o kształtowanie ich osobowości, panowania nad namiętnościami, ciałem i znajomości samych siebie. Opowiada o tym m.in. księga trzecia, w której Ksenofont relacjonuje sposób, w jaki Sokrates wspierał i ociosywał ambicje swych wychowanków. Np. dyskutując o stanowisku stratega, bardzo bolał nad tym, że awans w armii ateńskiej często uzyskują ludzie bez wiedzy i doświadczenia. Wszystkim adeptom polityki polecam w szczególności pedagogiczną rozmowę z Glaukonem. Sokrates nieustannie dążył więc do osiągnięcia celu, jaki stanowiła moralna odnowa ateńczyków, ale wyrok miasta był jednoznaczny: „Winny jest tej także zbrodni, że psuje młodzież”. Uprawianie filozofii okazuje się więc niebezpieczne. „Współcześnie również ma miejsce wojna między Filozofem a Politykiem, a polem jest współczesny Uniwersytet. Politycy nam go już niemal w całości odebrali” – twierdzi prof. Piotr Nowak.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Ksenofont, „Wspomnienia o Sokratesie”, Teologia Polityczna 2025

eprasa.pl 40dc1e51fc

HITY i KITY ZAREMBY

„Vinci 2", czyli o starzeniu się złodzieja

Ktoś napisał na Filmwebie, że „Vinci 2" jest najlepszym od lat filmem Juliusza Machulskiego, ale to niekoniecznie najlepiej świadczy o jego najnowszej twórczości. Jednak przez kilka tygodni komedia kryminalna 70-letniego reżysera miała niezłą oglądalność w kinach. Wciąż decyduje zaufanie do jednego z mistrzów kina rozrywkowego, a film zręcznie odwołuje się do prostych sentymentów

Nie byłem wielkim fanem filmu zatytułowanego „Vinci". Powstał ponad 20 lat temu (2004 r.), a ja prawie go nie pamiętałem. Musiałem go znaleźć w necie przed pójściem na sequel. Nie oznacza to bynajmniej niechęci do twórczości Machulskiego. Kilka jego ostatnich filmów mnie rozczarowało. Ale „Superprodukcję" z 2002 r. mogę oglądać w nieskończoność, wiele jej scen znam na pamięć.

Z pierwszym „Vincim" miałem kłopot. Po pierwsze, nie przepadam za cyniczną atmosferą filmu, w którym podążamy za sympatycznym złodziejem. Zarazem żmudne przygotowania do skoku na „Damę z łasiczką" z Muzeum Czartoryskich cokolwiek mnie nużyły.

Prawda, pewne filmowe napięcie budziła gra między dwójką głównych postaci. Profesjonalny amator rabunku obrazów „Cuma", grany przez Roberta Więckiewicza, wydawał się mieć oczywisty i właśnie cyniczny cel. Za to Julian zwany „Szerszeniem" w wykonaniu Borysa Szyca kierował się niejasnymi pobudkami. Zdawał się przeciwny samej kradzieży, uczestniczył w niej dla przyjaciela, na dokładkę pracował w policji.

To on skomplikował finał tak dalece, że rozładował wspomniany już cynizm swoim idealizmem. Ale poza tym mieliśmy ładne widoczki Krakowa i garść zręcznie podanych klisz. Co nawet nie jest zarzutem. Machulski również teraz, przy okazji kolejnej opowieści o wielkim skoku, ogłasza, że kino jest komercyjne albo nie ma go wcale.

„Vinci 2" długo się rozgrzewa. Oto żyjący na emeryturze w Hiszpanii, wzbogacony na poprzednich operacjach z kolejnymi „Damami z łasiczką", „Cuma" wraca do Krakowa, nagle ożywiony myślą o kolejnym skoku. Rzecz się komplikuje. Facet, który chciał go wynająć, postawił na młodych, za to sam „Cuma" wpada w korkociąg wspomnień i sentymentalnych spotkań. To znaczna część filmu. Mamy więc próbę pogodzenia przez złodzieja pary, która połączyła się przy okazji poprzedniej przygody: Juliana i jego żony Magdy (Kamilla Baar). Mamy powrót do dawnych znajomych, także policjantów (znakomici Łukasz Simlat i Marcin Dorociński). I mamy starzejącego się faceta, który odkrywa, że jego siły już nie te.

Dochodzi jednak do jego zmierzenia się z młodszymi – z wiadomym skutkiem. Nie jest to zbyt odkrywcze, ale momentami nawet sympatyczne i dobrze zagrane (notabene Więckiewicz jest tu także współautorem dialogów). Długo czekamy, czy tym razem może wygra jednak złodziejski cynizm czy idealizm postarzałego Juliana. Pozwólmy widowni zgadywać, ale powodów do niesmaku, że znowu przestępstwo popłaca, nie znalazłem.

Myślę, że ów klimat zabawy wspominkami oraz solidarności ze starszym w kontraście do aroganckiej młodości może być pewnym magnesem dla widzów. Machulski bawi się także detalami towarzyskimi. A to pokaże w hotelowym hallu krakowskiego piosenkarza Grzegorza Turnaua, a to obsadzi w roli samego siebie posła Petru. Mnie akurat średnio bierze ten snobistyczny wymiar filmu.

Ale doceniam, że zanurzony po uszy w wyższych sferach III RP rzemiecha kina unika podziałów i morałów, nie mądrzy się, nie politykuje w wiadomym duchu (co mu się zresztą zdarzało kilka razy). Opowiada bezproblemową historię, nie tak oryginalną jak jego najdawniejsze filmy czy choćby znakomita „Superprodukcja", ale która daje się oglądać bez przykrości.

Piotr Zaremba

Upadek guru masowego terroru

Do trzech razy sztuka. Pisałem tu o serialu „Maria Antonina" i o książce brytyjskiego eseisty Stephena Clarke'a „Rewolucja francuska... i co poszło nie tak". Teraz dla odmiany dzieło zawodowego historyka Colina Jonesa „Upadek Robespierre'a. Ostatnie 24 godziny Terroru". Tę sążnistą monografię sprzed czterech lat wydał Znak

Książka Clarke'a to opowieść o dziesiątkach lat, które doprowadziły do rewolucji. Niestety sam jej wymiar polityczny i społeczny został opisany mocno powierzchownie. Z kolei Brytyjczyk Jones napisał w swoim życiu i krótką, i dużą historię Francji, podjął się też nakreślenia dziejów samego Paryża. A „Upadek Robespierre'a" to fenomen. Na 545 stronach poznajemy wydarzenia z zaledwie 24 godzin. Bo 27 lipca 1794 r. –według kalendarza rewolucyjnego 9 thermidora – przesądził o losie człowieka, który był twórcą i teoretykiem wyjątkowo złowrogiej polityki rewolucyjnego terroru.

Jeszcze poprzedniej nocy zdawał się trząść Francją, a przede wszystkim Paryżem. Dzieje tej i następnych rewolucji to w dużej mierze historia stolicy, dominującej nad prowincją bardziej niż w innych krajach. Robespierre nie stał się jeszcze klasycznym dyktatorem, kierownictwo rewolucji było kolektywne. Ale szedł w tym kierunku.

Był sprawcą kolejnych krwawych czystek. Ale kiedy po raz kolejny ogłosił w Konwencie (rewolucyjny parlament), że odkrył spisek, doprowadził do mobilizacji rozmaitych wrogów, także kolegów z Komitetu Ocalenia Publicznego. Wszyscy oni mogli być następni. Rankiem 10 thermidora ten asceta nazywany „Nieprzekupnym" był już trupem.

Jones dokonał imponującej kompilacji kilkuset różnych opowieści, relacji, wspomnień czy zeznań. Pokazał mechanizm przewrotu z perspektywy masy różnych postaci, łącznie z przygodnymi obserwatorami i statystami. Chwilami czytelnik trochę nie panuje nad lekturą, niektóre zdarzenia się powtarzają, przewijają się dziesiątki nazwisk. Ale poza czasem groteskowymi, a czasem budzącymi grozę zdarzeniami dostajemy obszerne retrospekcje. Clarke nie poradził sobie z rewolucyjnymi realiami, Jones wychwycił je znakomicie. To imponujący zbiorowy portret epoki.

W tym portret Robespierre'a. On sam jest pokazywany z tak wielu perspektyw, że chwilami gubimy się w jego finalnej ocenie. A jednak ona następuje. „Jakim cudem Robespierre, który postulował »despotyzm wolności nad tyranią«, sam skończył jako tyran?" – pyta autor. Dostajemy przeraźliwą opowieść o więźniu zbudowanej przez siebie doktryny. Abstrakcyjne szczęście ludu miało być osiągnięte kosztem ofiar – najpierw „kontrrewolucjonistów" (łatwo było zostać zaliczonym do tego grona), potem dzieci rewolucji, także ludzi z ludu. To znamienna nauka.

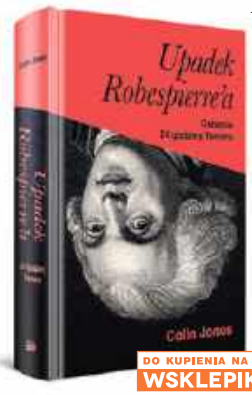

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

STEPHEN KING OFIARĄ POLARYZACJI

Nowa powieść „Nie wymiękaj" jest reklamowana jako jedno z najlepszych dzieł amerykańskiego mistrza horroru Stephena Kinga. Ja z trudem dobrnąłem do końca. A zawsze byłem amatorem jego twórczości

Kinga czytałem od lat 90., nie omijając żadnego tytułu. Bo lubię dobre horrory, a także dlatego, że poza straszeniem ten pisarz ciekawie opowiadał o świecie. Co zresztą potęgowało grozę, skoro wyłaniała się z inteligentnie podpatrywanego amerykańskiego życia. Naturalnie od dawna dawał wyraz progresywnym sympatiom, ale ludzie bywali opisywani przez niego wiarygodnie.

Z biegiem czasu ponad duchy, wampiry, demony i metafizyczne tajemnice preferował kryminały. Upiorne postaci z zaświatów zastępowali groźni psychopaci. Zarazem coś się psuło, jego powieści stawały się coraz dłuższe, przeładowane gadulstwem i ideowo-politycznymi pouczeniami. Ukoronowaniem tej tendencji jest „Nie wymiękaj".

Jednym wątkiem jest tu aktywność seryjnego mordercy, który kieruje się przedziwnymi motywami, dokonując czegoś w rodzaju zastępczej zemsty. W drugim wątku mamy objeżdżającą kraj radykalną feministkę domagającą się nieograniczonego prawa do aborcji, na którą poluje szalona chrześcijanka lub chrześcijanin (postać o rozdwojonej jaźni). Oba wątki spaja Holly Gibney, prywatna detektyw znana z powieści „Pan Mercedes".

Przeciwnicy aborcji są przedstawieni jako złowrogie, odczłowieczone plemię, feministka (przy pewnych wadach) – jako cenna wartość Ameryki. Z kolei pierwszy wątek, mniej zideologizowany, musi zahaczyć o prokuratora preparującego dowody. W gabinecie ma wspólną fotkę z J.D. Vance'em. Obie historie splatają się w burzliwym finale. Zupełnie jak w „Panu Mercedesie", czarni i kobiety są rycerzami dobrych spraw. Białych mężczyzn znosi na ogół ku złemu.

Mamy pojedyncze dobrze podpatrzone sytuacje, strzępy dawnych Kingowych dialogów. Całość wydała mi się jednak mniej ciekawą historią, a bardziej ilustracją przewidywalnego fanatyzmu liberalnej elity. Sędziwy dziś King wojuje z Trumpem i zdaje się, że to zajmuje go najbardziej. Smutne.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

3 MIŁOŚCI

Człowiek rytuału

ROBERT TEKIELI

Oświecenie narzuciło nam wizję średniowiecza jako wieków ciemnych. Smętna, oświecona manipulacja. To właśnie wtedy kultura europejska była integralna. Dzisiaj uśmiechnięci z wielkich korporacji, mieszkańcy Wilanowa i Jagodna, inteligenci, ludzie aspirujący i bez poczucia własnej wartości, chodzą na imprezy, gdzie zagubiona, ocierająca się o rozpacz mentorka w średnim wieku przywołuje bóstwo z Bali. A oni zachwyceni przytulają się i śpiewają: „Hala hula muna lupa". Innego dnia szukają wewnętrznego ładu u mieszkańców wysp szczęśliwych, u buddystów czy Aborygenów. Wcześniej mieliśmy XIX-wieczną chłopomanię. Polscy inteligenci szukali integralności u polskich górali... I ten baca – czemu tak ich fascynował? Bo baca jest integralny.

Inteligent, uśmiechnięty, wykształcony z dużego miasta żyje albo jutro albo wczoraj. Ucieka w marzenia lub rozpamiętuje przeszłość. A baca siedzi, gdzie siedzi, jest tym, kim jest i jest mu z tym dobrze. Aborygen także.

Mieszkamy na ziemi jałowej, na ziemi Ulro. Od czasów renesansu wyobraźnia człowieka Zachodu jest przeciwstawiana rozumowi. U inteligenta rozum kłóci się z sercem, a u bacy nie. Trwa kryzys zachodniej kultury. Nowożytność się skończyła, a nie wiemy, czy coś nowego się rozpoczęło, czy tylko żyjemy wśród ruin i śmieci.

Widzimy skutki przejęcia europejskiej kultury przez intelektualistów z rąk mnichów. Z głównego nurtu kultury Zachodu wyparto chrześcijaństwo. Współczesny człowiek tęskni za transcendencją, ludzie szukają egzotycznych duchowości. Ale politeistyczne religie przeniesione do Europy przestają być religiami. Hinduistą nie można zostać, trzeba się nim urodzić. A eksperymenty z odartymi z kontekstu tradycji zsekularyzowanymi wierzeniami, manipulowanie nimi, sprowadzanie religii do technik kończy się ich satanizacją. Stąd tyle uzależnień duchowych i zniewoleń przejawiających się współczesną pandemią depresji, smutku i rozpaczy. Kultem psychotropów.

Na Zachodzie królują dziś ruchy psychomanipulacyjne, sekty, toksyczne duchowości, subkultury, style życia i ideologie. A nad tym wszystkim krąży widmo coraz mniej pluszowego, liberalno-hedonistycznego neomarksistowskiego totalitaryzmu. Mówiąc poetyckim skrótem: ogród koncentracyjny.

Nasza cywilizacja powstała z chęci dzielenia się odkrywaną prawdą, zdolnością panowania nad przyrodą i z potrzeby ewangelizacji. Pisząc to, mam przed oczyma cystersów, którzy dali nam rzemiosło, huty. A my żyjemy dziś w kalekiej wyobraźni. Co zostawiło oświecenie? Deizm z jego trucizną: dziwny, pusty, przerażający kosmos nakręcony przez demiurga, który porzucił świat.

Na Zachodzie królują dziś ruchy psychomanipulacyjne, sekty, toksyczne duchowości, subkultury, style życia i ideologie. A nad tym wszystkim krąży widmo coraz już mniej pluszowego, liberalno-hedonistycznego neomarksistowskiego totalitaryzmu. Mówiąc poetyckim skrótem: ogród koncentracyjny. Czym mamy się przed tym bronić?

Kultura jest martwa, w popkulturze ukryta jest trucizna. Kultura hierarchizowana przez intelektualistów, a nie przez mnichów, została wytrzebiona ze swej istoty. Dziś kultura jest antykulturą, kontrkulturą, akulturą, bo przestała być miejscem bezpiecznym. Co się kultywuje? Uprawia się to, co jest dobre. Transgresje, dekonstrukcje mają za cel niszczenie, kwestionowanie, zatruwanie tego dobra.

W czasach baroku człowiek zaczął gadać, bo przestał mówić. Boi się pustej przestrzeni, boi się ciszy. Człowiek współczesny boi się rzeczywistości, boi się zostać sam na sam ze sobą. Nakłada słuchawki, kompulsywnie biega, przed oczyma ciągle migają mu obrazy. Uruchamia chemię neurotransmiterów, używa wewnętrznych dopalaczy. Ucieka. Ucieka przed pustką. De Sade mu mówi: zdobycie setnej kobiety nie cieszy. Patrząc na bacę, widzi swoje rozedrganie. Patrząc w lustro, widzi człowieka, który nie ma pojęcia, kim jest, po co jest na tym świecie, co nadaje życiu sens. Szuka. Jest jednak obezwładniony przez światłe myślenie. Gdzie są początki końca Zachodu? W renesansie. Zobaczmy to w rysunkowym skrócie.

Człowiek witruwiański Leonarda da Vinci ma być symbolem połączenia sztuki z nauką. Leonardo sportretował samego siebie. Przedstawiony na słynnym rysunku mężczyzna stoi w dwóch pozycjach. W pierwszej, wpisanej w kwadrat, ma złączone nogi i ręce wyciągnięte poziomo. Na środku kwadratu znajdują się genitalia. W drugiej stoi w rozkroku i ma uniesione ramiona. Tę postać wpisano w koło, którego środkiem jest pępek. Bogiem twoim brzuch. I genitalia. Humanizm i hedonizm. Człowiek w miejsce Boga. Odrzucenie wiary. A człowiek rytuału miarę rzeczy ma w sobie, bo ma Boga.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Nowożytną kulturę zabija też herezja estetyzmu. Intelektualiści oderwali dzieło od twórcy.

Kiedyś zamówiłem tekst o związkach sztuki z życiem. Traktował o Susan Sontag. Była charakteropatką i uciekała od emocji, których nie rozumiała. Miała iluś facetów czy kobiet, zmarnowane dzieci. To odcisnęło się na jej twórczości w sposób zasadniczy. Okazało się, że nie wolno o tym pisać. Nie udało mi się obronić autorki tekstu przed wyrzuceniem z redakcji po interwencji możnego, prawicowego intelektualisty. Ma być cisza nad grzechami. A przecież najsilniejszym tekstem, jaki tworzy człowiek, jest jego życie. Zgodność tego, co się mówi z tym, co robi. Rembrandt był taki, jak jego obrazy. Szekspir był taki, jak jego sztuka. Jan Jakub Rousseau oddał swoje liczne dzieci do przytułku. Po gnostycku uważał, że nie grzeszy, bo poświęca się dla ludzkości. Intelektualiści...

Ludzie zarządzający zachodnią kulturą od 400 lat to dzieciaki w krótkich spodenkach, szurające nóżką przy tablicy, zalecający się swą inteligencją i erudycją do wszystkich. A współczesna kultura to opakowane w karmel odchody. Szekspir natomiast zmienia życie ludzi. I cudem jest dla mnie, że chrześcijaństwo wchłonęło grecką sztukę. Że zinternalizowało katharsis. Z greckiej tragedii widz wychodzi oczyszczony.

Współczesny człowiek Zachodu został ponadto okradziony z mocy rytuału. Przeżywania czasu w nadającej mu sens strukturze. Potęga góralskiego śpiewu z pełnego gardła na mszy w małym drewnianym kościółku. Przepalone gardła, szczerość żalu za popełnione właśnie grzechy. Mamy słowa życia wiecznego i dlatego z taką bezczelną pewnością mówię: samotność jest absurdem. Nie skazuj się na samotność. Smutek zabija duszę, nie skazuj się na smutek.

Noce w dalszym ciągu są ciepłe, ale każdy kolejny sierpniowy dzień jest krótszy od najdłuższego, czerwcowego. W moim ogrodzie głośno tyka kosmiczny zegar. Na blaszany dach szopy sąsiada ze stojącego nad nim dębu zaczęły już jak co roku spadać żołędzie. Za nami pełnia lata, za nami „bób, czereśnie jednocześnie". Od teraz „zimę z lasu wywołują spadające żołędzie".

Patrzę na przemawiającego nowego prezydenta. Mordor przegrał tę rundę. Patrzę też na zbawcę uśmiechniętych, który stał się pionkiem do wymiany.

Nigdy nie istniał problem Tuska. Od 1871 r. istnieje problem niemiecki. Tak jak wcześniej istniał problem pruski i ruski, który doprowadził nas do rozbiorów. Od 1871 r. niezmienną polityką Berlina jest Kulturkampf, wojna z Kościołem katolickim oraz germanizacja, a kiedy się da, również eksterminacja Polaków. Czy będą to hasła Mittelleuropy, czy Drang nach Osten, czy w Niemczech będą rządzić środowiska chadeckie, liberalne, socjalistyczne, marksistowskie czy narodowosocjalistyczne, istota tego konfliktu się nie zmienia. Suwerenna Polska to koniec niemieckich marzeń o imperium. Niemiecki nacjonalizm ma wiele twarzy. Niemieckie, niczym nieuprawnione poczucie wyższości jest stałe. I niedojrzałość narodu niemieckiego sprawiająca, że miota się on w swej historii od ściany do ściany. Kto dziś okupuje Europę? Barbarzyńca wewnętrzny woła do barbarzyńcy zewnętrznego: herzlich willkommen.

Mniej czy bardziej rychłe odejście Tuska co do zasady niczego nie zmieni. Naszym sąsiadem w dalszym ciągu będzie trzy-, czterokrotnie od nas większe państwo, które od 15 dekad prowadzi politykę wynaradawiania, a jak się da, mordowania polskich elit, deprawowania mas, drenażu mózgów, łowienia specjalistów, kreowania kompradorskich podróbek elit.

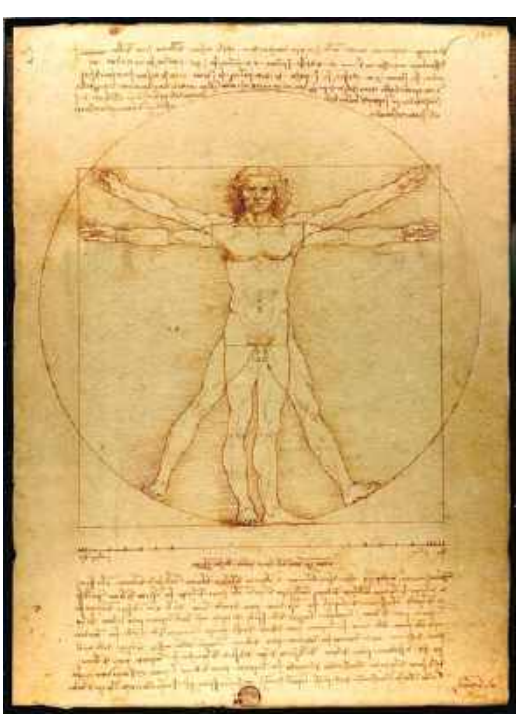

Fot. Gallerie dell'Accademia

Polska tożsamość, jak ją określamy, poczynając od Wincentego Kadłubka, była budowana w sprzeciwie wobec imperatorów, którzy rościli sobie prawo do władzy nad sąsiadami. Syndykat i *christianitas*. W swej istocie istnieją tylko dwa ujęcia rzeczywistości: wola mocy od Empedoklesa przez Nietzschego po magię i dzisiejsze ideologie oraz drugie – bezinteresowne szukanie prawdy umysłem i sercem. Tak, jak to robił grecki teatr, filozofia niezainteresowana przekształcaniem świata, prawdziwa nowożytna nauka wymagająca dowodu. Uniwersalia.

Naszą tradycją jest przeciwstawianie się imperialnej pysze panowania nad innymi. Obyśmy więc szukali ratunku na drodze prawdziwej pokuty i narodowego nawrócenia, a nie wchodzili w utarte koleiny, jak ta mesjańska, chyba najbardziej zwodnicza.

Idea polskości zawsze była bowiem uniwersalna, antyimperialna. Mickiewicz i jego „bracia" byli tak przytłoczeni potęgą Rosji, że uznali, iż narzędziem do wyzwolenia Polski jest mesjanizm, będący kalką idei „świętej Rusi".

A z zachodu ciąży duch niemiecki. Luter, Hegel, Engels, szkoła frankfurcka, postmoderniści. Chrześcijanie stąpają po twardym gruncie. Intelektualnym i duchowym. Bazujemy na fundamencie Objawienia. Nowożytni usuwają język Objawienia z kultury. Każdy człowiek na własny rachunek musi rozwiązać dylemat: jeśli Jezus Chrystus nie był Bogiem, był szaleńcem.

Siła polskości w duchowym wysiłku. Być może znów będziemy zaczynali od zera. Jeśli po mającym się skończyć we wrześniu przeglądzie strategicznym w USA amerykańskie wojska zostaną ewakuowane z Polski, ze wschodniej flanki NATO, z dużym prawdopodobieństwem staniemy się państewkiem buforowym. Historia nie wybaczy tego całemu pokoleniu polskich polityków. Każdemu. Z nazwiska.

eprasa.pl 40dc1e51fc

Polska zasługuje na biometan

Z Arturem Zawiszą, prezesem Unii Producentów i Pracodawców Przemysłu Biogazowego i Biometanowego oraz byłym posłem, rozmawia Bartosz Życiński

Pierwszą ustawą, która trafi do podpisu prezydenta Karola Nawrockiego, będzie ustawa o zmianie ustawy o inwestycjach w zakresie elektrowni wiatrowych oraz niektórych innych ustaw. Dlaczego branża biogazu i biometanu, którą pan reprezentuje, jest tak bardzo zainteresowana tym dokumentem?

Artur Zawisza: Paradoks tkwi w tym, że ustawa ze swej nazwy dotyczy tylko energetyki wiatrowej i pod tym względem jest znana opinii publicznej. Zawiera jednak także bardzo ważne przepisy dotyczące wytwarzania biometanu, np. gazociągów bezpośrednich, i przede wszystkim systemu wsparcia dla dużych biometanowni, bez których inwestycje biometanowe staną w miejscu. Dlatego nie jest jednowymiarowa i musi być analizowana pod różnymi kątami.

Czy branża spodziewa się podpisu prezydenta? Ustawa zawiera nie tylko te wątki, lecz także przepisy dotyczące mrożenia cen energii, które budzą kontrowersje z punktu widzenia praworządności, bo zostały dopisane przez prorządowych senatorów dopiero na ostatnim odcinku legislacji senackiej zamiast w trybie konstytucyjnym.

Wiele wskazuje na to, że ustawa nie wejdzie w życie w pełnym kształcie. Żeby zrozumieć okoliczności, musimy spojrzeć na całokształt polityki energetycznej, zwanej przez niektórych klimatyczną, co budzi zrozumiałe spory. Otóż transformacja polskiej energetyki jest koniecznością, żeby zbudować korzystny dla społeczeństwa i gospodarki miks energetyczny bazujący na źródłach węglowych, gazowych, jądrowych i odnawialnych. Jednocześnie musimy zmodernizować sieć przesyłową, żeby przesyłanie energii do odbiorcy końcowego była stabilne. Nie można narazić Polaków na blackouty, czyli poważne awarie systemu elektroenergetycznego powodujące dłuższą przerwę w dostawie energii, jak niedawno na Półwyspie Iberyjskim. Z tego punktu widzenia optymalne dla niezawodności dystrybucji energii są stabilne i sterowalne źródła tejże energii. Źródła zarówno wysokoemisyjne (węgiel), średnioemisyjne (gaz) i niskoemisyjne (atom) oraz bezemisyjne (czyli tylko niektóre źródła odnawialne: biogaz z biometanem i energetyka wodna z geotermią).

Fot. Materiały prasowe

Na czym polega spór dotyczący ustawy?

Chodzi o to, czy prowadzimy politykę energetyczną, czy klimatyczną. W ramach transformacji energetycznej problematyczne są źródła

eprasa.pl 40dc1e51fc

niestabilne, jak energetyka słoneczna i wiatrowa (zarówno na lądzie, jak i na morzu). Gdyby do ceny energii z tych źródeł dodać koszty stabilizacji systemu elektroenergetycznego oraz niezbędnych magazynów energii, to najbardziej popularne źródła odnawialne przestają być tak tanie, za jakie bywają uważane. One nadal mają swoje zalety w postaci odnawialności, ale całkiem inaczej patrzymy na ich ekonomikę. Natomiast jeżeli punktem odniesienia jest polityka klimatyczna, to koszty społeczno-gospodarcze schodzą na drugi plan, bo głównym wyznacznikiem jest walka ze zmianami klimatu bez względu na bieżące koszty. Ta dyskusja toczy się na świecie (zwrot energetyczny prezydenta Trumpa), w Europie (lekka rewizja polityk klimatycznych w Unii Europejskiej na żądanie europejskiego przemysłu) i w Polsce (kampania prezydencka). U nas szczególnie charakterystyczne było, że zwycięzca wyborów krytykował tzw. Zielony Ład (rozumiany jako polityka klimatyczna, np. system ETS, plus zmiany we wspólnej polityce rolnej), a jego główny rywal nawet nie bronił kwestionowanych rozwiązań, ale błędnie oponował: „Zielonego Ładu już nie ma".

Co z tego wynika dla polskich wytwórców i konsumentów energii?

Jako Polacy powinniśmy iść swoją ścieżką rozwojową, chociaż uwzględniając trendy globalne i regulacje unijne oraz wydajność ekonomiczną. Zresztą nie możemy ulegać żadnej mitologii, także tej, że węgla wystarczy nam na następne 1000 lat. W ciągu przewidywalnej liczby pokoleń jego pokłady zostaną wyeksploatowane, a jego wydobycie już teraz z roku na rok staje się coraz droższe. Dlatego narodowa odpowiedzialność nakazuje nam modernizować energetykę i gazownictwo, żeby dzisiaj być gotowym na jutro. Jednak modernizacja musi optymalizować korzyści, nie może przerzucać ciężaru finansowego na konsumentów. Z tego punktu widzenia lepsza jest tania energia niż droga energia z punktowym i tymczasowym mrożeniem jej cen.

Czego oczekują od prezydenta wytwórcy energii elektrycznej i cieplnej z biogazu oraz przyszli wytwórcy biometanu?

Mamy zaufanie, iż podejmie on decyzję zgodną z polskim interesem narodowym. Swoją drogą, występujemy do prezydenta o konsultacje z branżą biogazowo-biometanową dotyczące tej specyficznej ustawy. Gdyby zdecydował się on zawetować całokształt ustawy ze względu na pomieszczenie w niej zgoła różnych wątków, w tym bardzo kontrowersyjnych, to naszą intencją jest wyjęcie biogazu i biometanu z bieżącego sporu politycznego. Tak zresztą bywało w poprzedniej i obecnej kadencji Sejmu. Specustawa o biogazowniach rolniczych autorstwa ówczesnego wiceministra rolnictwa i rozwoju wsi Janusza Kowalskiego była poparta przez posłów opozycji. Z kolei przepisy biometanowe autorstwa niedawnego wiceministra klimatu i środowiska Miłosza Motyki są popierane przez posłów obecnej opozycji. Ba, poseł Janusz Kowalski chwalił nawet aktualną nominację Motyki na ministra energii, co w naszych realiach politycznych jest rzadkością. Zresztą jako Unia Producentów i Pracodawców Przemysłu Biogazowego i Biometanowego (UPEBBI) przyznawaliśmy jednemu i drugiemu politykowi nagrody Ambasadora Biogazu podczas naszych kolejnych dorocznych konferencji Green Gas Poland.

Godny podziwu przykład zgody ponad podziałami, ale co miałoby z tego wynikać dla przepisów biometanowych?

Zacznijmy od tego, że są one bardzo ważne. Obecnie w Polsce nie ma ani jednej biometanowni przyłączonej do sieci gazowej, mimo iż w Europie zbliżamy się do 2 tys. instalacji biometanowych. A biometan to gaz pochodzący z bioodpadów, który ma właściwości identyczne z gazem ziemnym i może go zastępować w sieci gazowej. W naszym kraju wydobywamy kilka miliardów m^3 gazu ziemnego rocznie, a zużywamy od kilkunastu do 20 mld m^3. Tak więc większość gazu używanego w gospodarce narodowej (np. do produkcji nawozów) i gospodarstwach domowych (np. w kuchenkach gazowych) pochodzi z importu. Do wojny Rosji na Ukrainie był to gaz rosyjski, obecnie dominuje sprowadzany przez gazoport (gaz skroplony, tzw. LNG) i przez Rurę Bałtycką (wydobywany spod Morza Północnego). Obecny import jest bezpieczniejszy, ale to nadal jest import i ma swoją cenę. Optymalnym uzupełnieniem miksu gazowo-paliwowego byłby krajowy biometan, który ma tę dodatkową zaletę, że poprzez proces utylizacji bioodpadów redukuje się szkodliwe emisje do atmosfery, co pozwala na zdrowsze życie.

Jeżeli to takie pożyteczne, to dlaczego nie mamy tego biometanu?

Na tym etapie rozwoju inwestycji potrzebne są przepisy o systemie wsparcia dla dużych biometanowni. Bez nich procesy inwestycyjne staną w miejscu, a inwestorzy, zmrożeni brakiem niezbędnej legislacji, wycofają się. Dokładnie to nam grozi bez szybkiego uchwalenia przepisów biometanowych.

Czego więc UPEBBI oraz całe składające się z ośmiu głównych organizacji branżowych Porozumienie dla Biogazu i Biometanu oczekuje od decydentów?

Niezbędna jest współpraca parlamentarzystów nad szybkim wprowadzeniem dobrze napisanych przepisów biometanowych. One są przecież gotowe, ale potrzebują większości parlamentarnej oraz natychmiastowych działań. Gdyby rząd od nowa miał procedować przepisy biometanowe, to mimo ich wysokiej jakości trzeba by było czekać na nie kolejne kilkanaście miesięcy. Konieczna wydaje się wspólna inicjatywa posłów koalicyjnych i opozycyjnych na podstawie już zgłoszonego do Sejmu projektu poselskiego. Tylko taki scenariusz daje szanse na uchwalenie poprawnych przepisów w tej kadencji Sejmu, a przecież na to czekają inwestorzy stojący w blokach startowych. Wnioski o decyzje administracyjne i środowiskowe oraz warunki przyłączenia są złożone, a przepisów brak. Polska zasługuje na biometan i powinniśmy zrobić wszystko, aby niedługo dało się go wytwarzać.

eprasa.pl 40dc1e51fc

MORGANE POLANSKI AKTORKA

Pod pomnikiem Kopernika

Polskie lato przez dekady było najgorętszym czasem dla polskich filmowców. Ekip nie brakowało też w stolicy. Z różnych powodów historyczne produkcje realizowane w Warszawie przez wiele dni to już przeszłość. Dziś nadwiślańskie plenery sprzed lat często kręci się gdzie indziej. Chociaż, jak zapowiadają np. przedstawiciele platformy Netflix, ekipa realizowanej właśnie serialowej adaptacji powieści „Lalka" pojawi się i na Krakowskiem Przedmieściu, i na Starym Mieście (które oczywiście zostaną odpowiednio przekształcone na potrzeby filmowców), a także na warszawskim torze wyścigów konnych na Służewcu. Przede wszystkim jednak kamery tej produkcji będzie można zobaczyć na wrocławskich Partynicach i w Operze Wrocławskiej, a także w pałacach w Nieborowie i Jabłonnie oraz na zamku w Łańcucie.

Jak będą wyglądały efekty działań ekipy „Lalki", przekonamy się w 2026 r. Tymczasem już na początku października do kin trafi kostiumowa opowieść o niezwykłej kobiecie szpiegu, czyli Krystynie Skarbek, w którą wcieliła się Morgane Polanski (w obsadzie brytyjsko-polskiej produkcji są też Malcolm McDowell, Ingvar Sigurðsson, Frederick Schmidt, Agata Kulesza i Piotr Adamczyk).

Realizatorzy podzielili się filmowymi kadrami m.in. sprzed warszawskiego pomnika Kopernika – miejsca wielokrotnie pojawiającego się w polskich produkcjach na przestrzeni dekad.

Poza Warszawą zdjęcia do filmu „Skarbek" powstawały m.in. w doświadczonej w kolejnym roku przez powódź Bystrzycy Kłodzkiej. Na potrzeby produkcji część miasta zamieniła się we francuskie Crest – najpierw wypiękniała („podrasowano" fasady budynków, na środku placu dodano fontannę, która tak się spodobała mieszkańcom, że żartowali, by jej nie zabierać po produkcji), a potem uległa zniszczeniu. W leżących w Górach Stołowych Radkowskich Skałach kręcono ujęcia spektakularnych upadków z wysokości (w czasie ucieczki przedstawicieli francuskiego ruchu oporu przed nazistami).

Wybrana do tytułowej roli Morgane Polanski, córka Romana Polańskiego i Emmanuelle Seigner, latem 2023 r. mówiła nam na planie, że związane z rolą zadania okazały się dużo trudniejsze i bardziej wyczerpujące fizycznie, niż mogła się spodziewać. Oczywiście mimo to była zachwycona możliwością „bycia na planie silną kobietą szpiegiem, graniem roli nieoczywistej i bardzo współczesnej, choć osadzonej w totalnie niewspółczesnych czasach".

– Niemałym wyzwaniem było też stworzenie synergii pomiędzy postacią, którą gram, a mną samą – podkreślała. – W końcu na ekranie nie widać mnie jako aktorki, tylko Krystynę Skarbek. Musiałam się jej nauczyć, zrozumieć, jak myśli i wyłączyć trochę siebie, żeby oddać ją przed kamerą. I choć mamy sporo wspólnego – jestem przecież w połowie Polką, mieszkam w UK, a urodziłam się we Francji, a Skarbek urodziła się w Polsce, mówiła po francusku i działała dla brytyjskiego wywiadu – to jednak energię mamy inną.

Aktorka zdradziła, że w naszym kraju bywa także prywatnie. – Kurtkę, którą mam na sobie [oversizowa, skórzana, vintage – red.] przywiozłam z jednego z wypadów do Warszawy. Od czasu do czasu bywam w Polsce i niekiedy znajduję takie perełki.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 40dc1e51fc

SŁODKO-SŁONY

Oszukany diabeł

ANNA MONICKA

Sieja to piękna ryba. Można ją spotkać w niezliczonych jeziorach polodowcowych wokół Choszczna, Drawna, Ińska, Bierzwnika i Kołbacza na Pomorzu Zachodnim. Od XII w. gospodarowali tu cystersi, którzy w swoich opactwach zakładali hodowle rozmaitych ryb, głównie karpi, ale nie tylko. W jeziorze Miedwie o 2 m podnieśli lustro wody, budując system tam na rzece Płoni. Na powstałych w ten sposób płyciznach zakładali poldery.

Cudowna i przezabawna legenda związana jest właśnie z przepysznymi, delikatnymi siejami. Oprócz nich głównymi bohaterami opowieści są zakonnik (przeor klasztoru w Kołbaczu albo zwykły brat smakosz – wersje są różne, świadków przecież brak) oraz niejaki kusy, diabeł we własnej osobie.

Cysters marzył o tym, by w Miedwiu pojawiły się sieje, które jadł kiedyś w podróży i bardzo przypadły mu do gustu. Myślał o nich tak intensywnie, że o jego pragnieniu dowiedział się kusy. Zamerdał ogonem, bo zwęszył dobry interes. Natychmiast złożył taką propozycję – w nocy wpuści sieje do jeziora, ale w zamian opat ma mu oddać swoją duszę. Sprawa zrobiła się poważna. Znowu są dwie wersje opowieści. Cwany zakonnik, wiedząc, że zaraz będzie północ i diabeł go weźmie, kazał wcześniej niż zwykle bić w dzwony. Przerażony czart wrzucił ryby do jeziora i zwiał, zapominając o duszy. Według drugiej wersji cysters namówił wszystkich mnichów, żeby ukryli się w lesie wokół jeziora i na jego znak zaczęli się drzeć jak koguty. Kusy był już z rybami nad wodą, gdy usłyszał, że kury pieją, rzucił ze strachu wór pełen siej i czmychnął byle dalej.

Nieważne, która historia jest bliższa prawdy, grunt, że w Miedwiu są sieje – kapryśne ryby lubiące głębokie, chłodne, dobrze natlenione i czyste wody. Dzięki temu nie nadają się do hodowli przemysłowej, co jest wielkim atutem. Przewyższają smakiem swojego kuzyna łososia, mają bardziej soczyste mięso niż dorsz, niestety znacznie rzadziej trafiają na nasze stoły. Szkoda, warto je jeść nie tylko na wakacjach. Jak? Najlepiej upiec w piekarniku w folii nafaszerowane masłem czosnkowym i koprem. Podawać z sałatami.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Bogactwo małych ryb

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Różnorodność biologiczna kryje się w różnych miejscach. Przyjrzyjmy się grupie, która wprawdzie nie jest jednostką systematyki zoologicznej, lecz można ją określić jako niewielkie ryby słodkowodne Polski. Nie chodzi tu o narybek większych gatunków, krótkie wyliczenie nie obejmuje też ryb bałtyckich. Tworzą grupę gatunków nie tylko liczniejszą, niż mogłoby się wydawać, lecz także bardzo ciekawą – dla każdego z gatunków niewielkich ryb można wskazać wiele cech sprawiających, że są one unikalne i wyjątkowe. Dodatkowo, choć takie małe, niekiedy są ważnym elementem ekosystemów i kto wie, co by się stało, gdyby ich zabrakło.

Strzebla potokowa występuje w górskich strumieniach. Jest podstawowym pokarmem pstrągów potokowych, którym trudno by było przeżyć bez ławic strzebli. Podobną rolę, ale w głębszych partiach jezior na północy Polski, odgrywa stynka. Istnieje działające na wyobraźnię określenie „tonie stynkowe". Gdyby nie stynki, drapieżniki głębokich partii chłodnych jezior nie miałyby na co polować.

Oprócz strzebli potokowej w Polsce żyje strzebla błotna, która zasiedla zbiorniki bardzo płytkie i niemal pozbawione tlenu. Bez niej byłyby bezrybne. W takich miejscach można liczyć jeszcze na piskorze, które nie tylko potrafią gwizdać, lecz także są naszym wariantem ryb dwudysznych – przeżywają bowiem w wodach niemal całkowicie beztlenowych dzięki temu, że wystawiając pyszczki ponad powierzchnię, łykają powietrze atmosferyczne.

Słonecznica często żyje w zbiornikach efemerycznych, okresowo zanikających. Jaka jest jej strategia? Ikra jest odporna na wysychanie i może przetrwać bez wody przyklejona do roślin, a pomiędzy zbiornikami przenosi się przylepiona do piór i łap ptaków wodnych.

Są jeszcze śliz, żerujący na porastających kamienie glonach w górnych biegach rzek, i koza (a także koza złotawa i dunajska), zastępująca go niżej, piekielnica i ukleja, żerujące przy powierzchni, oraz wąsate kiełbie: pospolity i białopłetwy, przesiewające piaszczyste dno. Są ciernik i cierniczek, bez których śródpolne rowy byłyby puste, głowacz białopłetwy – pozbawiony pęcherza pławnego i mogący poruszać się jedynie skokami po dnie. No i różanka, której ikra składana za pomocą pokładełka rozwija się w muszli małża szczeżui wielkiej.

eprasa.pl 40dc1e51fc

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ulga, satysfakcja, duma

www.wojciechreszczynski.pl

Ulga. To pierwsze uczucie po szczęśliwie zakończonym zaprzysiężeniu dr. Karola Nawrockiego na prezydenta RP. Należę do tych, którzy nigdy nie ufali ekipie Donalda Tuska. Pamiętam jego zamach na rząd premiera Jana Olszewskiego, haniebne słowa do prezydenta Lecha Kaczyńskiego – „mnie prezydent nie jest potrzebny do niczego" i zdradzieckie działania z Putinem po zamachu smoleńskim. Tusk był i jest zdolny do wszelkiej podłości, dlatego uczucie ulgi kończy trwający ponad pół roku stan niepewności.

Tusk do ostatniej chwili kombinował, jak oddalić w czasie zaprzysiężenie, a najlepiej jak uniemożliwić objęcie urzędu przez Karola Nawrockiego. Wtórował mu Roman Giertych, który w tym uroczystym dniu nadal rozgłaszał, że „proces wyborczy jeszcze się nie zakończył".

Ujawniona przez Szymona Hołownię próba zamachu stanu musi mieć dalszy ciąg. Nie zmieni tego – wbrew intencjom marszałka – kwalifikowanie tej zbrodni stanu jako kategorii publicystycznej. Skoro ujawniono zamiar dokonania zamachu stanu, należy wskazać sprawców i przykładnie ich ukarać. Na ostatnie informacje o próbie zamachu stanu nakładają się wcześniejsze fakty, czyli zawiadomienie do prokuratury prezesa TK Bogdana Święczkowskiego o podejrzeniu popełnienia przestępstwa zamachu stanu przez prezesa Rady Ministrów, ministrów, marszałków Sejmu i Senatu, posłów i senatorów koalicji rządzącej, niektórych sędziów i prokuratorów. Tamto zawiadomienie i nowe fakty ujawnione przez Hołownię wskazują, że chodzi o te same osoby. Spodziewam się też koniecznej walki prezydenta o dobre imię swoje oraz rodziny.

Nie można pozostawić milionów Polaków z przeświadczeniem – powielanym przez zakłamane, obce polskiemu duchowi media – że Karol Nawrocki to „kibol, alfons, sutener, złodziej i kłamca". Nie mają tu prawnego znaczenia słowa Nawrockiego o „przebaczeniu" i „chrześcijańskim miłosierdziu". Aspekt moralny ma inny wymiar niż prawny. Prokuratura, a następnie sądy muszą stanąć na wysokości zadania. Ujawnić źródła i inspiratorów kłamstw, nazwiska szkalujących prezydenta elekta pseudodziennikarzy, wydawców, tytuły kłamliwych redakcji, wszystkich zaangażowanych w oszukańczą kampanię przeciwko Nawrockiemu.

To powinien być także „interes" tzw. trzeciej władzy, gdyż to prezydent „namaszcza" sędziowskie kadry. Czy następnym rocznikom prawników ubiegających się o stanowisko sędziego akty nominacyjne miałby wręczać tak podle i niesprawiedliwie oczerniony człowiek?

W swoim orędziu w Sejmie Karol Nawrocki zapowiedział powrót Polski na drogę praworządności, a takim państwem dziś nie jest – stwierdził prezydent, na co premier Tusk chyba po raz pierwszy zmienił kamienną, ponurą twarz na lekko uśmiechniętą, co nie zapowiada niczego dobrego. Szef rządu nadal wmawia swoim zwolennikom, że to on symbolizuje dobro i walczy ze złem, którym jest pisowska opozycja oraz ostatnio wszyscy „głupcy" i „zdrajcy" z jego koalicji. „Wszyscy wierzyliśmy, że uczciwość, dobro i miłość zwycięży" – napisał na platformie X do swoich zwolenników, „dla których 6 sierpnia to smutny i rozczarowujący dzień".

Dla nas, wolnych Polaków, to był bardzo szczęśliwy dzień. Cieszy zapowiedź prezydenta, że nie będzie awansował ani nominował tych sędziów, którzy swoimi działaniami „godzą w porządek konstytucyjno-prawny Rzeczypospolitej". Może ostudzi to zapał nadgorliwych sędziów do stosowania wspólnie z rządem zemsty na politycznych przeciwnikach. Pierwszy „sygnał" dał sędzia polityk Igor Tuleya, który nie zgodził się na dalszy areszt dla Pawła K. podejrzanego w sprawie rzekomych nieprawidłowości w RARS. Prezydent przypomniał kwestionowaną przez Tuska oczywistość, że władza musi działać na podstawie i w granicach prawa, dlatego upomniał się o legalnie wybranego prokuratora krajowego. Władza odsunęła od sprawowania tego obowiązku Dariusza Barskiego, którego funkcje nielegalnie przejął Dariusz Korneluk.

Prezydenckie orędzie, przemyślane, perfekcyjnie wygłoszone bez zaglądania do kartki, dotknęło spraw najważniejszych. „Tak dalej rządzić nie można" i dalej pod adresem obecnego rządu: „Politycy mają obowiązek spełniać swoje obietnice z kampanii wyborczej", „Nie dla euro", „Nie dla masowej nielegalnej imigracji", „Nie możemy być gospodarstwem pomocniczym zachodniego sąsiada i UE". To mocna odpowiedź, jakby glosa do słów Bartłomieja Sienkiewicza, który powiedział kiedyś, że „Polska to wewnętrzna gospodarka Niemiec".

Uczucie ulgi, a także wielkiej satysfakcji i dumy. Mamy prezydenta, który będzie pamiętał o naszej historii, nie będzie mylił faktów, wiernie cytując autorów, jak choćby w dniu zaprzysiężenia ojców naszej niepodległości. Dwa przypomnienia zabrzmiały szczególnie mocno – Romana Dmowskiego o „polskich obowiązkach" i Ignacego Jana Paderewskiego wzywającego do walki z tymi, którzy „gnają naród do upadku i upodlenia". W tym momencie kamera pokazała premiera Tuska, człowieka, który nigdy nie chciał dźwigać polskiego brzemienia.

Autopromocja

eprasa.pl 40dc1e51fc

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-40dc1e51fc

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Gotowanie żaby

Aleksander Nalaskowski

Im bardziej obnaża się nieudolność Tuska i jego całkowity brak kompetencji do zarządzania czymkolwiek, tym bardziej staje się on brutalny i agresywny. To zjawisko dobrze rozpoznane w psychologii.

Brutalność dotyczy w jednakowym stopniu zarówno jego przeciwników, jak i akolitów oraz koalicjantów. Premier nie umie podjąć zadań ważnych i konstruktywnych (magistrala północ–południe, Odra, Świnoujście, atom itp.), bo po prostu nie umie i tyle. Jedyne, co naprawdę potrafi, to polityczny terror i wyszukiwanie kolejnych ofiar jego obsesji. Pogrąża się tym coraz bardziej, aż do poziomu groteski. Przysłuchajcie się jego wystąpieniom. Są pouczające, bo pokazują, jak wygląda retoryka nieudacznika. Kiedyś trafią do podręczników.

Tusk nigdy nie przeszedł przez prawdziwe kierowanie zespołami ludzkimi. Z politycznego singla niemal natychmiast stał się premierem. Bez wiedzy, bez przygotowania, bez kompetencji i doświadczeń. Pod tym względem jest autentycznym naturszczykiem, osobą pozbawioną charyzmy i charakteru, a także jakiegokolwiek kręgosłupa. To agresywna odmiana Nikodema Dyzmy. Gdziekolwiek w swoich szeregach dostrzega (albo wydaje mu się, że dostrzega) przeciwnika, od razu kieruje w to miejsce ogień. Tyleż bezmyślny, co skuteczny. W ten sposób pozbył się ze swojego otoczenia ludzi naprawdę kompetentnych i pozostali mu tylko tacy, jak ów małpolud od sportu czy ministra od szkoły. Tam, gdzie trzeba precyzji zegarmistrza, stosuje młot i mesel. Ten typ tak ma.

Tusk jest chyba schorowany i zmęczony samym sobą. Myślę, że gdzieś głęboko sobą pogardza i tylko paniczny strach nie pozwala mu się do tego przyznać. Ma dosyć Polaków i ich problemów, których nawet nie próbuje rozwiązać. Bo któż skacze do głębokiej wody, nie umiejąc pływać? Nie potrafiąc skonstruować mądrego rządu (bo i już nie ma z kogo), który by pracował za niego, coraz bardziej marzy o ciepłej i bezpiecznej posadce gdzieś poza Polską. Jemu potrzebne są do szczęścia dwie rzeczy – pierwsza to lenistwo, a druga to immunitet. Pracować nie umie, a kryminału realnie musi się obawiać. Zdumiewać musi fakt, że Polacy tak długo tolerują ten stan rzeczy. Ale można to łatwo wyjaśnić. To efekt gotowanej żaby. Dość makabryczny przykład retoryczny. Jeśli wrzucimy do wrzątku żabę, to będzie się bronić i uciekać, ale jeśli będziemy powoli podgrzewać wodę, to żaba da się ugotować. Prosty przykład: zwolnienie Bodnara, który grasował w polskim wymiarze sprawiedliwości, i zastąpienie go Żurkiem, typem spod ciemnej gwiazdy. Najpierw Bodnar stępiał naszą wrażliwość i przyzwyczajał nas do rozmaitych nieprawości, a teraz wykorzysta to jego następca.

Obserwujemy więc pełzające psucie państwa, niszczenie jego struktur, partyjniackie obsadzanie stanowisk, skrajną niegospodarność, zapaść służby zdrowia i tylko kręcimy głowami, narzekamy u cioci na imieninach, uciekamy w domowe pielesze. Jak owa żaba czujemy rosnącą temperaturę i nie zdajemy sobie sprawy, że niedługo znajdziemy się we wrzątku, a wówczas będzie za późno. Co musi się stać, abyśmy się realnie zbuntowali i nie czekali do kolejnych wyborów? Wszak z każdym dniem żyje się nam coraz trudniej, codziennie gonimy rosnące ceny żywności, energii, paliwa. Doświadczamy niedopuszczalnych eksperymentów na szkole. Na co czekamy? Dlaczego nie wychodzimy na ulice? Tak, na ulice! Nie po to, aby odpowiadać agresją na agresję, ale by dać świadectwo prawdzie, zanim pozwolą nam zagłosować. Tu nie wystarczy kilkadziesiąt tysięcy w Warszawie. Tu trzeba milionów we wszystkich polskich miastach. Tu trzeba 100 tys., które otoczą kancelarię premiera jak Izraelici Jerycho. Jeśli nasze wyważone głosy i merytoryczna dyskusja nie przekonują, to zostaje nam argument tłumności, powszechnej nieakceptacji, głośnego okrzyku: „Precz!". Dłuższa walka metodami prawnymi nie ma sensu, gdy przeciwnik dawno podeptał prawo i konstytucję. Nie idzie o to, aby łamać prawo, ale by skorzystać z prawa do manifestacji i buntu. To obywatelski elementarz.

Pozwoliliśmy urosnąć mało rozgarniętemu tyranowi, który wziął na krótką smycz rozmaitych Giertychów, Domańskich, Sienkiewiczów, Leszczyny, Rutnickich, Nitrasów, Sikorskich, Kosiniaków-Kamyszów i innych, którzy podobnie jak ich pryncypał nie mają zielonego pojęcia o rządzeniu, bo przecież nie mogą być od niego lepsi. Im późniejszy rząd, tym jego IQ jest niższe. Obecna rekonstrukcja to dalsze obniżanie ilorazu inteligencji rządu. To kpina z inteligencji Polaków. Kpina z Polski.

Świętujemy 1000 lat korony polskiej, a jednocześnie mamy najgorszy rząd w historii i organizacyjnego matoła na jego czele. Nie miejmy najmniejszych złudzeń. Tusk nie prowadzi żadnej przemyślanej polityki, bo do tego trzeba myśleć, a to jest mu obce. Jego słowa odklejają się od działań, to rzeczywistość równoległa na miarę jego możliwości i deficytów. Im wcześniej go odsuniemy, tym lepiej. Chociaż dobrze to już było. Może będzie lepiej, ale kiedy będzie dobrze?

Precz ze szkodnikiem!

eprasa.pl 40dc1e51fc

Michał Korsun prezentuje:* *Premier Tusk szykuje się do współpracy z prezydentem Nawrockim

Wycinki z przeszłości

Sympatyków naszej rubryki nie trzeba przekonywać do uwzględnienia na wakacyjnej trasie muzeów, również tych mniej znanych. Można tam znaleźć prawdziwe perełki, zarówno jeśli chodzi o wystawy stałe, jak i czasowe. Dziś polecamy Muzeum w Koszalinie i wystawę „1945. Koniec i początek. 80 lat polskiego Koszalina", ciekawie mierzącą się z zagadnieniem Ziem Odzyskanych, ich przejęcia, zagospodarowania, przeszłości. Potrwa do marca przyszłego roku.

(mk)

Z WOLEJA

Polskie wiosła

Ryszard Czarnecki

W dniu, w którym ten numer „Sieci" trafi w państwa ręce, polska rodzina wioślarska powinna celebrować dziewiątą rocznicę zdobycia przez Magdalenę Fularczyk-Kozłowską i Natalię Madaj złotego medalu olimpijskiego w tzw. dwójce podwójnej na XXXI Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Brazylii.

To dla mnie dobry pretekst, aby wspomnieć o „polskich wiosłach", będących częścią tych dyscyplin sportowych związanych z wodą, w których Biało-Czerwoni tradycyjnie są silni.

Najpierw jednak przypomnę bohaterki tamtego dnia, 11 sierpnia 2016 r. Sympatyczna, uśmiechnięta blondynka Magda, reprezentująca kluby z Grudziądza, Poznania i Bydgoszczy, zdobyła też brąz na igrzyskach cztery lata wcześniej w Londynie i również w tej samej konkurencji dwójek. Poza tym była mistrzynią świata (złoto zdobyte w Poznaniu smakowało szczególnie, podobnie jak złoto mistrzostw Europy, także wywalczone na torze Malta w stolicy Wielkopolski). W sumie Fularczyk-Kozłowska zdobyła 9 medali na MŚ i ME, z czego 3 złote. Jej partnerka z łodzi Natalia Madaj, rodem z Piły, miała od niej mniej medali mistrzostw globu, za to więcej mistrzostw Starego Kontynentu, bo aż 7, w tym 2 złote. Poza dużym talentem Natalia ma także duże serce – rok temu wystąpiła w charytatywnym meczu koszykarskim, którego dochód przeznaczono na odbudowę po powodzi hali sportowej w Prudniku.

Światowe wioślarstwo to przykład dyskryminacji kobiet: mężczyźni walczyli o medale igrzysk od 1900 r., a kobiety zaczęły dopiero 76 (!) lat później. Polskie wioślarstwo ma na koncie 21 medali olimpijskich: 4 złote, 5 srebrnych i 12 brązowych. W tabeli wszech czasów zajmujemy 15. miejsce, ale uwzględniając wciąż istniejące kraje – 13. Odpadła NRD: jej naszprycowani „koksem" wioślarze zdobyli aż 33 złote medale, więcej nawet niż ci z ZSRR z 12 złotymi krążkami.

Obecnie na igrzyskach jest 14 konkurencji wioślarskich, z czego 8 dla mężczyzn i 6 dla kobiet. To postęp, bo na początku minionego wieku było ich tylko 5, a od czasu, gdy po raz pierwszy wystartowali Polacy, czyli w latach 1924–1972, tych konkurencji było 7.

Gdy chodzi o polskie medalowe łupy na IO, wioślarstwo jest na bardzo wysokiej, szóstej pozycji, ustępując tylko lekkoatletyce, boksowi, podnoszeniu ciężarów, zapasom i szermierce, a wyprzedzając choćby strzelectwo czy judo.

Pierwszy medal olimpijski dla Polski w tej dyscyplinie – brązowy – zdobyła czwórka ze sternikiem w Amsterdamie (1928). Mazurka Dąbrowskiego grano aż dwa razy dla dwójki podwójnej: w Sydney (2000) oraz Atenach (2004). Zapamiętajmy nazwiska tych podwójnych mistrzów olimpijskich: Tomasz Kucharski i Robert Sycz.

Wioślarstwo – sport dla twardzieli...

eprasa.pl 40dc1e51fc

OD A DO ZYBERTOWICZ

Nie zniknie

Czas jest nieubłagalny i odchodzą już dosłownie ostatni świadkowie historii. Jak dotąd nie mam poczucia, żeby ta pamięć była zagrożona

Od ładnych paru lat 1 sierpnia oddaję hołd powstańcom warszawskim. Co roku w innym miejscu, na innym placu, ulicy.

Nie jestem warszawianką od urodzenia, ale już sobie nie wyobrażam, żebym 1 sierpnia nie przystanęła przy miejscach pamięci.

DZIELMY SIĘ

Do udziału w obchodach 81. rocznicy powstania warszawskiego w tym roku zachęcały plakaty z hasłem: „Dzielmy się pamięcią, bo zniknie".

Czas jest nieubłagalny i odchodzą już dosłownie ostatni świadkowie historii. Ale zostaje ich historia. A z nią nadzieja, że nie zmarnujemy tego dziedzictwa. Jak dotąd nie mam poczucia, żeby ta pamięć była zagrożona.

ZAKOTWICZENIE PAMIĘCI

Najpierw msza święta o 7 rano w kościele Zbawiciela. Tu każdego roku w okresie wspominania powstania warszawskiego przy ołtarzu głównym umieszczany jest znak Polski Walczącej – kotwica, która dla wielu Polaków stanowi świętość. Dotąd tego nie robiłam, ale tym razem, zaskakując samą siebie, zaraz po nabożeństwie sfotografowałam ołtarz. Dla potomnych? By wrzucić zdjęcie na Instagram?

Niedaleko świątyni, przy Marszałkowskiej, znajduje się tablica w kształcie Krzyża Walecznych z napisem: „Miejsce uświęcone krwią Polaków poległych za wolność ojczyzny. Tu 3, 4, 5 sierpnia 1944 hitlerowcy rozstrzelali około 200 Polaków". To jedna z tzw. tablic Tchorka – od nazwiska ich twórcy, rzeźbiarza Karola Tchorka. Tablice upamiętniają miejsca walk i rozstrzelań Polaków przez Niemców. Podobno pod koniec lat 40. XX w. było ich w Warszawie ponad 450. Do dziś zachowało się 167.

Po mszy niemal automatycznie poszłam pod tę tablicę. Byłam ciekawa, czy władze miasta wreszcie zleciły wyczyszczenie bazgrołów, które ktoś umieścił tam kilka miesięcy temu. Wyczyszczono jedynie samą tablicę, mury budynku nadal pomazane. Pod tablicą paliło się kilka zniczy. Czułam, że tego dnia niejeden przechodzień tutaj westchnął.

GODZINA W

Późnym popołudniem nogi poniosły mnie na rondo Dmowskiego. Dokładnie o 17.00 tłumy młodych i starych, rodziny z dziećmi, grupy rekonstrukcyjne, harcerze. Morze biało-czerwonych flag. Wszyscy razem.

Dziś moje myśli i uczucia krążą wokół losów powstańców, ich niezrównanej dzielności, ofiarności i odwagi. Wczuwam się też w emocje ludności cywilnej, w pokonywanie przez nich śmiertelnego strachu. Odczucia ludzi niebędących żołnierzami, a mimo to gotowych oddać życie także jako „żywe tarcze". W wyobraźni zobaczyłam te „tarcze" – kobiety gnane przed czołgami przez Niemców, które krzyczą: „Nie patrzcie na nas! Bijcie się o Polskę!". Ciarki przechodzą mi po plecach.

Na rondzie Dmowskiego między okrzykami: „Chwała bohaterom!" słyszę też: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!". I też chce mi się tak krzyczeć. Zwłaszcza gdy przypomnę sobie żałosny obrazek, jak polska minister kultury w niechlujnym stroju skłania głowę kamieniowi w Berlinie, który wedle współczesnych Niemców powinien ukoić nasz ból.

ŚPIEWAMY RAZEM

Prognozy pogody mówią, że wieczorem ma padać, ale niebo okazuje się łaskawe. Zatem razem z Dominiką Chorosińską idziemy na plac Piłsudskiego śpiewać (nie)zakazane piosenki. Pani poseł jest też aktorką z bardzo dobrym głosem, staram się dorównać, jak mogę! Atmosfera jest świetna, ludzie pogodni. Warszawa naprawdę żyje.

Słowa wielu piosenek są jasne i proste. Nie owijają w bawełnę tego, co Niemcy zrobili Polakom. Te piosenki uczą historii nie gorzej niż niejeden podręcznik.

SPACER

Ale następnego dnia jeszcze było mi mało. Udałam się na spacer śladami powstania warszawskiego, który co roku organizuje biuro turystyczne Skarby Warszawy. Start – a gdzieżby indziej, przy Pomniku Powstania Warszawskiego. W powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatów z wieńców, którymi usłano teren wokół pomnika.

Na spotkanie przybyło blisko 200 osób. Pasjonat historii Marcin Strachota z wyjątkowym wyczuciem poprowadził tak liczną grupę, odsłaniając przed nami powstańczą codzienność. Wprowadził nas w świat, który z perspektywy współczesnego wygodnego życia może się jawić jako niepojęty – a przecież istniał, był realny.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 40dc1e51fc

„Zbudujmy razem studio z widokiem na Polskę. Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa".

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł **WESPRZYJ patriotyczne media**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY (dawniej upc)	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl 40dc1e51fc

Telewizja informacyjna.

wPolsce 24

Tu jest Polska.

Od teraz DODATKOWO na kanale 909 w Polsat Box!

Gdzie nas oglądać

52 telewizja naziemna	196, 909, 921 polsat box	62 CANAL+	192 netia	32 orange
825 vectra	65, 339, 121 PLAY dawniej upc	459 inea	631 TOYA	43 evio